



PROROCŦWO
SIOSTR

MICHELLE ZINK

„Jeżeli chcesz, aby twoje życie było wyjątkowe, musisz być wyjątkowa.” Terrence Prater

Rozdział I

Nie zwracam uwagi na deszcz – pewnie dlatego, że jest odpowiedni do okoliczności. Spada szybko całymi płachtami, zasłoną utkaną ze srebrzystych nici, na twardą, prawie zamarznąłą ziemię. Mimo to stoję przy trumnie bez ruchu.

Ustawiłam się po prawej stronie Alice. Zawsze stoję po tej stronie; często zastanawiam się, czy tak było nawet w łonie matki, zanim, krzyczące, zostałyśmy jedna po drugiej wyjęte na świat. Mój brat Henry siedzi obok Edmunda, naszego woźnicy, i ciotki Virginii, bo Henry może tylko siedzieć – ma niesprawne nogi. Wymagało to sporego wysiłku, żeby zawieźć Henry' ego na wózku aż na cmentarz na wzgórzu po to, by pożegnał ojca w miejscu ostatniego spoczynku.

Ciotka Virginia pochyla się, abyśmy pośród dudniącego deszczu mogli usłyszeć jej słowa.

– Dzieci, musimy iść.

Pastor już dawno poszedł. Nie potrafię powiedzieć, jak długo tkwimy przy niewielkim pagórku ziemi, gdzie złożono ciało mojego ojca. Stoję osłonięta parasolem Jamesa, w małym świetle pełnym milczenia i troski. Jakże krucha to ochrona przed zderzeniem z prawdą.

Alice gestem daje znać, żebyśmy szli.

– Chodźcie, Lia, Henry. Wrócimy, jak będzie świecić słońce, i położymy ojcu świeże kwiaty na grobie.

Ja urodziłam się pierwsza, cóż, że tylko parę minut wcześniej. Jednak zawsze było jasne, że to Alice jest górą.

Ciotka Virginia skinieniem głowy przyzywa Edmunda. On bierze pod opiekę Henry' ego i rusza w drogę powrotną do domu. Spojrzenia brata i moje spotykają się. Henry ma zaledwie dziesięć lat, ale jest o wiele mądrzejszy niż większość chłopców w jego wieku, a czarne obwódki pod oczami są widocznym znakiem, jak bardzo przeżył stratę ojca. Przez skorupę odrętwienia przebija się sztylet bólu i zatrzymuje gdzieś w okolicach mojego serca. Być może Alice jest górą, ale to ja zawsze czułam się odpowiedzialna za brata.

Moje nogi nie chcą iść, nie chcą zabrać mnie od ojca, który martwy i zimny leży w grobie. Alice ogląda się za siebie. Poprzez deszcz szuka wzrokiem moich oczu.

– Zaraz do was dojdę.

Muszę krzyknąć, żeby mnie usłyszeli, a ona powoli kiwa głową, odwraca się i idzie dalej ścieżką w stronę naszej posiadłości Birchwood Manor.

James chwytając moją schowaną w rękawiczce dłoń i czuję falę uspokojenia, kiedy jego silne palce zaciskają się wokół moich. Przysuwa się bliżej, aby dać się usłyszeć poprzez szum kropel.

– Zostanę tu z tobą tak długo, jak zechcesz, Lia.

Mogę tylko przytaknąć, patrząc, jak po sterczącej z ziemi pionowej płycie nagrobnej spływają łzy deszczu, i odczytując słowa wyryte w granicie:

Thomas Edward Milthorpe

Najdroższy ojciec

23 czerwca 1846 – 1 listopada 1890

Kwiatów nie ma. Chociaż ojciec był zamożny, trudno jest dostać kwiaty w przededniu zimy w naszym miasteczku w północnej części stanu Nowy Jork, a nikt z nas nie miał na tyle energii ani chęci, żeby pojechać po nie na czas przed skromną uroczystością.

Nagle ogarnia mnie wstyd z powodu tego braku zapobiegliwości i rozglądam się po starym cmentarzu, wypatrując czegoś, czegokolwiek, co mogłabym zostawić na grobie.

Ale nie ma nic. Tylko w kałużach zbierających się na ziemi i na trawie leży kilka kamyczków. Schylam się i sięgam po parę tych brudnych grudek, a potem trzymam je na wyprostowanej dłoni, dopóki deszcz ich nie opłucze do czysta.

Nie dziwi mnie, że James wie, co zamierzam zrobić, chociaż nie powiedziałam tego na głos. Przez całe życie byliśmy parą przyjaciół, a ostatnio czymś o wiele więcej. James zbliża się z parasolem i osłania mnie, kiedy podchodzę do grobu, otwieram dłoń i rozrzucam kamyczki u podstawy płyty.

Przy tym ruchu rękaw podciąga się do góry; odsłaniając częściowo dziwne znamię, niesamowite, nierówne kółko, które wykwitło przy moim nadgarstku w kilka godzin po śmierci ojca.

Ukradkiem popatruję na Jamesa, czy nie zauważył. Nie. Obciążam więc rękaw i układam kamyki równym rzędem. O znamieniu nie chcę myśleć. W moim umyśle nie ma miejsca i na smutek, i na zmartwienia. Smutek przecież nie będzie czekał.

Cofam się i patrzę na kamyki. Nie są tak ładne i kolorowe jak kwiaty, które przyniosę tu wiosną, ale są wszystkim, co mogę dać. Biorę Jamesa pod rękę i odchodzę, licząc na to, że doprowadzi mnie do domu.

* * *

Nie tylko ciepło kominka w salonie sprawia, że siedzę na dole jeszcze długo po tym, jak reszta domowników idzie spać. W moim pokoju też jest mały kominek, tak jak w większości pokoi w Birchwood Manor. Ja jednak siedzę w ciemniejącym salonie, oświetlanym tylko blaskiem dogasającego ognia, ponieważ nie mam odwagi wejść na górę.

Mimo że ojciec nie żyje dopiero od trzech dni, znalazłam w tym czasie wiele zajęć. Trzeba było pocieszyć Henry'ego, a chociaż ciotka Virginia sama przygotowałaaby wszystko do pogrzebu, wypadało też, żebym pomogła opanować sytuację. To właśnie wciąż sobie powtarzam. Ale teraz, kiedy moim jedynym towarzyszem w pustym salonie jest tykający zegar na kominku, zdaję sobie sprawę, że przez cały czas unikałam tej chwili, gdy będę musiała wspiąć się po schodach i przejść koło pustej sypialni ojca. Tego momentu, kiedy będę musiała przyznać, że rzeczywiście odszedł.

Szybko wstaję, zanim stracę odwagę, i skupiam się na tym, żeby stawiać jeden krok za drugim, kiedy tak wchodzę w pantoflach na kręte schody i przechodzę korytarzem przez Wschodnie Skrzydło. Kiedy mijam pokój Alice, a potem Henry'ego, moje oczy wpatrują się w drzwi na końcu korytarza. To pomieszczenie, które kiedyś było prywatnym apartamentem mojej matki.

Ciemny Pokój.

Kiedy Alice i ja byłyśmy małe, mówiłyśmy o tym pokoju szeptem; nie potrafię powiedzieć, dlaczego nazwałyśmy go Ciemnym Pokojem. Może dlatego, że podczas gdy w innych wysoko sklepionych pomieszczeniach ogień pali się bez przerwy przez dziewięć miesięcy w roku, całkiem ciemno jest tylko tam, gdzie nikt nie sypia. Ale nawet gdy matka jeszcze żyła, pokój wydawał się ciemny, bo to w nim się chroniła podczas miesięcy poprzedzających jej śmierć. To w tym pokoju zdawała się coraz bardziej od nas oddalać.

Idę dalej do swojej sypialni, gdzie rozbieram się i wkładam szlafrok. Siedzę na łóżku, szczotkując włosy, żeby były lśniące.

Moja ręka zatrzymuje się w pół drogi, gdy słyszę stukanie do drzwi.

– Kto tam?

– To ja. Mogę wejść? – z drugiej strony drzwi dobiega głos Alice.

– Oczywiście.

Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem i do środka wdziera się fala chłodnego powietrza z nieogrzewanego korytarza. Alice szybko je zamyka, podchodzi do łóżka i siada obok mnie tak jak kiedyś, gdy byliśmy dziećmi. Nasze koszule nocne, tak jak i my, wyglądają prawie tak samo. Prawie, ale nie całkiem. Koszule Alice, zgodnie z jej życzeniem, są z cienkiego jedwabiu, podczas gdy ja zawsze od mody wolałam wygodę, więc noszę flanelowe, z wyjątkiem letniej pory.

Alice wyciąga rękę po szczotkę.

– Mogę?

Podaję jej szczotkę, starając się ukryć zdziwienie, i odwracam się, żeby Alice mogła uczesać mi włosy z tyłu głowy: Nie należymy do tych sióstr, które wieczorem wzajemnie szczotkują sobie włosy albo zwierzają się sobie.

Alice czesze mnie długimi ruchami, zaczynając od czubka głowy i schodząc do samych końców. Patrząc na nasze odbicie w lustrze stojącym na toalecie, trudno byłoby uwierzyć, że ktoś może nas rozróżnić. Z tej odległości, w blasku płomieni, wyglądamy dokładnie tak samo. W przyćmionym świetle włosy lśnią nam tą samą kasztanową barwą. Nasze kości policzkowe ułożone są pod tym samym kątem. Jednak wiem, że dzięki pewnym drobnym różnicom ci, którzy nas znają, nie mogą się pomylić. Delikatna krągłość mojej buzi kontrastuje z ostrzejszymi rysami twarzy mojej siostry, a moje spokojne, introwertyczne spojrzenie z przebiegłym błyskiem w jej oku. To Alice błyszczy jak obłany światłem klejnot, ja zaś dumam, myślę i zastanawiam się.

Ogień w kominku trzeszczy, zamykam więc oczy i rozluźniam ramiona, poddając się kojącemu rytmowi ruchów szczotki i dłoni Alice, od czasu do czasu przyglądającej mi włosy na czubku głowy:

– Pamiętasz ją?

Szybko otwieram powieki. To niezwykle pytanie i przez moment nie wiem, co odpowiedzieć. Miałyśmy ledwie sześć lat, gdy matka zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, spadając z urwiska nad jeziorem. Kilka miesięcy wcześniej urodził się Henry. Lekarze od razu dali do

zrozumienia, że chłopiec, tak długo wyczekiwany przez ojca, nigdy nie będzie mógł chodzić. Ciotka Virginia zawsze mówiła, że po urodzeniu Henry'ego matka już nigdy nie była taka jak przedtem, a zagadki związane z jej śmiercią pozostają nierozwiązane. Nie rozmawiamy o tym ani o śledztwie prowadzonym po wypadku.

Dla Alice mam jedynie prawdę.

– Tak, ale tylko trochę. A ty?

Waha się, zanim odpowie, tymczasem ruch szczotki nie ustaje.

– Chyba tak. Ale to tylko przebłyski. Takie krótkie chwile.

Często zastanawiam się, dlaczego pamiętam jej zieloną suknię, a nie brzmienie głosu, kiedy nam czytała. Dlaczego wyraźnie widzę tomik poezji, który trzymała na stole w salonie, a nie pamiętam jej zapachu.

– Wydaje mi się, że to był jaśmin i ... pomarańcze.

– I tyle? Cały jej zapach? – Alice cicho mruży za moimi plecami. – Nie wiedziałam.

– Dobrze. Teraz moja kolej. – Sięgam po szczotkę. Alice odwraca się posłusznie jak dziecko.

– Lia?

– Tak?

– Gdybyś wiedziała coś o mamie ... Gdybyś przypomniała sobie coś ważnego, powiedziałaabyś mi? – Mówi cichym głosem, bardziej niepewnym niż kiedykolwiek przedtem.

Na to dziwne pytanie zapiera mi dech w piersiach.

– Tak, Alice, oczywiście. A ty?

Moja siostra znowu się waha i w pokoju słychać tylko dźwięk szczotki spokojnie przesuwającej się po jedwabistych włosach.

– Chyba tak.

Czeszę jej włosy i wspominam. Nie matkę. Przynajmniej nie teraz. Alice. Nas. Bliźniaczki. Pamiętam czas przed narodzinami Henry'ego, zanim matka schroniła się w samotności Ciemnego Pokoju. Czas, nim Alice stała się dziwna i tajemnicza.

Patrząc wstecz na nasze dzieciństwo, łatwo można by założyć, że ja i Alice byliśmy żyte. W tkliwych wspomnieniach słyszę cichy oddech śpiącej siostry w ciemnościach nocy i jej senne pomrukiwanie w naszym wspólnym pokoju dziecięcym. Staram się wspominać tę bliskość jako

kojącą, ignorować głos przypominający, jak bardzo różniłyśmy się już wtedy. Nic nie pomaga. Jeżeli mam być uczciwa, muszę przyznać, że zawsze obrzucałyśmy się badawczymi spojrzeniami. Jednak to jej miękką rączkę trzymałam w swojej przed zaśnięciem i to jej loki odgarniałam ze swojego ramienia, kiedy spała zbyt blisko.

– Dziękuję ci, Lia. – Alice odwraca się i patrzy mi prosto w oczy. – Wiesz, brakuje mi ciebie.

Pod jej czujnym spojrzeniem, kiedy tak siedzimy twarz przy twarzy, moje policzki stają się cieplejsze. Wzruszam ramionami.

– Jestem tu, Alice, zawsze byłam.

Uśmiecha się, a w tym uśmiechu jest jakiś smutek i mądrość.

Alice przysuwa się i obejmuje mnie jak kiedyś, w dzieciństwie.

– Ja też, Lia. Ja też zawsze byłam.

Wstaje i wychodzi, nie mówiąc nic więcej. Siedzę na skraju łóżka w wątłym świetle lampy, starając się zrozumieć tak niezwykle dla niej smutek. Refleksyjność – to niepodobne do Alice, ale przypuszczam, że po śmierci ojca obie czujemy się bezbronne.

Myślenie o Alice pozwala mi odsunąć od siebie tę chwilę, kiedy będę musiała spojrzeć na swój nadgarstek. Czuję się jak tchórz; staram się zebrać odwagę, żeby odwinąć rękaw nocnej koszuli. Żeby znów popatrzeć na znamię, które pojawiło się, kiedy martwego ojca znaleziono w Ciemnym Pokoju.

Wreszcie podciągam rękaw, tłumacząc sobie, że jeśli coś tam jest, to jest i już, bez względu na to, czy patrzę na to czy nie. Muszę zacisnąć usta, żeby stłumić krzyk. Znamię na delikatnej skórze nadgarstka nie jest niespodzianką, ale teraz stało się o wiele ciemniejsze, niż było rano. Kółko jest o wiele bardziej wyraźne, choć jego kontury wciąż wydają się nierówne.

Walczę z narastającą falą paniki. Powinien przecież być jakiś sposób, coś, co powinnam zrobić albo ktoś, komu powinnam powiedzieć, ale komu mogłabym powiedzieć o czymś takim?

Dawniej poszłabym z tym do Alice, bo komuż innemu miałabym powierzyć taki sekret? Ale teraz nie mogę zapominać o coraz większym dystansie między nami. Sprawił, że jestem wobec siostry ostrożna.

Wmawiam sobie, że znamię zniknie, że nie ma potrzeby mówić nikomu o takiej dziwnej sprawie, skoro i tak za parę dni ślad zejdzie sam. Instykt podpowiada mi, że to kłamstwo, ale przekonuję siebie samą, że mam prawo w to wierzyć w takim dniu jak dziś.

W dniu, w którym pochowałam swojego ojca.

Rozdział II

Ledwie blade światło listopada zaczyna rozpełzać się po pokoju, wchodzi cichutko Ivy z czajnikiem pełnym gorącej wody.

– Dzień dobry, panienko. – Wlewa wodę do miednicy stojącej na umywalni. – Czy mam pomóc przy ubieraniu?

Podnoszę się na łokciach.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

– Dobrze. – Wychodzi z pokoju z pustym czajnikiem w ręku.

Odrzucam kołdry i podchodzę do umywalni, mieszam wodę ręką, żeby ostygła, zanim zacznę się myć. Już umyta, wycieram sobie policzki i czoło, popatrując w lustro. Moje zielone oczy są puste i bez dna; zastanawiam się, czy można się zmienić od środka tak, by było widać na zewnątrz, czy smutek może przeświecać na powierzchnię poprzez naczynia krwionośne, narządy i skórę, tak że wszyscy go dostrzegają. Aż kręcę głową na tę chorobliwą myśl, obserwując, jak rozpuszczone kasztanowe włosy gładzą mi ramiona.

Zdejmuję koszulę nocną, wyciągam z komody halkę i pończochy i zaczynam się ubierać. Wyglądam właśnie drugą pończochę na udzie, gdy do pokoju bez pukania wślizguje się Alice.

– Dzień dobry. – Ciężko siada na łóżku, rzucając mi spojrzenie pełne uniesienia i uroku, tak charakterystyczne dla Alice.

Nieustannie zadziwia mnie, jak łatwo potrafi przejść od z trudem ukrywanej goryczy do smutku, a potem do beztroskiego spokoju. Nie powinno mnie to jednak zaskakiwać, bo nastroje Alice zawsze były zmienne. Teraz jej twarz nie nosi śladów zmartwienia, żadnych oznak melancholii z poprzedniego wieczoru. Prawdę mówiąc, gdyby nie skromna sukienka i brak biżuterii, Alice wyglądałaby tak jak zwykle. Może to tylko ja zmieniam się od środka na zewnątrz.

– Dzień dobry. – Spieszę się i zapinam pończochę w poczuciu winy; że tak długo się wyleguję, podczas gdy moja siostra już dawno wstała. Idę do szafy, żeby poszukać sukienki, a zarazem uniknąć spojrzenia tych oczu, które zawsze wpatrywały się w moje zbyt głęboko.

– Musisz zobaczyć, co się dzieje w domu, Lia. Cała służba, z polecenia ciotki Virginii, nosi żałobę.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć; zauważam zarumienione policzki i jakby podekscytowanie w oczach. Tłumię rozdrażnienie.

– W wielu domach przestrzega się okresu żałoby; Alice. Wszyscy kochali ojca. Jestem przekonana, że nie mają nic przeciwko temu, żeby okazać mu szacunek.

– Tak, ale teraz będziemy siedzieć w domu bez końca, a tu jest tak nudno. Myślisz, że ciotka Virginia pozwoli nam w przyszłym tygodniu pójść do szkoły? – Kontynuuje, nie czekając na odpowiedź:

– Oczywiście, tobie wcale nie zależy! Byłabyś absolutnie szczęśliwa, gdybyś nigdy nie ujrzała już Wycliffe.

Nie mam ochoty się kłócić. Wszystkim wiadomo, że Alice tęskni za bardziej światowym życiem w szkole, gdzie dwa razy w tygodniu mamy lekcje, ja natomiast czuję się tam jak egzotyczne zwierzątko pod szkłem. Na zajęciach ukradkiem przyglądam się jej – wprost błyszczą wśród lubiącego konwenanse dobrego towarzystwa; wydaje mi się podobna do matki. To chyba musi być prawda, bo mnie podoba się cisza w bibliotece ojca, a tylko w oczach Alice pojawia się czasem błysk oczu mamy.

* * *

Cały dzień siedzimy w zupełnej ciszy, przerywanej tylko trzeszczeniem ognia. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego odosobnienia w Birchwood Manor i nauczyliśmy się szukać zajęć w jego cichych wnętrzach. Gdyby nie brak tubalnego głosu ojca, dochodzącego z biblioteki, i zapachu dymu z jego fajki, byłby to po prostu jeden z wielu deszczowych dni. Ani o ojcu, ani o jego dziwnej śmierci nie rozmawiamy.

Unikam patrzenia na zegar, bo boję się, że powolny upływ czasu stanie się jeszcze bardziej leniwy; jeżeli będę się przyglądać. To odnosi nawet pewien skutek. Dzień mija szybciej niż mogłabym przypuszczać, a krótkie przerwy na lunch i obiad przybliżają mnie do momentu, gdy będę mogła uciec w nicość snu. Tym razem przed położeniem się nie oglądam nadgarstka. Nie chcę wiedzieć, czy znamię wciąż tam jest. Czy się zmieniło. Czy jest bardziej wyraźne lub ciemne. Wślizguję się do łóżka i zapadam w ciemność, nie myśląc już więcej.

Kiedy jestem na pograniczu, w miejscu, przez które przepływamy, nim świat rozmyje się w sen, słyszę szept. Na początku słycać tylko moje imię, a głos przyzywa mnie gdzieś z daleka. Ale szept narasta, przeradza się w wiele głosów, a wszystkie mamrocą tak szybko, tak gorączkowo, że tylko od czasu do czasu udaje mi się zrozumieć pojedyncze słowa. Rośnie i rośnie, domagając się mojej uwagi, aż w końcu nie mogę ignorować go ani chwili dłużej. Siadam wyprostowana, a ostatnie wyszeptane słowa odbijają się echem w jaskiniach mojego umysłu.

Ciemny Pokój.

Nie jest to aż taką niespodzianką. Ciemny Pokój zaprzętał moje myśli od czasu śmierci ojca. On nie powinien tam być. Nie w tym pokoju, który silniej niż inne budził wspomnienie matki, jego ukochanej, nieżyjącej żony.

A jednak w tych ostatnich chwilach, kiedy życie opuściło go jak zjawa, był tam.

Wsuwam pantofle na stopy i idę w stronę drzwi, potem przez chwilę nasłuchuję, nim otworzę je i obrzucę spojrzeniem korytarz. W domu jest ciemno i cicho. Ani w pomieszczeniach na górze, ani w kuchni na dole nie słycać kroków służby. Musi być bardzo późno. Wszystko to dociera do mnie w mgnieniu oka, pozostawiając po sobie tylko delikatny ślad. To, co przyciąga moją uwagę i co sprawia, że podnoszą mi się włoski na przedramionach i na karku, to ledwie uchylone drzwi na końcu korytarza.

Drzwi do Ciemnego Pokoju.

Dziwne, że właśnie on jest otwarty, ale jeszcze dziwniejsze jest słabe światło sączące się ze szczeliny pomiędzy skrzydłem drzwi a framugą.

Spoglądam w dół na znamię. Widać je na moim nadgarstku nawet w ciemnościach korytarza. *To przecież nad tym się zastanawiałam, czyż nie tak? – myślę. Czy Ciemny Pokój jest kluczem do śmierci ojca lub skrywa przyczynę pojawienia się mojego znamienia?* Teraz czuję, jakbym została wezwana w to miejsce, aby odnaleźć odpowiedzi, których przez cały czas szukałam.

Przekradam się korytarzem, ostrożnie podnosząc stopy, żeby podeszwy pantofli nie szurały po drewnianej podłodze. Kiedy dochodzę do drzwi Ciemnego Pokoju, zatrzymuję się.

W środku ktoś jest.

Z pokoju dochodzi głos – cichy, ale nieznoszący sprzeciwu.

Nie jest to ten gorączkowy pomruk, który mnie tutaj przywiódł. Nie są to liczne, chaotyczne głosy. Nie. To pojedynczy głos. Głos jednej osoby, szepczącej wewnątrz.

Nie mam odwagi otworzyć drzwi szerzej – boję się, że skrzypną. Przysuwam się więc bliżej i staram się zajrzeć do pokoju przez szparę. Przez tak wąską szczelinę trudno jest cokolwiek dostrzec. Na początku widzę same zarysy i cienie. Ale wkrótce rozpoznaję kształty mebli poprzykrywanych białymi prześcieradłami, ciemny kontur szafy stojącej w rogu i postać siedzącą na podłodze w kręgu świec.

Alice.

Moja siostra siedzi na podłodze w Ciemnym Pokoju, spowita ciepłym, żółtym blaskiem wielu świec. Coś cicho mówi, jak gdyby szeptała do kogoś, kto jest bardzo blisko, ale z mojego miejsca pod drzwiami nikogo nie widzę. Siedzi na klęczkach z zamkniętymi oczami, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia.

Oglądam pokój i uważam, żeby nie dotknąć drzwi, aby nie poruszyły się i nie otwały szerzej. Ale w środku nie ma nikogo więcej. Jest tylko Alice, mówiąca coś do siebie, jakby odprawiała jakąś dziwną ceremonię. Jednak nawet ten mroczny rytuał, za sprawą którego całe moje ciało oplata strach, nie jest tym, co dziwi mnie najbardziej.

Moja siostra siedzi na ziemi, odsunawszy dywan, duży; zniszczony dywan, który był w pokoju, o ile pamiętam, od zawsze. Siedzi spokojnie, jak by robiła to mnóstwo razy wcześniej, wewnątrz kręgu wrytego w podłogę. W świetle świec rysy jej twarzy są jakieś ostre, prawie nie do rozpoznania.

Chłód nieogrzewanego korytarza przenika przez cienki materiał mojej nocnej koszuli. Odsuwam się, a serce bije mi tak mocno, że obawiam się, iż Alice może je usłyszeć ze środka Ciemnego Pokoju.

Kiedy odwracam się i odchodzę korytarzem, muszę powstrzymać się, by nie zacząć biec. Stąпам więc powoli i wchodzę do pokoju, zamykam za sobą drzwi i kładę się do łóżka, gdzie czeka bezpieczeństwo i spokój. Przez długi czas nie mogę zasnąć, staram się wyrzucić z pamięci obraz Alice siedzącej w wyżłobionym kręgu, w blasku świec, oraz jej szept skierowany do kogoś, kogo tam nie było.

* * *

Następnego ranka stoję w jasnym świetle wpadającym przez okno i raz podwijam, raz spuszczam rękaw koszuli nocnej, patrząc na nadgarstek. Znamię znowu pociemniało, kółko jest grubsze i bardziej wyraźne.

I jest coś jeszcze.

W surowym świetle dnia wydaje się całkiem oczywiste, co to jest – to drugie kółko otaczające mniejsze, które sprawia, że brzegi są zamazane. Przesuwam palcem po powierzchni znamienia – wystaje ponad skórę jak blizna. Odtwarzam zarys węża, który zwija się tak, że pożera swój własny ogon.

To Jorgumand.

Niewiele szesnastolatek to wie, ale ja znam ten symbol z książki o mitologii należącej do ojca. Jest jednocześnie znajomy i straszny, bo niby czemu taki symbol miałby się pojawić na mojej skórze?

Tylko przez chwilę rozważam możliwość porozmawiania o tym z ciotką Virginią. Dość już miała smutku i strapienia po śmierci ojca. Ponieważ jest naszą jedyną żyjącą krewną, to ona jest za nas odpowiedzialna. Nie dorzucę kolejnego zmartwienia do tych, które na nią spadły.

Przygryzam dolną wargę. Nie da się, myśląc o mojej siostrze, nie pamiętać jej siedzącej na podłodze w Ciemnym Pokoju. Postanawiam zapytać, co tam robiła. Zważając na okoliczności, jest to logiczne pytanie. A potem pokażę jej znamię.

Ubrawszy się, wychodzę na korytarz, gotowa na poszukiwanie Alice. Mam nadzieję, że nie poszła spacerować po okolicy – robi tak od dziecka. Znacznie łatwiej będzie ją znaleźć, jeśli wygrzewa się na słońcu w swoim ulubionym miejscu na tarasie niż przeczesywać pola i lasy wokół Birchwood. Kiedy wychodzę od siebie, mój wzrok przesuwają się w stronę zamkniętych drzwi Ciemnego Pokoju. Wyglądają tak jak zawsze. Można nawet wyobrazić sobie, że ojciec żyje i siedzi w bibliotece, że moja siostra nigdy nie klęczała na podłodze w tym zakazanym pomieszczeniu, okryta tajemnicą nocy. A przecież tak było.

Podejmuję decyzję, zanim ją sobie w pełni uświadomiam. Szybko przechodzę przez korytarz. Na progu pokoju nie waham się lecz otwieram drzwi i po chwili jestem już w środku.

Pokój jest taki, jak go zapamiętałam: kotary są zaciągnięte i nie wpuszczają światła dziennego, a dywan leży na swoim miejscu, przykrywając drewnianą podłogę. Powietrze pulsuje dziwną energią, te wibracje brzęczą nawet w moich żyłach. Potrząsam głową i dźwięk prawie znika. Podchodzę do komody i otwieram górną szufladę. Nie powinnam się dziwić, znajdując w niej rzeczy matki, ale

jestem zaskoczona. Przez większość mojego życia matka była w zasadzie samą myślą. Tymczasem delikatny jedwab i koronki jej halek i pończoch sprawiają, że wydaje się rzeczywista. Nagle widzę ją kobietę z krwi i kości, przy porannym ubieraniu się.

Zmuszam się, by pod bielizną poszukać czegoś, co mogłoby wyjaśnić obecność ojca w tym pokoju w chwili śmierci – jakiegoś pamiątnika, starego listu, czegokolwiek. Ponieważ nic nie znajduję, przetrząsam pozostałe szuflady. Jednak nic tu nie ma. Nic poza perfumowanym papierem do wykładania mebli, który dawno już stracił swój zapach.

Opieram się lekko o toaletkę, rozglądając się po pokoju i zgadując, gdzie mogłyby być inne skrytki. Podchodzę do łóżka, klękam i unoszę starą narzutę, zaglądając pod spód. Jest tam nieskazitelnie czysto – na pewno pokojówka przy ostatnim sprzątaniu wymiotła cały kurz i pajęczyny.

Wzrok mam teraz utkwiony w dywan. Obraz Alice siedzącej w kręgu noszę wyryty w pamięci. Wiem, co widziałam, jednak nie potrafię powstrzymać się i nie zajrzeć. Muszę być pewna.

Zbliżam się do dywanu i kiedy staję na jego skraju, zaczyna brzęczeć mi w głowie; wibracje opanowują moje myśli i moją zdolność widzenia, wydaje mi się, że zemdleję. Drętwieją mi czubki palców, w stopach czuję mrowienie, które wędruje w górę, aż zaczynam się bać, że nie utrzymam się na nogach.

I wtedy słyszę szept. Ten sam, który słyszałam w nocy, zanim podeszłam do Ciemnego Pokoju. Tym razem grozi mi, jak gdyby ostrzega, mówi, żebym się wycofała. Czoło spływa mi zimnym potem, zaczynam drżeć. Nie, nie drżeć. *Trząść się*. Trzęsę się tak mocno, że szczękam zębami, a potem osuwam się na podłogę obok dywanu. Szept staje się coraz głośniejszy, głowę przepelnia mi wielki szum, a potem krzyk wielu głosów. Nie chcę zrezygnować, chwytam róg dywanu palcami, które ledwie mogą objąć jego sploty.

Ciągnę, a wtedy szepty cichną.

Krąg nadal tam jest, tak jak był poprzedniej nocy. A chociaż szeptów już nie słychać, reakcja mojego ciała na widok tego koła nasila się. Wydaje mi się, że zwymiotuję. Ciemność nie jest dziś przeszkodą i widzę, że wyżłobienia są świeże tam, gdzie w drewnie wyryto krąg. Nie jest on pozostałością z czasów, kiedy w Ciemnym Pokoju mieszkała moja matka – to nowy dodatek.

Zaciągam dywan z powrotem, przykrywając wyżłobiony kształt, i wstaję na trzęsących się nogach. Nie pozwolę wygonić się z pokoju. To pokój mojej matki. Z trudem ruszam w stronę szafy, jak zaplanowałam, ale muszę obchodzić dywan naokoło – moje stopy nie potrafią, *nie dają* dopuścić mnie zbyt blisko niego.

Otwieram drzwi szafy na oścież i przeprowadzam szybką rewizję, wiedząc, że nie jest tak dokładna, jak mogłaby być, i wiedząc też, że już mi na tym nie zależy, gdyż naprawdę muszę wyjść z pokoju.

Tak czy owak, w szafie nie ma nic ciekawego. Jakieś stare suknie, peleryna, cztery gorsety. Cokolwiek przywiodło ojca do tego pomieszczenia, jest tak niewytłumaczalne, jak powód, dla którego Alice znalazła się tu poprzedniej nocy lub dla którego pojawiłam się tutaj ja.

Okrażam dywan i idę w stronę drzwi tak szybko, jak się da, byle nie biec. Im dalej jestem od dywanu i od kręgu, tym lepiej się czuję, choć nadal niezbyt dobrze.

Zamykam drzwi za sobą głośniej niż trzeba, opieram się o ścianę i z trudem przełykam żółć, która podeszła mi do gardła. Nie wiem, jak długo tak stoję, łapiąc oddech i próbując opanować reakcje swojego ciała, ale przez cały czas mam głowę pełną dzikich, przerażających myśli.

Rozdział III

Ten dzień jest jak diament – z zewnątrz jaśniej, jednak nie towarzyszy temu żadne ciepło wewnętrzne. Henry siedzi w swoim wózku nad rzeką wraz z Edmundem. To jedno z ulubionych miejsc Henry'ego. Choć było to dawno temu, pamiętam, jak układano równą kamienną dróżkę, która prowadzi zakolami prawie nad sam brzeg. Ojciec kazał ją wybrukować, kiedy Henry był malutki i lubił plusk kamyczków wrzucanych do wody. Edmunda i Henry'ego często można znaleźć na nabrzeżu rwącej rzeki, jak puszczają kaczki i potajemnie zakładają się o drobne rzeczy – jest to zabronione, ale ciotka Virginia przymyka na to oko.

Okrażam dom i z ulgą odkrywam, że Alice jest na tarasie obok werandy. Poza otwartą przestrzeń, która otacza dom ze wszystkich stron, najbardziej lubi właśnie to przeszklone pomieszczenie.

Weranda jednak jest zamknięta od listopada do marca z powodu zimna. W tych miesiącach Alice często wyleguje się na leżaku na tarasie zawinięta w koc, nawet w te dni, które ja uważam za nieprzyjemnie chłodne.

Teraz siedzi z wyciągniętymi nogami, a pończochy opadły jej do kostek, pokazując więcej, niż uważa się za stosowne poza obrębem ścian Birchwood Manor. Jej twarz, znów okrągła i delikatna, pozbawiona jakże innych ostrych rysów z ostatniej nocy, jest zwrócona ku słońcu; oczy są zamknięte. Na ustach gra cień uśmiechu, a kiedy wyginają się w łuk, nie wiadomo, czy będzie to przebiegły, czy spokojny uśmiech.

– Czemu tak stoisz i gapisz się, Lia?

Jej głos zaskakuje mnie, podobnie jak to, że twarz Alice wcale nie zmienia wyrazu. Podeszłam przecież po cichu, zatrzymując się na trawie przed kamiennym tarasem, który mógłby zdradzić moje przybycie. A jednak ona wie, że tu jestem.

– Nie gapię się, Alice. Po prostu cię obserwowałam. Wyglądasz na szczęśliwą.

Obcasy moich butów stukają po kamieniach, kiedy zbliżam się do niej. Staram się ukryć oskarżycielską nutę, jaka zakradła się między moje słowa.

– Dlaczego nie miałabym być szczęśliwa

– Myślę, dlaczego miałabyś być, Alice. Jak możesz być szczęśliwa w takim czasie jak teraz? –
Twarz płonie mi gniewem i nagle cieszę się, że oczy Alice są zamknięte.

Teraz jednak je otwiera i przygląda się mojej twarzy, jakby czytała mi w myślach.

– W świecie materii ojca już nie ma, Lia. Jest w niebie razem z matką. Czy nie chciałby tam być?

W twarzy Alice jest coś zagadkowego, jakiś ślad spokoju i szczęścia, który wydaje się nie na miejscu tak szybko po śmierci ojca.

– Nnnie ... nie wiem. Wcześniej straciłyśmy matkę. Myślałabym raczej, że ojciec chciałby być tutaj i opiekować się nami. – Teraz, gdy zostały wypowiedziane na głos, słowa te brzmią dziecinnie i znowu przychodzi mi do głowy, że Alice jest silniejsza z nas dwóch.

Przechyliła głowę w moją stronę.

– Jestem pewna, że nadal się nami opiekuje, Lia. A poza tym, czy jest coś, przed czym miałby nas chronić?

Czuję te wszystkie rzeczy, o których moja siostra nie wspomniała. Nie wiem, czym są, ale dotyczą czegoś mrocznego i w jednej chwili ogarnia mnie strach. Nagle wiem, że nie spytam Alice, co robiła w Ciemnym Pokoju, i że nie pokażę jej znamienia, choć trudno byłoby mi podać jeden konkretny powód.

– Ja się nie boję, Alice. Ja tylko za nim tęsknię. To wszystko.

Nie odpowiada; zamknęła oczy, a bladą twarz, na którą powrócił spokój, znów wystawiła do słońca. Nie pozostaje już nic do powiedzenia i nic do zrobienia, można tylko odwrócić się i odejść.

Po powrocie do domu słyszę jakieś głosy w bibliotece. Nie mogę zrozumieć słów, ale są to głosy mężczyzn. Przez chwilę nasłuchuję barytonowych wibracji, ciesząc się nimi, zanim otworzę drzwi. Kiedy wchodzę do środka, James unosi głowę.

– Dzień dobry, Lia. Nie jesteśmy zbyt głośno, mam nadzieję. – W jego powitaniu pobrzmiwa nuta zaniepokojenia i natychmiast rozumiem, że jest coś, o czym chciałby porozmawiać na osobności.

– Ależ skąd – zaprzeczam. – To miło znowu słyszeć głosy dochodzące z gabinetu ojca.

Pan Douglas ogląda przez lupę brązową okładkę grubej książki.

– Dzień dobry, panie Douglas.

Podnosi wzrok i mruga, jakby chciał lepiej mnie dostrzec, po czym życzliwie kiwa głową.

– Dzień dobry, Amalio. Jak się dzisiaj czujesz?

– Całkiem nieźle, panie Douglas. Dziękuję, że pan pyta i że dalej kataloguje pan zbiory ojca. Chciał, by katalog był gotowy. Cieszyłby się, wiedząc, że prace postępują.

Pan Douglas znowu kiwa głową, już bez uśmiechu, a w bibliotece zapada milczenie wypełnione wspólnym smutkiem grona przyjaciół. Z ulgą przyjmuję fakt, że pan Douglas wraca do pracy, odwraca wzrok i szuka czegoś, co chyba odłożył w niewłaściwe miejsce.

– No tak. .. Gdzież ten przekłety rejestr? – Coraz bardziej gorączkowo odsuwa papiery na boki. – Wiem! Pewnie zostawiłem go w powozie. James, ja za chwilę wracam. Ty pracuj dalej. – Odwraca się i wychodzi.

James i ja stoimy otoczeni nagłą ciszą spowodowaną odejściem pana Douglasa. Od dawna domyślałam się, że niekończące się katalogowanie zbiorów bibliotecznych jest związane zarówno z pragnieniem mojego ojca, by widzieć mnie i Jamesa razem, jak i z ciągłym pojawianiem się nowości w kolekcji. W swoich opiniach na temat kobiet, intelektu i podziałów klasowych mój ojciec unikał stereotypów. Nasze relacje z Douglasami oparte były na serdecznej przyjaźni i wspólnym zamiłowaniu do starych ksiąg. Choć bez wątplenia w miasteczku znajdują się tacy, którzy uważają tę znajomość za niestosowną, ojciec nigdy nie dopuścił, by poglądy innych zastąpiły jego własne.

James wyciąga rękę, bierze moją i delikatnie przyciąga mnie do siebie.

– Jak się masz, Lia? Co mógłbym dla ciebie zrobić?

Troska w jego głosie i to szorstkie zainteresowanie sprawiają, że w oczach stają mi łzy. Jednocześnie przepelnia mnie smutek i ulga. Bezpieczna w obecności Jamesa, nagle zdaję sobie sprawę, jakim obciążeniem jest dla mnie nieustanna ostrożność wobec Alice.

Kręcę przecząco głową i odchrząkuję, nim ośmielam się przemówić.

– Nie. Myślę, że po prostu trzeba czasu, żeby przywyknąć do nieobecności ojca. – Usiłuję być silna, ale łzy płyną mi po policzkach. Zakrywam buzię dłońmi.

– Lia. Lia. – James odsuwa je z twarzy i bierze w swoje. – Wiem, jak ważny był dla ciebie ojciec. Wiem, że już nie jest, jak było, ale jestem tu, gdybyś czegoś potrzebowała. Czegokolwiek.

Oczy Jamesa płoną, wpatrzone w moje, jego tweedowa marynarka dotyka mojej sukni. Znajoma fala gorąca wypływa z brzucha i dociera do wszystkich zakątków ciała, nawet tych tajemniczych miejsc, które kryją obietnice na przyszłość.

James niechętnie odsuwa się ode mnie, prostuje i mówi:

– Myślę, że kiedyś może nadejdzie dzień, gdy ojciec nie zapomni zabrać rejestru z powozu, ale dziś to dla nas szczęśliwy zbieg okoliczności. Chodź! Pokażę ci, co znalazłem. – Ciągnie mnie za sobą, a ja sama jestem zaskoczona, że się uśmiecham, mimo że palce Jamesa niemal dotykają znamienia.

– Czekaj! Co to jest? – wołam.

Kiedy docieramy do regału obok okna, puszcza moją rękę i sięga na półkę za stertę książek, które czekają na skatalogowanie.

– Dziś rano odkryłem coś ciekawego. Książkę, o której nie wiedziałem, że twój ojciec ją kupił.

– Jaką... – mój wzrok spoczywa na pojawiającym się czarnym tomie – książkę?

– Właśnie tę. – James chce mi ją podać. – Znalazłem ją kilka dni temu, po... – Niepewny, jak ma mówić o śmierci mojego ojca James uśmiecha się smutno i kontynuuje swoją relację: – Po prostu włożyłem ją za inne, żeby pokazać tobie, zanim zostanie włączona do katalogu. Była ukryta w schowku zrobionym w jednej z desek z tyłu regału. Mój ojciec jak zwykle szukał okularów i wcale jej nie zobaczył. A twój ojciec... Cóż, to oczywiste, że nie chciał, by ktokolwiek wiedział, iż ona tam jest, choć nie jestem pewien dlaczego. Myślałem, że może chciałabyś ją zobaczyć.

Kiedy obrzucam książkę spojrzeniem, jakieś wspomnienie przepływa przeze mnie jak fala, mimo iż jestem przekonana, że książki nigdy w życiu nie widziałam.

– Mogę? – Wyciągam po nią rękę

– Oczywiście. Należy do ciebie, Lia. Albo... Należała do twojego ojca, więc zakładam, że teraz należy do ciebie. I, rzecz jasna, do Alice i Henry'ego.

Ale to przyszło mu do głowy później. Książkę daje mnie. Skórzana oprawa jest chłodna i sucha w dotyku, ozdobiona ornamentem, który mogę tylko wyczuć palcami. Jest bardzo stara, to jasne.

Wraca mi głos, ale jestem zbyt zafascynowana książką, żeby spojrzeć na Jamesa.

– Co to jest?

– Właśnie o to chodzi. Nie wiem. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Okładka stęka i skrzypi, kiedy ją rozkładam, a na ziemię opadają drobinki skóry, unosząc się przez chwilę jak kurz w słonecznym świetle. Co dziwne, jest tylko jedna stronica zapisana słowami, które niejasno przypominają mi łacinę. Nagle żałuję, że nie przykładałam się bardziej do nauki języków w Wycliffe.

– Co tu jest napisane?

Muskając moje ramię, James pochyla się, żeby popatrzeć na kartkę.

– Tu jest napisane *Librum Maleficii et Disordinae*. – Patrzy mi w oczy. – Co mniej więcej znaczy *Księga Chaosu*.

– *Księga Chaosu*? – kręcę głową. – Ojciec nigdy o niej nie wspominał, a ja orientuję się w jego zbiorach tak dobrze, jak znał je on sam.

– Wiem. Nie przypuszczam też, żeby kiedykolwiek wspomniał o niej mojemu ojcu. A już na pewno nie mnie.

– Co to za książka?

– Cóż, przypomniałem sobie, że miałaś kłopoty z łaciną, więc wziąłem ją do domu i przygotowałem tłumaczenie. Byłem pewien, że będziesz chciała dowiedzieć się więcej. – Przy tych ostatnich słowach oczy mu błyszczą i rozumiem, że miały być niewielkim przytykiem do mojej niezaspokojonej ciekawości.

Przewracam oczami i uśmiecham się, udając załamana postawą Jamesa.

– Dobrze już, dobrze. O czym mówi ten tekst?

James patrzy znowu na książkę, musi odkaslnąć, zanim zacznie mówić.

– Zaczyna się tak: *Ludzkość przetrwała pożogę i pokój, aż do zesłania Strażniczki, którzy jako żony i kochanki wzięli ziemskie kobiety, budząc tym Jego gniew.*

Kiwam głową.

– To jakaś opowieść?

James przerywa.

– Chyba tak, ale wcześniej jej nie słyszałem.

Odwracam tę jedyną kartkę. Nie mam pojęcia, czego szukam, bo przecież widać, że nic tam już nie ma.

– Dalej tekst mówi... – dodaje James, wyprzedzając moje pytania. – *Dwie siostry, ukształtowane w jednym rozkołysanym oceanie, jedna Strażniczką, druga jest Bramą. Jedna strzeże spokoju, druga za magię oddała umiłowanie.*

– Dwie siostry, ukształtowane w jednym rozkołysanym oceanie... Nie rozumiem.

– To chyba przenośnia. Chodzi o wody płodowe. Myślę, że to odnosi się do bliźniąt. Takich jak ty i Alice.

Słowa Jamesa odbijają się echem w moich myślach. *Takich jak ty i Alice. I takich jak matka i ciotka Virginia, albo wcześniej ich matka i ciotka* – myślę.

– A co ze *Strażniczką* i *Bramą*? Co to znaczy?

Napotykać mój wzrok, James wzrusza ramionami.

– Przykro mi, Lia. Tej części nie rozumiem.

Korytarzem nadpływa głos pana Douglasa, więc spoglądamy na drzwi biblioteki. Patrę na Jamesa jeszcze raz, podczas gdy słowa jego ojca słyszeć coraz głośniejsze, coraz bliżej drzwi.

– Przetłumaczyłeś całą stronę?

– Tak. Ja ... ja to wszystko dla ciebie spisałem.

Sięga do kieszeni, a głos pana Douglasa jest tuż-tuż za drzwiami – uczciwie ostrzegając nas o jego nadejściu:

– Świetnie, Wirginio. Herbata to doskonały pomysł.

Kładę rękę na ramieniu Jamesa.

– Możesz przynieść mi to później nad rzekę? – To nad rzeką zazwyczaj się spotykamy, choć w celach nie tak statecznych jak czytanie lektur.

– No ... dobrze. Podczas przerwy na lunch? Możesz wtedy spotkać się ze mną?

Przytakuję, oddając książkę, bo jego ojciec już otwiera drzwi.

– Znalazłem! Widzisz, James, to tak, jak mówiłem – na starość tracę głowę! – Pan Douglas wymachuje oprawionym w skórę rejestrem.

Uśmiech Jamesa jest olśniewający.

– Bzdura, tato. Po prostu masz zbyt wiele zajęć, to wszystko.

Słucham tego przekomarzania jednym uchem. Dlaczego książka była ukryta w bibliotece? To niepodobne do mojego ojca, żeby tak rzadki i ciekawy nabytek zachować wyłącznie dla siebie, mogę więc tylko przypuszczać, że musiał mieć jakiś powód.

A ja mam swoje powody, by chcieć dowiedzieć się więcej.

To nie przypadek, że ojca znaleziono martwego na podłodze w Ciemnym Pokoju, że wkrótce potem odkryłam znamię, obserwowałam niesamowite obrzędy odprawiane przez moją siostrę i dostałam tę dziwną, ukrywaną książkę. Nie mam pewności, co to wszystko znaczy i czy te wydarzenia łączą się ze sobą, ale sądzę, że tak.

I mam zamiar dowiedzieć się, w jaki sposób.

Rozdział IV

Henry'ego i Edmunda nie ma już nad rzeką. Edmund zawsze był opiekuńczy wobec mojego brata, a teraz, kiedy ojciec odszedł na pewno będzie jeszcze bardziej troszczył się o chłopca. W powietrzu czuć chłód, zwiastujący nadchodzącą zimą; troska o Henry'ego to nawyk nas wszystkich.

Podążam ścieżką prowadzącą nad rzekę i wchodzę do lasu, kierując się w stronę kamienia leżącego w cieniu wielkiego dębu. Kiedy sadowię się na tym głazie, który razem z Jamesem nazywamy „naszym”, ogarnia mnie spokój. Tutaj przecież nie może się zdarzyć nic złego ani strasznego. Kiedy dochodzi mnie odgłos kroków Jamesa, prawie zdołałam wmówić sobie, że wszystko jest tak, jak być powinno.

James się zbliża, a ja, roześmiana, patrzę na niego pod słońce, kiedy stoi przede mną. Bierze mnie za rękę i, też uśmiechnięty, ciągnie, żebym wstała.

– Przepraszam. Kończyliśmy dział historii religii. Ojciec chciał, żeby był gotowy przed przerwą na lunch. Długo czekasz?

Przyciąga mnie do siebie z jakąś nieznaną delikatnością, jakby strata ojca uczyniła mnie bardziej kruchą. Chyba tak jest, chociaż nie przyznałabym się do tego przed nikim. Tylko James zna mnie wystarczająco dobrze i kocha na tyle mocno, żeby dojrzeć mój smutek, mimo że z zewnątrz wyglądam tak samo.

– Niedługo – odpowiadam. – Poza tym miło jest czekać na ciebie w tym miejscu. To miejsce przypomina mi o tobie, kiedy czekam.

James przechyla głowę i palcem obrysowuje moją twarz – od potarganych loków na skroni, przez wystającą kość policzkową, do łuku podbródka.

– Mnie wszystko przypomina o tobie.

Nachyla się do moich ust. Pocałunek jest delikatny, ale nie potrzebuję silnego dotknięcia warg, żeby czuć, jak bardzo jego ciało pragnie mojego. James odsuwa się; stara się, bym nie czuła jakiegokolwiek presji w tych dniach po śmierci ojca. Dla dobrze wychowanej dziewczyny nie ma odpowiedniego sposobu, aby powiedzieć mu, że taka presja mi nie przeszkadza, że dotyk jego ust

i bliskość jego ciała to jedyne, co pozwala mi zachować kontakt z rzeczywistością – a jeszcze do niedawna myślałam, że nigdy go nie tracę.

– Wiesz... – James prostuje się. – Popatrz. Przyniosłem swoje notatki na temat książki.

Siada na kamieniu, a ja wygodnie koło niego. Moja suknia szeleści, ocierając się o szorstki materiał jego spodni. James wyciąga książkę z zanadru wraz ze złożoną kartką papieru. Wygładza stronicę na udzie, schylając swoją złotą głowę nad pochyłym pismem pokrywającym cały arkusz.

– Jeśli wierzyć księdze, to bardzo stara historia.

– Jaka historia?

– Opowieść o aniołach czy raczej... tak, demonach. Masz, możesz sama przeczytać.

James znowu sadowi się na kamieniu, a książkę i notatki wręcza mnie. Przez chwilę nie mam ochoty tego czytać. Zastanawiam się, czy jest jakiś sposób, żeby to zignorować. Po prostu żyć dalej, tak jak żyłam wcześniej, udając, że to wszystko nie istnieje. Ale ta chwila nie trwa długo. Przecież już teraz czuję kółka niewidzialnego mechanizmu, obracające się wszędzie wokół mnie. Będą się kręcić dalej, bez względu na to, co zrobię. Skądś to wiem.

Pochyliłam wzrok nad spokojnym pismem Jamesa, dziwnie niepasującym do grozy słów, które nie on ułożył.

Ludzkość przetrwała pożogę i pokój,

Aż do zesłania Strażników,

Którzy jako żony i kochanki pojęli ziemskie kobiety,

Budząc tym Jego gniew.

Dwie siostry, ukształtowane w jednym rozkołysanym oceanie,

Jedna Strażniczką, druga jest Bramą.

Jedna strzeże spokoju, druga za magię oddała umiłowanie.

Stracone z nieba Dusze bląkają się

– Podczas gdy Siostry tedy: toczą bitwę,

Dopóki Bramy nie wezwą ich do potoroac

Lub Anioł nie przyniesie Kluczy do Czeluści.

Armia, przekraczająca przez Bramy.

Samael, Bestia, przez Anioła.
Anioł chroniony jest tylko cienkim woalem.
Cztery Znamiona, Cztery Klucze, Krąg Ognia
Zrodzone pierwszym tchnieniem Samhainu
W cieniu Mistycznego Kamiennego Węża w Aubur.
Niech Brama Anioła kołysze się bez końca,
A potem tylko Siedem Plag i Niemożność Odwrotu.
Śmierć
Głód
Krew
Ogień
Ciemność
Susza
Zniszczenie
Otwórz ramiona, o, Pani Chaosu, a spustoszenie zesłane przez Bestię
Popłynie jak rzeka,
Bo wszystko stracone, gdy Siedem Plag tutaj spadnie.

Moja uwaga zwraca się ponownie ku dziwacznej, jednostronicowej książce. Nie wiem tyle o książkach co James, ale nawet ja zdaję sobie sprawę, że to niezwykle, aby ktoś chciał oddać książkę do druku i oprawy tylko z jedną stroną.

– Czy nie powinno być ich więcej? Tu nic nie ma. Po opowieści nic już nie ma. Chyba powinno być coś więcej. Historia tego, co było dalej ...

– To samo pomyślałem. Uważaj, coś ci pokażę.

James przesuwa książkę tak, by leżała pomiędzy nami, częściowo na moich, częściowo na jego kolanach, i przewraca tę jedną jedyną stronę.

– Spójrz tutaj.

– Nic nie widzę.

Wyciąga z kieszeni lupę, podaje mi ją i mocno odciąga okładkę.

– Patrz uważnie, Lia. Na początku trudno zauważyć.

Przesuwam lupę wzdłuż miejsca, które wskazał mi palcem, nachylając się tuż nad książką. Wtedy widzę ślad po usuniętych stronach, tak delikatny, jakby ich stamtąd wcale nie wyrwano, jakby ktoś wziął brzytwę i starannie wyciął z książki kartki, które kiedyś w niej były.

Podnoszę wzrok.

– Tu było więcej stron.

James przytakuje.

– Ale dlaczego ktoś miałby je usuwać z takiej starej książki? Po pierwsze, na pewno była dosyć cenna.

– Nie wiem. Widziałem wiele dziwnych rzeczy, jakie ludzie robią z książkami, wiele zniszczeń, ale wycinanie stron z takiej jak ta to po prostu świętokradztwo.

Odczuwam stratę tych stron, których nigdy nie widziałam

– Gdzieś musi istnieć inny egzemplarz. – Zamykam książkę i oglądam grzbiet, szukając jakichś danych wydawcy.

– Nawet gdyby to był jedyny egzemplarz, wydawca powinien mieć swoją kopię, prawda?

James najpierw zaciska usta, potem odpowiada.

– Obawiam się, że to nie takie proste, Lia.

– Co masz na myśli? Dlaczego nie?

Oczy Jamesa wędrują ku książce, która nadal spoczywa w mojej ręce, a potem uciekają w bok.

– Ja jeszcze ... nie powiedziałem ci najdziwniejszej rzeczy o tej książce.

– Chcesz powiedzieć, że jest coś bardziej dziwnego niż sama opowieść?

James kiwa głową.

– O wiele bardziej dziwnego. Słuchaj, Lia, wiesz od ojca i ode mnie, że w książkach można znaleźć wiele wskazówek. Czcionka, tusz, nawet skóra i sposób oprawienia mogą nam powiedzieć, skąd książka pochodzi i ile ma lat. Prawie wszystko, co chcemy wiedzieć o książce, można odkryć, dokładnie ją oglądając.

– A więc? Skąd ona jest?

– W tym właśnie problem. Czcionka jest stara, ale o ile mi wiadomo, nigdzie nieopisana. Skóra to wcale nie jest skóra, to jakiś inny materiał, nigdy takiego nie widziałem. – James wzdycha. – Nie potrafię znaleźć ani jednej wskazówki co do pochodzenia tej książki, Lia. Nic mi się tu nie zgadza.

James nie jest przyzwyczajony do zagadek, których nie potrafi rozwiązać. Na jego twarzy widać zatroskanie, a ja nie mogę nic zrobić, żeby się mniej martwić. Brakuje mi odpowiedzi tak jak jemu.

W zasadzie mam o wiele więcej pytań, niż James przypuszcza, że można by zadać.

* * *

Wracam znad rzeki i widzę, że Henry siedzi sam w salonie nad szachownicą. Na ten widok ściska mnie w gardle. Staram się uspokoić, zanim Henry mnie zobaczy. Jego dni, bez gry w szachy z ojcem albo wspólnego czytania przy kominku, będą teraz puste. Mój brat nie może nawet rozerwać się w szkole, ponieważ ojciec wziął jego edukację na siebie i całymi godzinami uczył go rzeczy daleko wykraczających poza to, co uważa się za konieczne. W ten sposób ojciec pracował również nad wykształceniem moim i Alice, ucząc nas o różnych mitologiach i systemach filozoficznych. Nawet to, że uczęszczałyśmy do Wycliffe dwa razy w tygodniu, były pewnym kompromisem, ponieważ ojciec sądził, że to on by nas lepiej uczył. Ciotka Virginia natomiast uważała, że dziewczęta w naszym wieku więcej zyskują, przebywając z rówieśnikami. Oczywiście Alice i ja wiele skorzystałyśmy z tego, że byliśmy razem z ojcem przez szesnaście lat. My możemy kontynuować edukację niezależnie od programu szkolnego w Wycliffe, jeśli będziemy miały ochotę, ale co będzie z Henrym?

Przełykam obawy o jego przyszłość i wchodzę do salonu tak żwawo i beztrosko, jak tylko umiem. Kiedy pytam, czy przydałoby mu się towarzystwo, oczy mu błyszczą, na zmianę czytamy więc *Wyspę skarbów na głos*, a kot Ari mruczy, ocierając się o moją nogę; jakby wiedział, że potrzeba mi pociechy. Ta prosta przyjemność pozwala mi choć na chwilę zapomnieć o wydarzeniach rozgrywających się wokół mnie.

Kiedy kończymy czytać, jest późno, a ja czuję się zmęczona. Mówię Henry'emu „dobranoc”, zostawiając go przy kominku z książką. Jestem w połowie schodów, gdy słyszę głos Alice dochodzący z biblioteki. Mimo że jest to pomieszczenie dostępne dla każdego, nie pamiętam, kiedy ostatni raz ją tam widziałam. Ciekawość zwycięża. Idąc w stronę biblioteki, słyszę, że Alice mówi

bardzo cicho, jakby sama do siebie. Ale już po minucie zdaję sobie sprawę, że jest z kimś. Jej głos współgra z głębszym tembrem męskiego głosu, a gdy stoję przy na wpół otwartych drzwiach biblioteki, ze zdziwieniem spostrzegam Jamesa siedzącego na krześle z wysokim oparciem przy stole do czytania.

Niezwykłe jest już to, że przypadkowo znalazłam Alice w bibliotece a jeszcze dziwniejsze, że rozmawia na osobności z Jamesem. Oczywiście dobrze się znają, zważając na przyjaźń pomiędzy naszymi rodzinami oraz relacje pomiędzy mną i moim ukochanym, ale to nigdy nie była zażyła znajomość. Nigdy nie zauważyłam między nimi ani śladu wzajemnego zainteresowania czy nawet żartobliwego flirtu, jednak uczucie, jakie rodzi się we mnie, kiedy widzę ich razem, niebezpiecznie przypomina panikę.

Milczę, obserwując, jak Alice powoli staje za krzesłem Jamesa. Przesuwa palcem po wysokim oparciu mebla, prawie dotykając karku mojego chłopca.

– Myślę, że powinnam częściej zaglądać do biblioteki teraz, kiedy zabrakło ojca – mówi, a raczej uwodzicielsko mruczy. James prostuje się na krześle i patrzy w przód, jakby Alice w tym momencie nie zachowywała się nadzwyczaj niestosownie.

– Tak, masz ją tutaj, u siebie w domu. Możesz korzystać z niej, kiedy zechcesz.

– To prawda. Ale nie wiedziałabym, od czego zacząć. – Alice stoi za Jamesem bez ruchu, lekko opierając się dłońmi na jego ramionach, a góra jej sukienki prawie dotyka jego głowy. – Może mógłbyś mi pomóc wybrać coś, co najlepiej odpowiada moim... zainteresowaniom.

James gwałtownie wstaje, podchodzi do biurka i jest bardzo zajęty przekładaniem leżących na nim papierów.

– Ja, prawdę mówiąc, mam dużo pracy z katalogiem. Jestem pewien, że Lia zechce ci pomóc. Zna bibliotekę i zbiory lepiej niż ja.

James jest odwrócony do Alice plecami. Nie widzi więc jej wyrazu twarzy, ale ja tak. Dostrzegam wściekłość, która równa się mojej. Co ona sobie wyobraża? Mam tego dość i wchodzę do środka, a potem szybko przechodzę przez pomieszczenie. Alice jest zdziwiona moją obecnością, choć nie tak speszona, jak można by się spodziewać. Kiedy zbliżam się do Jamesa, on podnosi wzrok.

– Lia – mówi – chciałem skończyć jeszcze parę rzeczy, ale ojciec miał spotkanie z klientem. Zaraz tu po mnie przyjedzie. – Wyciąga z kieszeni zegarek i sprawdza, która jest godzina, a potem wychodzi.

Rozdział V

Następnego dnia w drodze do miasta moja siostra milczy. Nie pytam dlaczego, chociaż milcząca Alice to rzadkość. Tym razem jej milczenie jest echem mojego. Kątem oka popatruję na nią, obserwuję łuk jej podbródka i loki podskakujące na karku, kiedy tak schyla głowę w stronę okienka powozu.

Powóz, klekocząc, zatrzymuje się, a Alice prostuje się, wygładza suknię i patrzy na mnie.

– Czemu jesteś taka nieszczęśliwa, Lia? Czy nie jest miło uciec z posępnego Birchwood? Niestety wiadomo, że ten wielki ponury dom będzie wciąż na nas czekał po szkole.

Mówi te słowa z humorem, ale czuję w jej głosie napięcie, widzę je w zbyt dobrze kontrolowanym wyrazie twarzy. To Alice w wersji teatralnej, Alice, która uważnie przestudiowała swoją rolę.

Ponieważ Edmund otwiera drzwi powozu, uśmiecham się.

– Proszę, panienko.

– Dziękuję, Edmundzie. – Czekam na chodniku, aż Alice wysiądzie z powozu. Jak zwykle nie odezwała się do woźnicy ani słowem.

Przed odjazdem Edmund zwraca się do mnie:

– Przyjadę na koniec lekcji, panienko. – Nieczęsto się uśmiecha, ale teraz to robi – tak lekko, iż zastanawiam się, czy ten uśmiech jest dostrzegalny dla kogoś oprócz mnie.

– Oczywiście. Do widzenia, Edmundzie. – Pędzę, by dogonić Alice, która wchodzi na schody do Wycliffe. – Mogłabyś przynajmniej być uprzejma, Alice.

Alice odwraca się z beztroskim uśmiechem.

– A niby czemu? Edmund od lat pracuje dla rodziny Milthorpe'ów. Czy uważasz, że zwykle „proszę” albo „dziękuję” wyręczy go w pracy?

– Może tylko sprawi, że będzie bardziej przyjemna.

To stary argument. Sposób, w jaki Alice traktuje służbę w Birchwood, jest od zawsze naganny. Co gorsza, jej brak uprzejmości rozciąga się na członków rodziny, szczególnie na ciotkę Virginie.

Ciotka nie skarży się wprost, ale widzę, jak jej twarz zasnuwa cień niechęci, kiedy Alice odnosi się do niej jak do prostej niańki.

Alice wzdycha, poirytowana, bierze mnie za rękę i ciągnie po schodach do wejścia.

– Na litość boską, Lia! Chodźże! Przez ciebie się spóźnimy.

Potykam się po schodach za Alice, a wzrokiem szukam księgarni Douglasów, mieszczącej się na parterze pośród innych sklepów.

James jest trzy lata starszy ode mnie i już skończył szkołę. Wiem, że jest teraz w pracy w księgarni i żałuję, że nie mogę otworzyć drzwi i zawołać go. W jednym momencie Alice wciąga mnie do holu. Zamyka drzwi i, żeby się rozgrzać, rozciera ręce w rękawiczkach.

– Ojej, robi się zimno! – Rozpina płaszcz, patrząc na moje leniwe palce. – Pospiesz się, Lia, dobrze?

Nie przychodzi mi do głowy żadne inne miejsce, gdzie miałabym jeszcze mniejszą ochotę przebywać niż w Wycliffe. Ale Edmund już odjechał, zmuszam więc swoje palce do działania i wieszam płaszcz przy drzwiach. Z głębi wybiega w naszą stronę pani Thomason, równie zdenerwowana, co rozdrażniona.

– Panienki, spóźniłyście się na modlitwę poranną! Jeśli się teraz pospieszycie, wejdziecie jeszcze ukradkiem bez większego zamieszania. – Lekko popycha mnie w stronę jadalni, jak gdyby mnie trzeba było bardziej popędzać niż Alice. – Przykro mi z powodu takiej straty w waszej rodzinie. Pan Milthorpe był wspaniałym człowiekiem.

Idę za Alice do jadalni, starając się nadażyć za jej miarowymi krokami. Przez drzwi dobiega nas niesamowite uniesienie dziewczęcych głosów recytujących poranne modlitwy. Alice popycha ciężkie skrzydło i jednym ruchem jest w środku. Nawet nie próbuje nie przeszkadzać, a ja tylko mogę potulnie iść za nią, zastanawiając się, gdzie nauczyła się trzymać głowę tak wysoko, a plecy tak prosto, robiąc z nas obydwu widowisko.

Z powodu wejścia Alice głos panny Gray zacina się, na co większość dziewcząt rzuca nam spojrzenia spod opuszczonych powiek. Alice i ja wślizgujemy się na swoje miejsca i powtarzamy słowa modlitwy wraz z innymi. Kiedy wszyscy mówią „amen”, trzydzieści par oczu przygląda się nam już otwarcie. Niektóre obserwują nas w sposób, który zapewne ich właścicielki uważają za taktowny, lecz inne, na przykład oczy Victorii Alcott czy May Smithfield, nawet nie próbują skrywać ciekawości.

– Alice i Amalia. Jak to miło, że znowu jesteście z nami. Wiem, że w imieniu nas wszystkich w Wycliffe mogę powiedzieć, iż bardzo wam współczujemy. – Panna Gray wygłasza swoją wyuczoną formułkę, stojąc przy stole. Siada dopiero wtedy, gdy wymruczymy nasze podziękowania.

Emily i Hope, dziewczęta siedzące po mojej prawej i lewej stronie, unikają moich oczu. Nigdy nie byłam specjalistką od rozmów towarzyskich, a śmierć bez wątplenia nie jest ciekawym tematem.

Przyglądam się serwetce leżącej na moich kolanach, srebrnym sztuccom błyszczącym przy nakryciu, tostowi, na którym roztapia się masło. Wszystko, tylko nie te peszące spojrzenia innych dziewcząt. Ale i one unikają mojego wzroku. Wszystkie oprócz jednej.

Tylko Luisa Torelli rzuca mi szczere spojrzenie i nieśmiały uśmiech – wyraz współczucia, który dociera do mnie ponad stołem. Luisa zawsze siedzi sama, bo kiedy tylko dziewczęta w Wycliffe mogą to tak urządzić, miejsca po obydwu stronach tej uczennicy pozostają puste. Koleżanki obgadują ją, bo jest Włoszką, ale chyba bardziej z powodu zazdrości o urodę niż narodowości:

Luisa ma kruczoczarne loki, czereśniowe usta i niezwykle, ciemne oczy. To, że ja nie pasuję tutaj z prostszego powodu – jako sierota, która straciła obydwój rodziców w tajemniczych okolicznościach – nie ma już żadnego znaczenia. Nagle wiem, że jesteśmy do siebie bardziej podobne, niż mogłoby się wydawać.

Zastanawiam się, czy Luisa i ja od początku nie miałyśmy być przyjaciółkami.

* * *

Pan Douglas kupił właśnie jakiś stary francuski tekst, zostajemy więc podzielone na dwie grupy i wysłane do jego księgarni w ramach naszych studiów przekładoznawczych. Chciałabym zamienić kilka słów z Jamesem na temat książki, ale pracuje z ojcem na zapleczu, gdzie są też pozostałe dziewczęta i pani Bacon, nasza przyzwoitka.

Błyskawicznie kończę przekładać fragmenty; które mi zadano, i stoję sobie obok pierwszego regału przy oknie, przeglądając najnowsze publikacje z Londynu, kiedy nagle spomiędzy dalszych regałów dochodzi do moich uszu przyciszona rozmowa. Chowam się za wysokie półki i podglądam Alice rozmawiającą szeptem, tonem nieznoszącym sprzeciwu, z Victorią. Usta Alice zaciśnięte są w wąską kreskę, co oznacza, że podjęła już decyzję i nie zmieni jej bez względu na wszystko. Dziewczęta rozglądają się i wymykają ze sklepu, tak jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, co zrobiły. Kiedy dociera to do mnie z całą siłą, czuję jednocześnie ulgę i ból, że nie wtajemniczyły mnie w swój plan, obojętne, czego dotyczył.

Podjęcie decyzji, która mogła wpędzić mnie w nieliczne kłopoty, nie trwa tak długo, jak powinno. Gdybyśmy miały inną przyzwoitkę, zastanowiłabym się dwa razy, ale w jednej sprawie na panią Bacon można liczyć zawsze – za każdym razem, kiedy dziewczęta z Wycliffe przebywają pod jej opieką, zasypia szybko i głęboko.

Po cichu i zdecydowanie podchodzę do drzwi, starając się zachowywać tak, jakbym miała wszelkie powody, by opuścić księgarnię.

Kiedy przekręcam dłonią zimną gałkę, za moimi plecami słychać ciche chrząknięcie.

– M-hm.

Przymykam oczy, mając nadzieję, że to James przyłapał mnie na wymykaniu się, bo on na pewno mnie nie zdradzi. Ale kiedy się odwracam, widzę Luisę Torelli, która opiera się o jeden z regałów i patrzy na mnie chytrze spod firanki swoich ciemnych rzęs.

– Wybierasz się gdzieś? – pyta cicho, unosząc brwi.

Jej twarz nie wyraża groźby, tylko podniecenie, ledwie skrywane pod uśmiezkiem, który pełga na wargach Luisy. Pewnie powinnam przemyśleć decyzję o zaproszeniu jej na wyprawę, ale Alice już poszła, a ja nie chcę jej zgubić przez to, że stoję tu i nie mogę nic postanowić.

– Tak – pokazuję głową na drzwi. – Idziesz ze mną?

Przytakuje, a olśniewający uśmiech rozjaśnia jej twarz. Rusza do drzwi, jakby latami czekała na takie zaproszenie. Jest bardziej odważna niż ja, wypada ze sklepu i kroczy chodnikiem, podczas gdy ja cichutko zamykam za sobą drzwi. Czeka na mnie przed zakrętem i tam ją doganiam.

Luisa idzie dalej z oczyma wpatrzonymi w plecy oddalającej się Alice i podążającej obok Victorii.

– Przypuszczam, że idziemy za nimi ...

Kiwam głową i powoli zaczyna do mnie docierać powaga naszego wykroczenia. Luisa chyba o tym nie myśli.

– Gdzie one idą?

Patrzę na nią i wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Jej śmiech jest melodyjny, dzwoni w powietrzu tak, że jakiś przechodzący mężczyzna zatrzymuje się i przygląda nam.

– Świetnie. A więc czeka nas prawdziwa przygoda!

Powstrzymuję się od śmiechu. Luisa nie jest taka, jak sobie wyobrażałam.

– Przygoda, która będzie sporo kosztować, jeśli nas przyłapią.

Jej usta rozciągają się w psotnym grymasie.

– Cóż, przynajmniej Victoria Alcott zostanie przyłapana z nami.

Alice i Victoria dochodzą do budynku, który przypomina nasz budynek szkolny. Zatrzymują się przed wejściem, rozmawiają i ukradkiem rozglądają wokół, wspinając się po schodach w stronę drzwi. Nie zastanawiałam się, jaka będzie reakcja Alice, kiedy zobaczy, że śledziłyśmy ją, a teraz nie da się już nic zrobić i nie ma gdzie się schować. Kiedy podchodzę z Luisą, moja siostra otwiera buzię ze zdumienia.

– Lia! Co ... co ty tu robisz?

Twarz Victorii wykrzywiona jest wściekłością. Unoszę podbródek – nie mam zamiaru dać się zastraszyć.

– Widziałam, że wyszłyście. Chciałam się dowiedzieć dokąd.

– Jeżeli piśniesz słówko – grozi Victoria – pożałujesz. Ty. ..

Alice rzuca Victorii wymowne spojrzenie, a mnie przygląda się chłodno.

– Ona nie powie. Prawda, Lia? – Nie jest to pytanie, które wymaga odpowiedzi, dlatego Alice mówi dalej: – W porządku. Chodźcie. Mamy mało czasu.

Nawet nie spojrzały na Luisę, Zachowują się tak, jakby jej tu wcale nie było. Kiedy wchodzimy za nimi po schodach, przypominam sobie, że Alice mi nie odpowiedziała. Moja siostra zatrzymuje się dopiero u szczytu schodów, gdzie ogromną kołatką w kształcie lwa uderza w drewniane, rzeźbione drzwi. Kręcimy się nerwowo, w końcu słyszymy kroki nadchodzącej osoby.

Luisa ciągnie Alice za rękaw.

– Ktoś idzie!

Victoria przewraca oczami.

– Przecież słyszymy.

Oczy Luisy, jakby wycięte z czarnego onyksu, błyskają gniewem, lecz zanim zdąży powiedzieć coś na swoją obronę, drzwi otwierają się na oścież. W tym samym momencie napotykamy mroczne spojrzenie kobiety stojącej na progu.

– Słucham. – Jej wzrok onieśmiela nas. Ona chyba analizuje, która jest prowodyrem. Chciałabym skierować jej spojrzenie na Victorię, ale nie mam ani odwagi, ani okazji.

Alice prostuje się i przybiera swój najbardziej wielkopański ton.

– Dzień dobry. Przyszliśmy się spotkać z Sonią Sorrensen.

– A kim panienki są, jeśli mogę spytać? I w jakim celu macie się spotkać?

Skóra tej kobiety jest ciemna, karmelowa, oczy odrobinę jaśniejsze – prawie bursztynowe. Jak u kota.

– Chciałybyśmy zapłacić jej za seans. – Sposób bycia Alice jest iście królewski, jak gdyby kobieta nie miała żadnego prawa zadawać jej pytań, choć moja siostra jest młodą dziewczyną, która w ogóle nie powinna przebywać poza domem bez przyzwoitki.

Kobieta lekko unosi brwi.

– Dobrze. Wejdźcie do holu. Sprawdzę, czy panna Sorrensen ma czas, żeby przyjąć gości. – Przytrzyma drzwi, a my gęsiego, z szelestem spódnic, przeciskamy się przez wąskie wejście. – Proszę tu poczekać.

Wchodzi na prowizoryczne drewniane schodki, a my stoimy w całkowitym milczeniu przerywanym tylko tykaniem niewidocznego zegara, dochodzącym gdzieś z pokoju za salonem. Czuję ucisk w piersi i chciałabym stąd uciec – znalazłyśmy się w obcym domu, mamy się spotkać z nie wiadomo kim mieszkającym na górze, a nikt inny nie wie, że tu jesteśmy.

– Co my tu robimy, Alice? Co to za dom?

Uśmiech Alice jest zimny i nieubłagany. Widzę, jaką czerpie przyjemność z faktu, że wie coś, czego nie wiedzą inni.

– Jesteśmy tu, żeby spotkać się z pewną spirytystką. Osobą, która rozmawia ze zmarłymi i widzi przyszłość.

Nie mam czasu, by rozważać przyczyny; dla których Alice chce znać przyszłość. Z pokoju na górze dobiegają nas głosy. Rzucamy sobie nawzajem spojrzenia w tym ciasnym przedpokoju. W oczekiwaniu unosimy brwi, słysząc ciężkie kroki kogoś stąpającego po deskach podłogi ponad naszymi głowami.

Kobieta patrzy na nas z góry i kiwa, żebyśmy wspięły się po schodach.

– Możecie wejść.

Alice przepycha się przodem. Victoria i Luisa bez wahania podążają za nią. Dopiero gdy Luisa jest na trzecim stopniu i odwraca się do mnie, zdaję sobie sprawę, że nie uczyniłam ani kroku.

– Chodź, Lia. Będzie dobra zabawa.

Przełykam strach i uśmiecham się do niej, potem wydostaję się na górę wąskimi schodkami i przechodzę przez drzwi po prawej stronie.

Pokój jest nieoświetlony, a okna zasłonięte kotarami – tylko przy framugach można dostrzec słabe promyki światła. Za to dziewczyna siedząca przy stole ma dobre oświetlenie – otoczona jest świecami, które rzucają złoty blask na jej jasną skórę. Jej włosy błyszczą, mimo że zasłonięte okna prawie nie wpuszczają słońca. Nawet w tym ciemnym pomieszczeniu dostrzegam zarys jej policzków i już od drzwi widzę, że ma niebieskie oczy.

– Panna Sorrensen niezbyt dobrze się czuje. – Nieznajoma, która wpuściła nas do pokoju, rzuca dziewczynie oskarżycielskie spojrzenie. – Może zaproponować wam tylko krótki seans.

– Dziękuję, pani Millburn – mruczy dziewczyna do starszej kobiety, która, nie odpowiedziałwszy, zamyka za sobą drzwi. – Usiądźcie, proszę.

Alice i Victoria ostrożnie podchodzą do stołu i siadają naprzeciwko dziewczyny. Ja natomiast czuję, że coś mnie do niej przyciąga, i siadam po prawej stronie. Luisa siada obok mnie i tak zamyka się nasz nieforemny krąg.

– Dziękuję za przybycie. Nazywam się Sonia Sorrensen. Przyszłyście na seans, tak?

Kiwamy głowami, niepewne, co powiedzieć. W Wycliffe nie wpojono nam żadnych zasad zachowania, które byłyby odpowiednie na tak nieodpowiednie okazje.

Dziewczyna patrzy nam wszystkim po kolei w oczy.

– Czy jest ktoś, z kim chcielibyście nawiązać kontakt albo otrzymać od niego jakąś wiadomość?

Odzywa się tylko Victoria.

– Chcielibyśmy się spytać, co wiesz o przyszłości. Naszej przyszłości. – Brzmi nieznośnie dziecinnie i chciałabym zapamiętać ten drżący głos, móc przywołać jego wspomnienie, gdy następnym razem Victoria będzie podle zachowywać się w szkole.

– Tak... — Sonia znowu nam się przygląda, a potem jej wzrok spoczywa dłużej najpierw na Alice, potem na mnie. – Chyba będę mieć wiadomość dla was.

Oczy Alice i moje spotykają się w tym ciemnym pomieszczeniu. Przez moment wydaje mi się, że dostrzegam zimną wściekłość mojej siostry, ale szybko odrzucam to wrażenie. Nie myślę teraz precyzyjnie. Zakazana wyprawa, obcy dom, do tego prawdopodobnie udziwniony, żeby ułatwić pracę Soni – to wszystko osłabia mój kontakt z rzeczywistością. Biorę głęboki wdech.

– Weźmy się za ręce – Sonia wyciąga ramiona w obie strony. Wszystkie dłonie łączą się i w końcu zostaje tylko moja, która musi schwycić dłoń Soni i zamknąć koło. Wyciągam rękę ostrożnie, żeby nie było widać nadgarstka. Ręka Soni jest sucha i chłodna w dotyku. – Bardzo was proszę o ciszę. Nigdy nie wiem, co usłyszę i zobaczę. Działam zgodnie z wolą duchów, a one czasem wcale nie chcą się ze mną łączyć. Nie mówcie nic, o ile wam nie każę. – Mruga powiekami, a potem zamyka je.

Przyglądam się zniekształconym w ciemności twarzom wokół stołu. To zaledwie cienie twarzy tych dziewcząt, które znam, bo nikt tutaj nie wygląda tak, jak na oświetlonej słońcem ulicy.

Ponieważ dziewczęta mogą tylko patrzeć na Sonię, po kolei zamykają oczy. W końcu i ja idę w ich ślady.

Pokój musi być całkiem wygłuszony, ponieważ nie słyszę żadnych dźwięków – tętentu końskich kopyt na ulicy, wołania, nawet tykania zegara z niższego piętra. Tylko szmer wdechu i wydechu Soni. Poddaję się temu rytmowi – wdech, wydech, wdech, wydech – aż wreszcie nie mam pewności, czy to Sonia oddycha, czy to ja odliczam sekundy i minuty.

– Och! – Z miejsca Soni dolatuje do mnie westchnienie, podskakuję na krześle i otwieram oczy. Oczy Soni też są otwarte, ale ona sama wydaje się przebywać daleko stąd. – Ktoś tu jest. Gość.– Sonia patrzy na mnie. – Twój gość.

Alice rozgląda się i marszczy nos. Chwilę później też czuję ten zapach. Dym z fajki. Jakby jego wspomnienie, ale na tyle wyraźne, że moja dusza rozpoznaje je bez względu na to, co mówi mój umysł.

– On chce ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. – Sonia na moment przymyka powieki. Chyba stara się dostrzec coś, czego nie można zobaczyć otwartymi oczami. – On chce, żebyś wiedziała... – I tu przerywa. Nic nie mówi, tylko otwiera szeroko oczy ze zdumienia, wpatruje się we mnie, potem zwraca wzrok ku Alice, i potem znowu ku mnie. Jej głos to pełen tajemnic szept. – Ciii... One wiedzą, że tu jesteście.

Kręci głową i mruży coś – do siebie albo kogoś znajdującego się blisko. Jasne jest, że nie mówi do nas.

– O nie ... Nie, nie, nie! Idźcie już. – Mówi łagodnie, jakby przekonywała krnąbrne dziecko. – Idźcie. To nie ja. To nie jestem ja. Ja was nie wzywałam. – Jej głos, dotychczas cichy i spokojny, załamuje się pod napięciem tego fałszywego wyznania. – To bezcelowe. Nie chcą słuchać. Przyszły do ... – Zwraca się do mnie i zniża głos do szeptu, jak gdyby bała się, że ktoś usłyszy. – Przyszły do ciebie... do ciebie i twojej siostry. – Mówi to zupełnie wyraźnie, patrząc mi prosto w oczy tak przytomnie, że nie można uznać jej za szaloną, choć na to wskazywałyby jej słowa.

W pokoju zapada cisza. Nie wiem, jak długo siedzimy tak w milczeniu, zaskoczone. Wreszcie Sonia mruga oczami i rozgląda się, jakby dopiero teraz zrozumiała, gdzie się znajduje. Na mój widok prostuje się, a jej spojrzenie pełne jest lęku i pretensji.

– Nie powinnaś była przychodzić.

Potrząsam głową.

– Jak to? O co ci chodzi?

Sonia patrzy na mnie i nawet w tym migoczącym świetle świec widzę, że ma niebieskie oczy, tak jak mi się wydawało. Nie tak błękitne jak oczy Jamesa, nie niebieskie jak ocean, ale raczej jak kruchy lód nad zamarznąłą głębią jeziora.

– Ty wiesz – mówi spokojnie. – Musisz wiedzieć.

Kręcę przecząco głową, unikając spojrzeń pozostałych dziewcząt.

– Musicie już iść, proszę was. – Sonia wstaje od stołu tak szybko, że przewraca krzesło.

Przyglądam się jej zszokowana, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

– Cóż to za stek bzdur! – Alice podnosi się, a jej głos przerywa pełną grozy ciszę. – Wstań, Lia. Idziemy.

Kroczy w moją stronę, ściąga mnie z krzesła i sztywno odwraca się w kierunku Soni. Na jej twarzy maluje się takie przerażenie, że znowu jestem prawie sparaliżowana.

– Dziękujemy, panno Sorrensen. Ile płacimy za seans?

Sonia potrząsa złotymi lokami.

– Nic... Tylko proszę, idźcie już.

Alice wlecze mnie w kierunku drzwi. Nie musi zachęcać Victorii, która sama wychodzi z pokoju. Luisa czeka, aż wyjdę z Alice. Słyszę jej kroki (i jest to nowe dla mnie źródło otuchy) podążające za nami, kiedy opuszczamy pomieszczenie.

Nie wiem, jak to się dzieje, lecz Alice sprowadza mnie w dół po schodach, przechodzimy obok pani Millburn i wychodzimy frontowymi drzwiami. Mam niejasne wspomnienie tłoczących się osób i szeleszczących sukien Victorii i Luisy wychodzących wraz ze mną. Poza tym wszystko zdaje się snem, kiedy tak pędzimy ulicą, skrępowane i milczące.

Chłodne powietrze popołudnia oraz prawdopodobieństwo, że zostaniemy przyłapane na wyjściu z księgarni, powinny sprowadzić mnie z powrotem na ziemię. Okazuje się, że nie wystarczają.

Zapominam jednak o moich wcześniejszych obawach wobec siostry, gdy idę z nią ulicą, potykając się, prowadzona za rękę jak dziecko. Victoria idzie parę kroków przed nami, a Luisa obok, nie mówiąc nic.

Gdy zbliżamy się do księgarni pana Douglasa, widzimy stojącą na zewnątrz pannę Gray, surowo przemawiającą do Jamesa i pani Bacon. Podchodzimy bliżej, a wtedy odwracają się do nas.

Unikam wzroku panny Gray. Jeśli spojrzę na nią, na pewno zrozumie, jakie będziemy mieć kłopoty. Wolę więc patrzeć na Jamesa, prosto w jego twarz, która jest wypełniona troską. Aż w końcu widzę tylko jego.

Rozdział VI

Alice i ja w milczeniu zakładamy płaszcze, w uszach wciąż dzwoni nam reprimenda panny Gray. Obraz smutnej twarzy Luisy, którą odesłano do pokoju, jest nadal wyraźny w mojej pamięci i nie pozwala mi użalać się nad sobą.

Tylko współczucie panny Gray wywołane naszą niedawną utratą ojca uratowało nas przed naganą i powiadomieniem ciotki Virginii, ale nim zamykają się za nami drzwi Wycliffe, jej upomnienie brzmi prawie jak wyrzucenie ze szkoły. Tymczasem Edmund czeka wyprostowany obok powozu. Alice odmaszerowuje i sadowi się w ciemnym wnętrzu pojazdu. Nagle słyszę za sobą jakiś głos.

– Przepraszam, panienko. Panienko!

Mija dłuższa chwila, nim zlokalizuję osobę, do której ten głos należy. Jest taka niziutka – ta dziewczynka – że wciąż rozglądam się wokoło, nie mogąc pojąć, że to właśnie ona do mnie mówi.

– Tak? – zerkam w stronę powozu. Alice jest ukryta w środku, a Edmund w całkowitym skupieniu pochyła się nad jednym z kół, sprawdzając szprychy obydwoma rękami.

Złotowłosa dziewczynka podchodzi do mnie tak pewnym krokiem, że wydaje się starsza niż zapewne jest w istocie. Ma pulchną twarz aniołka i różowe policzki.

– Coś panience spadło. – Z lekkim skinieniem głowy wyciąga rączkę. Palce ma zaciśnięte w pięść, nie da się więc zobaczyć, co trzyma.

– Nie, chyba jednak nie. – Patrzę na przegub ręki, ale moja torebka wciąż się na nim kołysze.

– Tak, panienko, coś spadło. – Nasze spojrzenia spotykają się, a w oczach dziecka jest coś takiego, że stoję bez ruchu. Serce bije mi w piersi mocno i szybko, patrzę z bliska na wyciągniętą rączkę. Palce prostują się i widzę mój mały, biały grzebyk z kości słoniowej. Oddycham – nawet nie wiedziałam, że wstrzymuję dech.

– Och! Dziękuję bardzo! – wyciągam rękę i biorę grzebyk z jej dłoni.

– Nie, to ja dziękuję, panienko. – Jej oczy stają się ciemniejsze, a rysy twarzyczki ostrzejsze, kiedy żegna się ze mną dygnięciem tak niezwykłym jak jej wdzięczność. Odwraca się i odchodzi w podskokach, z szelestem spódniczki, a wraz z odgłosem kroków oddala się jej dziecięce nucenie.

Alice wychyla się z powozu i woła mnie przez otwarte drzwiczki.

– Co ty tam jeszcze robisz, Lia? Jest tak zimno, a ty wpuszczasz ten ziąb do środka.

Jej głos sprawia, że wykonuję ruch.

– Coś mi spadło.

– Co?

Alice przygląda mi się z wyściełanego siedzenia przyoknie, gdy sadowię się obok niej.

– Grzebyk. Ten, który ojciec przywiózł mi z Afryki.

Alice kiwa głową, a potem patrzy przez okienko, jak Edmund zamyka drzwiczki, zostawiając nas w ciszy wnętrza pojazdu.

Ściskam grzebyk w ręce, ale kiedy otwieram pięść, to nie na niego zwracam uwagę, lecz na przywiązany do niego woreczek z czarnego aksamitu. Oprócz grzebyka mam w dłoni coś zimnego, płaskiego, otulonego materiałem. Nie odważę się jednak otworzyć zawiniątka z obawy, że Alice mogłaby wraz ze mną poznać jego zawartość.

Trzymam grzebyk tak mocno, że jego zęby wbijają się w delikatną skórę dłoni, i wtedy przypominam sobie. Dotykam włosów z tyłu głowy. Pamiętam, jak rano spieszyłam się, żeby zdążyć do Wycliffe. Nie miałam czasu na kawę i w tym pośpiechu ledwie zdążyłam spiąć włosy szpilkami.

Jednak to szpilek użyłam – grzebyk zostawiłam w domu, pędząc do szkoły. Pamiętam, że leżał na toaletce, kiedy kilka godzin temu wychodziłam z pokoju. W jaki sposób wydostał się z mojego pokoju w Birchwood, dotarł do miasta, a potem trafił do rączki dziewczynki – to kolejna tajemnica, której nie potrafię rozwikłać.

W zaciszu sypialni trzęsącymi rękoma biorę grzebyk i oglądam go, czy przypadkiem nie zmienił się w ciągu tych godzin, które spędził w towarzystwie czarnego aksamitnego woreczka.

Ale nie. Jest taki, jaki był.

To ten sam grzebyk, który ojciec przywiózł mi z Afryki. Ten sam, który od tamtej pory prawie codziennie wsuwałam we włosy. Ten sam, który podała mi dziewczynka na ulicy. Odkładam go. Odpowiedzi, których szukam, nie znajdę w jego delikatnym połysku.

Kiedy wkładam rękę do woreczka, czuję szeleszczącą wstążkę i jeszcze ten twardy przedmiot, który odkryłam w powozie. Wysypuję zawartość – czarna aksamitka wije się na mojej białej koszuli nocnej jak wąż. Wydaje mi się, że to jakiś naszyjnik. Na wstążce, w połowie jej długości, wisi niewielki metalowy medalion. Najpierw myślę, że ma ściśle przylegać do szyi, ale kiedy go tak przymierzam, okazuje się, że wstążka jest o wiele za krótka – na pewno szyi nie obejmie.

Przyglądam się wisiorkowi. Nic specjalnego – to po prostu zwykłe, niezbyt błyszczące kółeczko ze złota. Pocieram je w palcach, a wtedy na rewersie czuję wypukłość. Odwracam medalion.

Na powierzchni jest jakiś ciemniejszy zarys. W pokoju jest mało światła, muszę więc pochylić się, żeby rozpoznać kształt.

Koniuszkiem palca przesuwam wzdłuż brzegów wzoru, który widzę na medalionie, jakby przez to miał stać się bardziej widoczny. Czuję wyżłobiony krąg; jego powierzchnia jest wklęsła, wprost przeciwnie niż powierzchnia znaku na moim nadgarstku.

Te rysunki są prawie identyczne. Jedyna różnica to litera C pośrodku wisiorka. Przyglądam się znamieniu, zimnemu medalionowi na dłoni, i znowu znamieniu. Jest tam coś jeszcze, pojawiło się teraz, gdy trzymałam medalion w ręce. Smuga wewnątrz kółka na moim przegubie staje się z każdą chwilą bardziej wyraźna, aż w końcu zdaję sobie sprawę, że przyjmie kształt litery C – taki jak na wisiorku.

Teraz już wiem.

Nie wiem skąd, ale wiem, po co jest aksamitna wstążka i jak się ją nosi. Przymierzam ją do nadgarstka. Nie dziwi mnie, że tak idealnie pasuje i że kiedy zapinam klamerkę, aksamitka miękko i zgrabnie oplata moją rękę. Medalion przykrywa kółko po wewnętrznej stronie nadgarstka. Prawie czuję, jak wypukłe znamię wpasowuje się w wyżłobienia w metalu. Przeżywa przeze mnie fala świadomości, że jestem częścią czegoś przerażającego.

Właśnie to wywołuje we mnie największy strach – pragnienie mojego ciała, by połączyć się z medalionem. Niewytłumaczalne poczucie więzi z przedmiotem i wrażenie, jakby zawsze do mnie należał, chociaż do dziś nigdy go nie widziałam, sprawiają, że jednak zdejmuję ozdobę. Otwieram szufladę w nocnym stoliku i wpycham tę aksamitną opaskę jak najgłębiej do środka.

Jestem zupełnie wyczerpana. Kładę się na poduszce i natychmiast zapadam w głęboki sen. Ogarnia mnie całkowita ciemność, a zanim na dobre zasnę, chyba czuję, jak to jest, kiedy jest się martwym.

Lecę – wylatuję ponad swoje ciało i unoszę się nad nim. Pograżone we śnie, zostaje gdzieś tam na dole, a mnie przepęlnia radość, że mogę się od niego oderwać i wyfrunąć przez zamknięte okno.

Zawsze miałam dziwne sny. Moje najdawniejsze wspomnienia nie wiążą się z rzeczywistymi rzeczami, z głosem matki albo tupaniem butów ojca w holu, ale z tajemniczymi, nienazwanymi zjawiskami i szybkim lotem poprzez wiatr, pomiędzy drzewami.

Aż do śmierci ojca nie miałam takich snów o lataniu, które potrafiłabym sobie dokładnie przypomnieć. Jednak śniłam je prawie co noc, teraz nie jestem więc zdziwiona, że unoszę się ponad domem, ponad wzgórzami i drogą wychodzącą z naszej posiadłości.

Po chwili jestem już nad miastem i okazuje się, że otoczone mgiełką mojego snu i tajemnicą nocy wygląda całkiem inaczej.

Mijam Wycliffe, księgarnię, dom, w którym mieszka Sonia Sorrensen. Pozostawiam miasto w tyle i lecę w stronę rozległych, czarnych pól. Niebo nade mną i wokół mnie jest rozjaśnione. To nie czarne, nocne niebo – ma kolor głębokiego, nieskończonego błękitu, a gdzieś w tej głębi drzemie ślad odcienia fioleto.

Niebawem docieram do jakiegoś większego miasta. Budynki wznoszą się wysoko ku niebu, a ogromne fabryki wypluwają kłęby dymu prosto w noc, nie czuję jednak żadnego zapachu. Zbliżam się do granic miejscowości, potem przez okamgnienie widzę rozciągający się po horyzont ocean, a potem już tylko wiem, jak wspaniale jest lecieć ponad nim.

Teraz czuję zapach.

Wilgotny i słony, zatyka mi nos, aż śmieję się z tego cudu natury. Równie wilgotny wiatr rozwiewa mi włosy i w takiej chwili chciałabym pozostać w locie już na zawsze, całkowicie oddać się błękitnym przestworzom, w których podróżuję.

Lecę nad oceanem coraz dalej i dalej. W końcu miasto przestaje być widoczne nawet jako punkcik w oddali. W dole kotłują się wody oceanu, a jakiś cichy głos ostrzega mnie, bym wracała, szepcze, że dotarłam zbyt daleko – jest to jednak słabe ostrzeżenie.

Ignoruję je, upajając się całkowitą swobodą lotu, z upodobaniem ślizgając się ponad falami i nurkując coraz głębiej w tajemnicze niebo.

Ostrzegający głos staje się coraz silniejszy i bardziej natarczywy, już nie jest szepcem, robi się całkowicie słyszalny. To głos dziewczyny.

– Zawracaj! – jest lekko stłumiony i załamujący się. – Dotarłaś zbyt daleko. Musisz zawrócić!

Głos sprawia, że zatrzymuję się i ze zdumieniem widzę, że potrafię się unosić w powietrzu – ani nie lecę, ani nie spadam do oceanu, o którym śnię. I wtedy czuję to. Coś straszego ryczy z tyłu za mną, zbliżając się z takim impetem, że muszę na nowo podjąć lot.

Przebijam się przez przestrzeń, wracając tam, gdzie, jak sędzę, jest ład. Podczas krótkiej podróży moja fantastyczna zdolność kontrolowania szybkości i kierunku lotu rozwinęła się i teraz nawet mimo strachu moje ciało cieszy się z tej nowej umiejętności, tej nowej mocy.

Radość zatruwa mi jednak narastające z każdą sekundą przerażenie, kiedy tak pędzę w stronę domu, a tę straszną rzecz słyszę coraz bliżej, tuż za sobą. Droga do przebycia jest jeszcze długa, choć wydaje się, że pokonuję całe mile tak prędko, jakby to były metry.

To coś za mną zaczyna teraz krzyczeć tak przenikliwie, że panika prawie mnie paraliżuje – zwalniam tempo właśnie wtedy, gdy powinnam uciekać jak najszybciej. W niezbyt dużej odległości widzę ciemne zarysy metropolii. Jestem już blisko, ale czuję, jakby mój prześladowca, a może mój własny strach, ciągnął mnie do tyłu. Pewnie zatrzymałabym się, gdyby nie postać zbliżająca się od strony miasta.

Na początku dostrzegam w oddali tylko błądy kształt, ale wkrótce ona stoi przede mną – w jednej chwili poznaję, że to spirytystka, Sonia Sorrensen.

– Szybko! Szybko! Nie ma czasu do stracenia! Czemu poleciałaś tak daleko? – mówiąc to, ponagla mnie ruchem ręki. – Leć! Leć tak prędko, jak potrafisz. Ja polecę za tobą!

Nawet się nie zastanawiam, jak i dlaczego Sonia Sorrensen znalazła się w moim śnie. W jej głosie słyszę panikę, lecę więc.

Sonia podąża za mną i tak docieramy do miasta.

– Nie mogę ryzykować i zostać z tobą. To niebezpieczne. – Sonia powoli się oddala. – Jak najszybciej połącz się ze swoim ciałem. Nie pozwól się zatrzymać. Bez względu na okoliczności.

– A co będzie z tobą? – mój głos jest cichy, jakby dochodził z daleka. W gardle nie czuję wibracji.

Nasze oczy spotykają się.

– Mnie nie ściga.

Jej słowa popychają mnie do lotu. Pędzę ponad polami, nad drogą do Birchwood i docieram do ścian domu. Kiedy zbliżam się do okna swojego pokoju, to warczące coś za mną jest wściekłe.

Syczy jakieś słowa, których nie mogę zrozumieć.

– Strzeż... O, Pani...

Mimo woli zatrzymuję się, próbując rozszyfrować tę dziwną wiadomość.

Na taką zwłokę nie mogę sobie pozwolić.

Mroczna istota warczy i kłapie – tak blisko, że mogłabym jej dotknąć, gdybym miała odwagę wyciągnąć rękę. Widzę tylko jakąś czarną masę, ale wydaje mi się, że słyszę tętniące kopyta i szum wielu skrzydeł – wszystkie poruszają się jednym niezmiennym rytmem, jednocześnie znajomym i przerażającym. Mam jeszcze jeden atak paniki, a potem moje ciało wypełnia już tylko jakieś niesamowite zubożenie.

Spóźniłam się. Dogania mnie. Zamieram, niezdolna do ruchu, bo każdą moją komórkę ogarnia bezwład.

Mimo to ono nie może się do mnie zbliżyć.

Krąży wokół jakiejś bariery, której nie potrafię dostrzec. Dźwięk, który wcześniej dobiegał z tak bliska, był tuż przy mnie, teraz jest przytłumiony i oddalony. Skrzydła, które wcześniej uderzały obok, teraz oddziela ode mnie jakby gruba aksamitna zasłona. To coś wyje z furją, ale taki objaw frustracji nie zda się na wiele – chroni mnie niewidzialna tarcza.

Otrząsam się z letargu i wpadam przez okno do środka. Na sekundę zatrzymuję się nad swoim śpiącym ciałem, a potem wnikam w nie.

To dziwne uczucie, gdy dusza wraca na swoje miejsce, dopasowując się do ciała jak element układanki, i gdy na pewno wiem, że zdarzenie nie było snem.

Rozdział VII

Kiedy schodzę na dół, Henry siedzi w salonie, w fotelu przy oknie. Na kolanach trzyma otwartą *Wyspę skarbów*, ale nie czyta. Patrzy przez okno na okolicę.

Podchodząc, nie staram się stawiać kroków cicho. Dobrze wiem, co znaczy pogрузić się głęboko w myślach, i nie mam zamiaru zaskoczyć go. Mimo to Henry zauważa mnie dopiero wtedy, gdy odzywam się do niego.

– Dzień dobry, Henry.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy, jakby się ocknął z transu.

– Dzień dobry.

Przechylam głowę, zaglądając mu w oczy i starając się nazwać to, co widzę w tych brązowych głębinach.

– Dobrze się czujesz?

Patrzy na mnie przez chwilę i już otwiera buzię, żeby odpowiedzieć, kiedy do pokoju wchodzi Alice. Obydwoje odwracamy się i obserwujemy ją, ale kiedy moje spojrzenie wraca do Henry'ego, okazuje się, że on nadal przygląda się twarzy mojej siostry.

– Henry, dobrze się czujesz? – powtarzam.

Alice unosi brwi i pytająco spogląda na brata.

– No właśnie, Henry. Czy wszystko w porządku?

Henry odpowiada dopiero po chwili, a kiedy już się odzywa, to nie do mnie, tylko do niej.

– Tak, czytam sobie. – W jego głosie pobrzmiwa obronna nuta, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ w pokoju pojawia się ciotka Virginia, odwracając naszą uwagę.

– Lia... – ciotka stoi w drzwiach z dziwnym wyrazem twarzy. – Ktoś chce się z tobą widzieć.

– Ze mną? Kto?

Ciotka obrzuca nerwowym spojrzeniem najpierw mnie, potem Alice, i znowu mnie.

– Mówi, że nazywa się Sonia. Sonia Sorrensen.

* * *

Wspinając się na urwisko nad jeziorem, ani Sonia, ani ja nie mówimy nic. W pustce niewypowiedzianych słów patrzę na niebo, niezmierzone i szafirowe. Widzę wygięty w łuk horyzont i zastanawiam się, jak ludzie mogli zakładać, że Ziemia jest płaska, skoro widnokrąg wygląda właśnie tak.

Usiłuję nie myśleć o Alice i jej ledwie skrywanej złości na wieść o moim gościu. Poczułam i ulgę, i zdziwienie, kiedy moja siostra wyszła z salonu, zanim ciotka Virginia wprowadziła Sonię. Nie musiałam podawać żadnych wyjaśnień, lecz nie mam złudzeń: dzięki przybyciu Soni oraz obecności ciotki Virginii mogę zyskać na czasie tylko trochę. Alice na pewno zapyta o tak nieoczekiwanego przybysza.

Gdy w końcu Sonia przerywa milczenie, nerwy mam napięte od słów, które jeszcze nie padły.

– Nie wolno ci podróżować tak daleko, Lia. – Jej wzrok jest wpatrzony gdzieś w dal, jak gdyby wcale się nie odezwała.

Piersi wypełnia mi nagły, silny gniew.

– Powiedz mi, jak zmierzyć, gdzie jest to „daleko”, Soniu. Może potrafisz mi powiedzieć, jak zmierzyć odległość, kiedy w środku nocy opuszczam swoje ciało.

Przez chwilę zastanawia się, co odpowiedzieć. Jej profil jest tak piękny i wyraźny; jakby była jedną z tych marmurowych rzeźb, które szkicujemy w Wycliffe.

– Tak. Rzeczywiście można się pogubić. To znaczy wtedy, jeśli nie robiło się tego wcześniej – mruczy.

– Jeżeli nie robiło się tego wcześniej... No pewnie, że nie robiłam tego wcześniej! – Zatrzymuję się i ciągnę Sonię za rękaw, więc i ona musi się zatrzymać. – Czeka! Mówisz, że ty robiłaś to wcześniej?

Sonia patrzy mi w oczy, wzrusza ramionami i uwalnia swoją rękę. Odwraca się i dalej wspina na urwisko. Biegnę, żeby ją dogonić, a kiedy w końcu udaje mi się, jestem bez tchu.

– Nie odpowiesz mi?

Sonia wzdycha i idąc, przygląda mi się.

– Tak, jeśli chcesz wiedzieć. Robiłam to już wcześniej, od dziecka. Niektórzy ludzie robią to nieświadomie – na przykład myślą, że śnią. Inni potrafią robić to na żądanie. Tak naprawdę jest ich wielu. Przynajmniej w moim świecie.

Mówi tak, jakbyśmy nie szły obok siebie, jakby mieszkała w jakimś dziwnym zakątku wszechświata, który dla mnie jest niewidzialny i nieosiągalny.

– W twoim świecie? Co masz na myśli?

Sonia śmieje się cicho.

– Czy nie należymy do innych światów, Lia? Ty mieszkasz we wspaniałej rezydencji, otoczona rodziną i wszystkim, co jest ci drogie. Ja mieszkam w małym domku zarządzanym przez panią Millburn, tylko w towarzystwie innych spirytystów oraz ludzi, którzy płacą nam za opisywanie czegoś, czego sami nie potrafią dostrzec.

Po tych słowach nie zadaję już więcej pytań.

– Przepraszam, Soniu. Chyba nie dotarło do mnie, że to nie jest twój dom i że ta kobieta... pani Millburn... nie jest twoją krewną.

Chociaż Sonia stoi odwrócona profilem, widzę gniewny błysk w jej oku.

– Na litość boską! Nie użalaj się nade mną! Jest mi dobrze tak, jak jest.

Ale nie wygląda na zadowoloną. Ani trochę.

Wreszcie docieramy nad urwisko, a ja w momencie dojścia na szczyt zawsze czuję się pobudzona, jakbym wstępowała do nieba. Bez względu na to, co wydarzyło się tu kiedyś, nie można nie zachwycać się majestatycznym widokiem.

– Och! Nie wiedziałam, że tu jest jezioro! – W głosie Soni jest dziecięcy zachwyt i zdaję sobie sprawę, że musi być niewiele starsza ode mnie. Upaja się widokiem – poniżej szemrze jezioro, a drzewa kołysze wiatr tak łagodny, jakby nie jesienny.

– Jest dobrze ukryte. Prawdę mówiąc, ja też nie przychodzę tu często.

Bo moja matka spadła z tego urwiska – myślę. Bo jej poranione ciało leżało na skałach nad tym szemrzącym jeziorem. Bo po prostu nie mogę tego znieść.

Pokazuję gestem duży kamień z dala od krawędzi.

– Usiądziemy?

Sonia kiwa głową, choć nie może odwrócić wzroku od tafli jeziora poniżej urwiska. Sadowimy się na głazie obok siebie, zamiatając sukniami suchą ziemię. Tak, mam pytania. Lecz dotyczą one spraw niezgłębionych, mrocznych kształtów, które unoszą się tuż pod powierzchnią mojej świadomości.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – Sonia mówi to tak zwyczajnie, jakbym powinna dokładnie rozumieć, co ma na myśli.

– Co? Co ty...?

– Wczoraj. Na seansie. Wiedziałam, że to będziesz ty.

Kręcę głową.

– Nie rozumiem.

Sonia patrzy mi prosto w oczy, w taki sposób, jak patrzyła dotychczas tylko Alice. Jak gdyby mnie znała.

– Ostatnio, kiedy mam odbyć seans, zamykam oczy i widzę tylko twoją twarz. I wiele innych dziwnych rzeczy, których zazwyczaj nie widuję.

– Ale przed wczorajszym seansem nigdy się nie spotkałyśmy! Jak mogłaś ujrzeć moją twarz w swoich... wizjach?

Sonia spogląda na jezioro.

– Jest tylko jeden powód, który przychodzi mi do głowy... Tylko jeden powód, dla którego widzę twoją twarz i dla którego wiedziałam, że przyjdiesz.

Odwraca twarz w drugą stronę, pochyla głowę i, unikając mojego spojrzenia, zdejmuje rękawiczkę z lewej ręki. Kładzie ją na kolanach i podwija rękaw sukni ponad nadgarstkiem.

– To jest ten powód, nieprawdaż? To znamię.

Widzę je. Na pewno to samo kółko, ten sam wijący się wąż. Takie jak moje. Takie jak na medalionie.

Każda komórka mojego ciała, każda myśl w mojej głowie, nawet krew w moich żyłach zastyga w bezruchu. A kiedy wszystko wraca do życia, to w pędzie i w szoku.

– Jak to się stało? To... mogę? – wyciągam rękę.

Po chwili wahania Sonia skinieniem wyraża zgodę, ujmuję więc jej drobną dłoń. Patrzę na wewnętrzną stronę nadgarstka, choć nawet bez patrzenia wiem, że znamię jest identyczne. No, może niezupełnie. Jej znamię jest jaśniejsze niż skóra. Jest wypukłe, tak jak moje, jak stara blizna.

Ale to nie wszystko. To nie jedyna różnica. Jest kółko, jest zakręcony wąż, ale nie ma nic więcej. Na nadgarstku Soni nie ma litery C, chociaż pod każdym innym względem jej znamię jest wierną kopią mojego oraz znaku na medalionie.

Uwalniam rękę Soni, odsuwam ją ostrożnie jak dar.

– Co to właściwie jest?

Sonia przygryza wargę, potem pochyla się nad moją dłoń.

– Najpierw chciałabym zobaczyć.

Wyciągam rękę. Dotyka jej i przesuwa palcem po literze C w środku znaku.

– Twoje jest inne.

Moja twarz płonie ze wstydu, lecz nie wiem dlaczego.

– Tak, trochę inne, choć można by powiedzieć, że to twoje jest inne. Od jak dawna to masz?

– Od zawsze. Powiedziano mi, że od urodzenia.

– Ale co ono oznacza?

Sonia oddycha głęboko, ze wzrokiem utkwionym w drzewa.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Jedyna wzmianka na temat znamienia, jedyna, o jakiej słyszałam, pochodzi z nieznannej legendy opowiadanej w kręgach spirytystów i innych osób zainteresowanych Strażnikami. Albo innymi, mniej znanymi wątkami tej opowieści.

– Strażnikami?

– No tak, z Biblii. – Sonia mówi to tak, jakbym powinna wiedzieć, jakbym powinna doskonale znać Biblię, gdy tymczasem nasze wychowanie religijne było w najlepszym wypadku wyrwykowe.

– To znaczy aniołami, nim się zbuntowały.

Opowieść o aniołach... albo raczej demonach – myślę. Strącone z nieba. Sonia mówi dalej, nieświadoma, jak wiele rzeczy naraz mi się przypomina.

– Najczęściej przyjmuje się wersję, że zostały strącone z nieba, kiedy wzięły za żony ziemskie kobiety i miały z nimi dzieci. Ale to tylko jedna z wersji. – Sonia waha się, podnosi z ziemi kamyk i wyciera go do czysta rąbkiem sukni. Potem znów patrzy na mnie. – Jest jeszcze inna. O wiele mniej znana.

Kładę ręce na kolanach, próbując opanować niepokój budzący się w moim umyśle.

– Mów dalej.

– Powiadają, że Strażników namówiła do nieposłuszeństwa niejaka Maari.

Kręcę głową.

– Kto?

– Jedna z sióstr. Jedna z bliźniaczek.

Siostry. Bliźniaczki.

– Nigdy nie słyszałam o biblijnej bliźniaczce noszącej to imię. Oczywiście nie znam się na tym, ale ...

Sonia ściska swój mały, płaski kamyczek między palcami.

– Bo tego imienia nie ma w Biblii. To legenda, mit przekazywany ustnie z pokolenia na pokolenie. Nie mówię, że to prawda. Opowiadam ci tylko tę historię, jak prosiłaś.

– Rozumiem. Opowiedz mi resztę. Opowiedz mi o siostrach.

Sonia siada wygodniej na kamieniu.

– Podobno początkiem zdrady Maari było uwiedzenie Samaela, anioła, któremu Bóg najbardziej ufał. Samael obiecał Maari, że gdy urodzi pół człowieka, pół anioła, zdobędzie całą wiedzę, której nie mogła osiąść jako istota ludzka. I miał rację. Kiedy upadłe anioły, czyli Czuwający, wzięli sobie ziemskie kobiety za żony, przekazali im różne rodzaje wiedzy czarnoksięskiej. Prawdę mówiąc, niektórzy bardziej... entuzjastycznie nastawieni członkowie naszej społeczności uważają, że stąd pochodzą zdolności spirytystów.

– I co dalej? Co się stało, kiedy Czuwający ożenili się z ziemskimi kobietami i podzielili się z nimi swoją wiedzą?

Sonia wzrusza ramionami.

– Zostali wygnani, kazano im błąkać się przez całą wieczność w ośmiu Pozaświatach aż do Sądnego Dnia Bogów, czy – jak mówią chrześcijanie – Dnia Apokalipsy. Aha, i później już nie nazywano ich Czuwającymi.

– A jak?

– Zbłąkanymi Duszami – Sonia zniża głos, jakby się bała, że ktoś może usłyszeć jej słowa. – Podobno mają sposób na to, by powracać do świata materialnego. Poprzez siostry, jedną Strażniczkę, drugą Bramę.

Coś mi świta.

– Co powiedziałaś?

Sonia kiwa głową.

– Po prostu powiedziałam, że mają sposób...

– Nie to. Dalej. O siostrach.

Lecz przecież rozumiem. Oczywiście, że rozumiem.

Kiedy Sonia próbuje sobie coś przypomnieć, na środku nosa tworzy się jej małe wgłębienie.

– Cóż, ja słyszałam, że pewien ród siostr do dziś toczy walkę. Jedna jest Strażniczką, pilnuje spokoju w świecie. Druga jest Bramą, przez którą mogą przechodzić Dusze. Jeżeli Dusze kiedykolwiek wtargną do naszego świata, nastanie Sądny Dzień Bogów. Rozpocznie się bitwa, w której weźmie udział tyle Zbłąkanych Dusz, ile zdoła przedostać się tu z Pozaświatów. Tyle że... mówią, że jest pewien warunek.

– Jaki warunek?

Sonia marszczy brew.

– Powiadają, że Armia Dusz nie rozpocznie bitwy bez Samaela, swojego przywódcy. Samael natomiast może przekroczyć Bramę jedynie wtedy, gdy zostanie zawołany przez siostrę, której przeznaczeniem będzie zawezwać go. Mówią, że Armia już się zbiera, a jej liczne oddziały wkraczają przez Bramy do naszego świata i czekają ...

– Na co?

– Na Samaela. Na Bestię, czyli, jak niektórzy mówią, samego Szatana.

Sonia mówi to tak zwyczajnie, a ja widzę, że nawet nie jestem zdziwiona.

Rozdział VIII

Świat zastyga w bezruchu. W moim umyśle nie ma miejsca ani na wiatr szumiący w drzewach, ani na fale jeziora muskające brzeg. W zasadzie nie ma tam miejsca na nic – wokół czegoś, co jest tylko załącznikiem rozumu, owijają się długie pędy przepowiedni.

Sonia nie zdaje sobie jednak sprawy z moich myśli i mówi dalej, jak gdyby świat właśnie nie stanął na głowie.

– Opowiadam ci tę historię tylko z powodu znamienia. Wiesz, podobno Jorgumand jest symbolem Dusz.

Staram się nie zdradzić swoich uczuć wyrazem twarzy. Jeżeli moja wytrzymałość osłabnie, jeżeli pozwolę jej zajrzeć w głąb swojego przerażenia, pozbawię się i tej resztki spokojnego rozumowania, która mi została.

– Dobrze, a więc obie mamy to znamię. Ale nadal nie rozumiem, jaką rolę miałybyśmy odegrać w tak dziwacznej opowieści.

Sonia wzdycha zrezygnowana, wstaje i robi kilka kroków.

– Ja też tego nie wiem. Jednak jestem zmęczona samotnością tego strachu. Ja nie mam siostry. Myślałam... – przystaje, żeby spojrzeć na mnie, a jej głos staje się bardziej delikatny. – No cóż, po prostu miałam nadzieję, że się nie mylę. Miałam nadzieję, że ty rzeczywiście masz to znamię i że razem będziemy szukać odpowiedzi.

– W porządku. – Przechylam głowę i śmiało zaglądam Soni w oczy. – W takim razie wróćmy do wydarzeń ostatniej nocy. Zaczynij od wyjaśnienia, dlaczego latałam po niebie.

Sonia podchodzi całkiem blisko, zatrzymuje się i chwyta mnie za rękę z niejasnym uśmiechem.

– Po prostu podróżowałaś po Równinie, Lia. Wędrowałaś. Czy nigdy wcześniej tego nie robiłaś?

Kręcę przecząco głową.

– Nie pamiętam. A co to jest Równina?

– To niesamowite miejsce – Sonia bierze wdech. – Tak jakby... przejście w Pozaświaty. Miejsce, gdzie wszystko jest możliwe.

Przypominam sobie, z jakim uniesieniem patrzyłam na przesuwającą się pode mną ziemię i na niebo, głębokie i bezbrzeżne jak morze. A potem przypominam sobie coś jeszcze.

– A co z tą... czarną istotą?

Sonia poważnieje, z jej oczu znika blask.

– Ściany pomiędzy światem fizycznym a Pozaświatami są cienkie, Lia. To dzięki temu można dokonywać tak cudownych rzeczy, co bywa jednak niebezpieczne. A to, co ścigało cię ostatniej nocy... Było silniejsze niż jakakolwiek istota, którą napotkałam, a w swoich podróżach widziałam ich już wiele, dobrych i złych.

– Myślisz, że to ma coś wspólnego ze znamieniem? Z przepowiednią?

Sonia znowu przygryza wargę.

– Nie wiem, ale w Pozaświatach wszystko jest skomplikowane. Musisz poznać ich charakter, aby bezpiecznie podróżować po ich terenie.

Moja złość daje znać o sobie.

– Ale jak mam to zrobić? Jak mam się nauczyć czegoś tak dziwnego? Gdybym spytała o to pannę Gray albo innego nauczyciela w Wycliffe, pewnie uznaliby mnie za obłąkaną!

Sonia chichocze, zasłaniając usta rękawiczką.

– Rzeczywiście, byłoby nieroztropnie prosić o takie informacje w Wycliffe. Ale w miarę, jak będziesz przyzwyczajając się do podróżowania, twoja siła będzie rosła. Nawet teraz masz już pewną władzę, choć być może nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Co masz na myśli?

– To... coś. Ta... istota. Myślę, że chciała twojej duszy.

Urywany śmiech ma maskować moje przerażenie.

– Mojej duszy?

Lecz Sonia się nie śmieje.

– Słuchaj, Lia. Jest coś, co powinnaś wiedzieć w związku z podróżami po Równinie. Dusza może przebywać poza ciałem tak długo, jak łączy ją z nim sznur astralny. Taka nić, wiążąca duszę z ciałem. Jeżeli się przerwie, dusza nie ma już powrotu.

– Chcesz powiedzieć, że... ciało zostałoby puste, jakby martwe? – mówię wysokim głosem, bo w moim gardle narasta fala hysterii.

Sonia wyciąga rękę i próbuje mnie uspokoić.

– To nie zdarza się często. W Pozaświatach nie ma zbyt wielu istot na tyle silnych, żeby oddzielić duszę od żyjącego ciała. Ale to może się zdarzyć. – Przelyka ślinę i widzę, że się boi, chociaż stara się to ukryć. – Słyszałam o... okropnym miejscu, zwanym Pustką. Miejscu pobytu takich oddzielonych dusz. Miejscu pomiędzy życiem a śmiercią. Myślę, że ta istota chciała cię tam zabrać. W Pustkę.

– Chcesz powiedzieć, że dusza musiałaby tam zostać już na zawsze? – mój głos przechodzi w pisk.

– Ci, którzy są zesłani w Pustkę, są straceni na wieczność. – Sonia ma nawiedzony wzrok. – Posłuchaj, Lia. Nie wiem wszystkiego na temat Pozaświatów. Ale ta czarna istota chciała cię dopaść, a nigdy nie widziałam, żeby coś tak silnego nie zdołało dopiąć celu. Tu jednak... Z jakiejś przyczyny ta istota nie mogła cię dosięgnąć. Nie mam pojęcia, co ochroniło cię przed jej siłą, ale rozsądnie byłoby zaniechać podróży; dopóki nie dowiemy się... albo dopóki nie będziesz pewna, że następnym razem możesz liczyć na tę samą ochronę.

* * *

Wracamy do domu w milczeniu. Gdy widać Birchwood, Sonia kładzie mi rękę na ramieniu, patrząc w tamtą stronę. Podążam za jej spojrzeniem – w oknie na piętrze stoi Alice, obserwując nas.

– Uważaj na siebie, Lia – mówi Sonia. – Bądź ostrożna, póki nie dowiemy się czegoś więcej.

Alice jest zbyt daleko, żeby dostrzec wyraz jej twarzy. Mimo to, na widok tej niewyraźnej postaci w oknie czuję dotyk zimnej dłoni strachu.

Wchodzimy z Sonią na dziedziniec. Patrzą, jak odjeżdża wynajętym powozem. Czekam, aż zniknie na wysadzonej drzewami drodze, a potem znów oddalam się od domu. Nie mam ochoty rozmawiać z Alice na temat Soni. Nie teraz.

Szum wody dociera do mnie, zanim jeszcze ja docieram do brzegu rzeki. Deszcze ostatniego tygodnia wypełniły koryto po brzegi, rzeka pędzi w szalonym tempie po skalistym dnie. Schodzę z nadbrzeża i kieruję się w stronę zacisznego zagajnika zimozielonych krzewów, klonów i dębów. Zbliża się pora lunchu i zastanawiam się, czy James na mnie czeka.

– James? – W innym miejscu, gdzie nie jest tak cicho jak nad rzeką, mój głos nie byłby zbyt donośny. – Jesteś tu, James?

Silne ramiona łapią mnie od tyłu i unoszą w górę. Z gardła wyrywa mi się pisk i odruchowo kopię nogami, żeby uwolnić się z tego stalowego uścisku. Podnoszę pięści, żeby zaatakować niewidocznego napastnika, ale wtedy on obraca mnie tak, że jestem z nim twarzą w twarz. Ciepłe usta dotykają moich, ręce nie obejmują mi ramion już tak ciasno, tylko zaczynają wędrować w stronę moich włosów.

Zatracam się w tym pocałunku, bo rwąca rzeka zdaje się płynąć przeze mnie, od stóp po czubek głowy.

Potem odpycham go i robię krok w tył.

– Och, James! Tak mnie przestraszyłeś! – Daję mu dziewczęcego, nieszkodliwego kuksańca w ramię. – Ktoś mógł nas przyłapać!

James śmieje się, zakrywając usta dłonią, jakby chciał się uspokoić. Poważnieje, widząc mój wyraz twarzy.

– Przepraszam, Lia, naprawdę. Ale kto inny mógłby cię tak z łapać?

W oczach wciąż ma ślady rozbawienia, więc przyglądam mu się uważnie, czekając, aż znikną. James przysuwa się bliżej, rozgląda wokół i mocno mnie przytula.

– Nie chciałem cię przestraszyć. Po prostu cieszę się, że cię widzę. To takie trudne – widzieć cię w bibliotece, kiedy jestem tam z ojcem, widzieć cię na ulicy z Alice, w ogóle widzieć cię i nie zrobić – o tak. – Na moment przyciąga mnie jeszcze mocniej, tak że czuję przy sobie całe jego ciało. Brakuje mi tchu i przez chwilę nie istnieje żadne proroctwo, żadna książka ani znamię. Tylko ciepłe ciało Jamesa przy moim.

Skutki tego uścisku wpędzają mnie w zakłopotanie. Nie chcę, żeby James czuł, jak pod sukienką łomocze mi serce ani żeby słyszał mój urywany oddech, odsuwam się więc i obrzucam go żartobliwym spojrzeniem.

– Zrobiłeś się bardzo śmiały – przekomarzam się z nim.

Śmieje się tak, że aż ptaki podrywają się z drzew, przerażone tą eksplozją radości.

– Ja? Śmiały? I kto to mówi? Jedna z największych awanturnic w Wycliffe!

Na wspomnienie wczorajszej ucieczki ze szkoły płoną mi policzki. Nie miałam kiedy powiedzieć Jamesowi o naszej wizycie u Soni Sorrensen. W tym zamieszaniu, które nastąpiło po naszym powrocie, nie było jak. I jestem wdzięczna za zwrócenie mi uwagi, ponieważ usłyszałam prawdę. Zachowanie Soni podczas seansu tak wytrąciło mnie z równowagi, że nie wiedziałam, jak wyjaśnić

wszystko Jamesowi. Wie to, co powiedziałyśmy pannie Gray – że chciałyśmy tylko zaczerpnąć świeżego powietrza i bez namysłu poszłyśmy na spacer. Teraz, po rozmowie z Sanią nad jeziorem, jestem całkowicie przekonana, że dla wszystkich zainteresowanych lepiej będzie, jeżeli pozostaniemy przy oficjalnej wersji wydarzeń.

– A poza tym – James, nieświadom moich burzliwych myśli, ciągnie swoją wypowiedź – mógłbym powiedzieć, że to ty mnie ośmielasz, i co wtedy? Bo po cóż mielibyśmy przychodzić w nasze ulubione miejsce, chroniąc się pod drzewami na tak wygodnym kamieniu? – Siada na nim, jakby chciał zademonstrować te wspaniałe wygodny, i krzywi się, dotknąwszy twardej powierzchni.

– No cóż... Może nie jest tu tak wygodnie, jak mi się wydawało. A może jest wygodniej, kiedy siedzisz obok? – Unosi brwi, poklepując dłonią kamień i uśmiechając się szelmowsko.

Zabawna jest ta próba zwabienia mnie bliżej, tak żebym podeszła do kamienia i usiadła koło Jamesa.

– Mam ci coś do powiedzenia. To chyba jest związane z książką, którą znalazłeś w bibliotece mojego ojca.

Uśmiech Jamesa znika. Jeśli cokolwiek może odwrócić jego myśli od niezbyt cnotliwych powodów, dla których spotykamy się nad rzeką, to rozmowa na temat jakiejś wyjątkowej książki.

– Co to za sprawa?

Biorę głęboki oddech, zaraz zrobię ten najmniejszy z możliwych krok naprzód. Będę musiała wprowadzać Jamesa w temat stopniowo.

– Chyba rozumiem odniesienia do Strażniczki i do Bramy, o ile człowiek w ogóle może zrozumieć taki tekst.

– Naprawdę? Przecież to brzmi jak stek bzdur!

Spuszczam wzrok na kolana i wyglądam suknię, nim znowu zacznę mówić.

– Być może... Jeszcze kilka dni temu zgodziłabym się z tym, ale teraz... teraz wiem, że istnieje pewna opowieść o siostrach. A dokładniej o bliźniaczkach. Takich jak Alice i ja ...

James słucha, prawie cały czas milcząc. Przerwywa tylko raz czy dwa, prosząc o wyjaśnienie tych fragmentów, których nie rozumie. Lecz jego pytania nastawione są na naukowe zgłębianie wiedzy. Nie są to takie pytania, jakie zadaje się, wierząc w prawdziwość czegoś.

James słucha opowieści, jakby to była bajka. Mówię mu wszystko, nie wspominam tylko o znamieniu. Kiedy kończę, pomiędzy nami zapada cisza, bardziej wymowna niż jakiegokolwiek słowa.

W końcu odzywa się James, łagodnym głosem, jakby nie chciał zranić moich uczuć.

– Ale... Czemu ja nigdy nie słyszałem tej historii? Jako księgarz, który pomaga poważnym nabywcom w gromadzeniu zbiorów, z pewnością powinienem ją znać, jeżeli przedstawia jakąś wartość.

Jego wątpliwości budzą moje. Ja z kolei wątpię, że w prorocstwo może uwierzyć ktoś, kto nie wie o istnieniu niezaprzeczalnego dowodu – znamienia.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem, James. Chciałabym ci podać odpowiedź, ale jej nie znam.

W tym momencie powinnam mu pokazać znamię. Jest dobrze ukryte pod długim rękawem sukni, ale czuję, jakby mnie parzyło, jakby bez słów przypominało o tym, że opuściłam tak istotny szczegół opowieści. Ale nie mówię nic. Chciałabym, żeby powodem była moja obawa przed tym, że James mi nie uwierzy, albo chęć chronienia go przed czymś tak mrocznym. Jednak prawdziwym powodem jest to, że dla mnie to znamię jest jak blizna. Naznacza mnie jak coś ułomnego, nieczystego.

Nie zniosłabym, gdyby James teraz się dowiedział. Jeszcze nie.

* * *

Chodzenie spać nie jest tak łatwe jak kiedyś. Leżę w łóżku i staram się wymazać z głowy wszystkie myśli, abym mogła zasnąć.

Ale słowa prorocstwa, postać mojej siostry w oknie na piętrze i znamię, które mówi, że jestem czymś, czego nie rozumiem, sprzysięgły się, żeby uniemożliwić mi odpoczynek. W końcu wstaję i podchodzę do biurka.

Dlaczego legenda, którą Sonia opowiedziała mi nad jeziorem, jest tą samą, którą kryje nie wiadomo jak stara książka ojca? Dlaczego mam prawie identyczne znamię jak osoba tego rodzaju co Sonia? Spirytystka, ni mniej, ni więcej. Czuję, jak pytania starają się ułożyć w całość, w coś konkretnego, co mogłabym wziąć w ręce i postarać się zrozumieć.

Otwieram książkę, wydaję tłumaczenie Jamesa i odczytuję treść prorocstwa, starając się dostrzec sens w jego bezsensie. Gdy czytam o siostrach, po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Ale to nad dalszymi fragmentami przepowiedni muszę się zatrzymać.

Jeżeli jestem Strażniczką, a Alice Bramą, to jaką rolę w tej dziwnej historii odgrywa Sonia? A co z Aniołem? Skoro nie potrafię rozszyfrować znaczenia tak ważnej postaci jak Anioł, to jak mam zrozumieć i wypełnić swoją funkcję Strażniczki? Jak mogę przeciwstawić się Alice, która jest Bramą?

Pochyliłam głowę nad książką i czytam kolejne wersy przepowiedni, aż dochodzę do wzmianki o Kluczach.

Niech Brama Anioła kołysze się bez Kluczy, a potem tylko Siedem Plag i Niemożność Odwrotu.

Czytam ten urywek raz po raz, wytężając myśli w poszukiwaniu odpowiedzi. Nawet przy moim obecnym braku wiedzy, jedna rzecz jest całkowicie jasna: bez Kluczy stanie się coś strasznego. Coś, czego nie da się naprawić.

Jeżeli Alice i ja jesteśmy według proroctwa po przeciwnych stronach, to najpewniej Klucze w jej rękach byłyby niebezpieczne, co oznacza, że muszę je znaleźć.

Wcześniej niż moja siostra.

Rozdział IX

Następnego dnia w drodze do Wycliffe Alice nie wspomina o Soni. Od czasu odwiedzin unikałam towarzystwa siostry, usiłując opóźnić moment, kiedy Alice zacznie zadawać mi pytania.

Wyobrażam sobie swoje zmagania i przygotowuję się na nie, lecz Alice milczy. Jakby i tak o wszystkim wiedziała, a wiedzę, którą ma, postanowiła ukrywać przed światem.

Jakoś nikt nie świętuje naszego powrotu do szkoły. Być może Victoria ma Alice za złe naszą niedozwoloną wycieczkę do Soni, a może żywi urazę, ponieważ nie poniosłyśmy bardziej surowej kary – tak czy owak, i ona, i ścisły krąg jej przyjaciółek omiatają nas lodowatym spojrzeniem. Tylko Luisa chyba się cieszy, że nas widzi, szczególnie mnie.

Przy śniadaniu nachyla się do mnie, bo zajęła miejsce obok, jakby siedziała tam od zawsze.

– Wszystko w porządku?

– Tak – kiwam głową – ale przykro mi ze względu na ciebie. Miałaś duże kłopoty?

Luisa uśmiecha się.

– Spore, ale dzięki temu było bardziej interesująco. Niczego nie żałuję!

Po śniadaniu kolejno zajmujemy się muzyką, literaturą i językoznawstwem.

Cały dzień otacza nas atmosfera szeptanych aluzji i złośliwych uśmieszków. Kiedy wychodzimy gęsiego na zewnątrz na ostatnią lekcję tego dnia – lekcję pejzażu – widzę wyraźnie, że twarz Alice jest zbyt spokojna, że siostra trzyma głowę za wysoko, a plecy za prosto. Unika mojego wzroku. Alice woli osamotnienie od litości.

Stawiamy sztalugi na podwórzu, do którego przylega skromny ogródek. Z powodu nadchodzącej zimy prawie nic już w nim nie rośnie. Chociaż świeci słońce, w powietrzu jest chłód. Dociera do mnie, że prawdopodobnie jest to jedna z naszych ostatnich lekcji na świeżym powietrzu w tym roku.

– Lia! Chodź tutaj! – woła i macha do mnie Luisa, stojąc obok sztalug przy ceglany murze. Jej oddech zamienia się w parę.

Idąc w stronę Luisy, czuję wdzięczność i zaskoczenie z powodu tak jasnej propozycji przyjaźni.

– Zająłam dla ciebie. – Pokazuje na puste sztalugi po swojej prawej stronie i uśmiechając się, siedzi gotowa na krzeselku, z pędzlem w ręce.

– Dziękuję. Nad czym mam się dzisiaj pastwić? – Mój brak talentu plastycznego jest powszechnie znany.

Luisa śmieje się w głos. To nie jest ugrzeczniony chichot wychowanek Wycliffe, lecz prawdziwy, zdrowy śmiech.

– Nie wiem. Może wybierz sobie coś, co i tak ledwie żyje. – Luisa zwraca wzrok w stronę pana Bella, naszego nauczyciela, który stoi przed nami na brukowanej ścieżce wijącej się przez ogród.

Pana Bella trudno nazwać przystojnym. Głowę ma zbyt wydłużoną, a twarz zbyt pociągłą. Włosy, starannie zaczesane, mają przykrywać pojawiające się tu i ówdzie łyse placki. Poza tym jest całkiem normalny. Najczęstszym tematem rozmów nie jest jego wygląd, lecz kawalerski stan, któremu dziewczęta w Wycliffe bardzo się dziwią. Uczennice bowiem, zwłaszcza te mieszkające przy szkole, są starannie chronione przed atencją mężczyzn. Każdy przedstawiciel płci przeciwnej będący w odpowiednim wieku, który nie jest jeszcze żonaty, staje się więc przedmiotem spekulacji, bez względu na to, czy łysieje, czy nie.

– Drogie panie, jak wiecie, jesień wkrótce się skończy. Dzisiaj spośród tych artystów, których omawialiśmy, wybierzcie sobie jednego i niech on posłuży wam za wzór. Namalujcie jakiś pejzaż ogrodowy wedle własnego uznania. Ponieważ ochładza się, będziemy mieć zaledwie kilka dni na wykonanie pracy, malujcie więc sprawnie, skupcie się. To wszystko.

Luisa już jest pochłonięta malowaniem, a na jej płótnie zaczynają pojawiać się kolory. Rozglądam się po obumierającym ogrodzie w poszukiwaniu tematu pracy, która z góry jest skazana na niepowodzenie. Odrzucam wszystko, co jest zbyt kolorowe i skomplikowane, aż w końcu mój wzrok zatrzymuje się na podłużnym, fioletowym kwiecie, ciemnym jak śliwka. To prosta kompozycja i być może nawet ja sobie z nią poradzę. *Nadaje się* – myślę.

Postanawiam, że będę się starać, ale wtedy coś odwraca moją uwagę. To Luisa, trzymająca wyciągniętą ponad płótnem dłoń, muskająca pędzelkiem dotychczas gładkie, puste miejsce. Nie chodzi jednak o samą Luisę. To jej ręka, jej nadgarstek wychylający się z rękawa czerwonego, aksamitnego płaszcza i srebrna bransoletka otaczająca jasną skórę przegubu dłoni.

I Znamię. Znamię Soni. Moje Znamię.

Widać tylko krawędź, tylko fragment zarysu, ale poznałabym je wszędzie.

– Co się dzieje, Lia? O co chodzi? – Z pędzla Luisy kapie szmaragdowa farba, a jej oczy są pełne troski.

– Twoje... To... Skąd je masz? – Nie mogę oderwać wzroku od jej szczupłego nadgarstka.

Luisa podąża za moim wzrokiem i patrzy na swoją rękę, z przerażenia otwiera szeroko oczy. Pędzel upada na ziemię, a ona szybko obciąga rękaw płaszcza.

– To nic. To tylko blizna. – Luisa schyla się po pędzel leżący za sztalugami, jej twarz pobieląła.

– Ja nie... – nie kończę, gdyż nagle staje pomiędzy nami pan Bell.

– Panno Milthorpe, Luiso, w czym problem? – krytycznie ogląda nasze prace, unikając patrzenia w twarz. Mimo że w głowie kotłują mi się pytania, i tak jestem na niego zła, że do Luisy zwraca się po imieniu, a grzeczniejszą formę „panno” zarezerwował tylko dla mnie.

– Nie ma żadnego problemu, panie Bell. Wszystko mi dzisiaj leci z rąk. Upuściłam pędzel, ale już go mam. – Luisa wymachuje mu pędzlem przed nosem, jakby chciała udowodnić, że rzeczywiście odzyskała narzędzie pracy.

– Tak, wszystko idzie świetnie, panie Bell. Panna Torelli i ja malujemy w jak największym skupieniu.

– Rozumiem. – Pan Bell kołysze się na piętach; pewnie zastanawia się, jak potraktować moją zawołaną niesubordynację, zważając na to, że ojciec, jak dobrze wiadomo, hojnie łożył na szkołę. – Wobec tego proszę kontynuować.

Kiedy oddała się na bezpieczną odległość, obie oddechamy z ulgą. Biorę do ręki swój pędzel i pochylam się w stronę Luisy, kreśląc na płótnie bezkształtne smugi.

– Skąd je masz? Musisz mi powiedzieć!

Luisa sztywnieje, zamacza pędzel w zielonej farbie.

– Nie rozumiem, dlaczego cię to interesuje. To bez znaczenia. Naprawdę!

Wzdycham, namyślam się tylko chwilę. Nie mamy zbyt wiele czasu. Pan Bell pochyla się nad obrazkami dziewcząt przy końcu naszego rzędu, zainteresowany pracą jednej z bardziej uzdolnionych uczennic. Odkładam pędzel do rowka w drewnianych sztalugach i trzymając rękę na kolanach, pośród fałd sukni, zaczynam podwijać rękaw. Kiedy mówię, mój głos jest niewiele silniejszy od szeptu.

– Mam dość dobry powód, żeby się tym interesować, Luiso. – Kiedy mój przegub jest na tyle odśnieżony, że widać medalion, odsuwam go i podnoszę dłoń, żeby zobaczyła znamię. – Spójrz, ja też mam takie. Jest prawie identyczne jak twoje.

Luisa długo przygląda się mojej ręce, cały czas trzymając pędzel. Czy to z powodu zdumienia i milczenia, jakie nas ogarnęły, czy po prostu za sprawą upływu czasu lekcja pejzażu szybko mija i nie mamy już możliwości porozmawiać we dwie: musimy odłożyć farby i odnieść płótna do pracowni pośród wrzawy pozostałych dziewcząt. Kiedy sprzątam swoje przybory, Luisa śledzi mnie wzrokiem, ale potrzeba chwili, żebym zdołała zrozumieć, co to wszystko znaczy, dlatego w zasadzie te minuty wymuszonego milczenia są mi na rękę.

Myjemy pędzle w zlewie, gdy Luisa w końcu zwraca się do mnie:

– Nie rozumiem, Lia. Jak to możliwe?

Nie odrywam spojrzenia od wody, mętnej od wypłukanych farb.

– Nie jestem pewna. Coś się dzieje, ale nie rozumiem więcej niż ty. Przynajmniej nie teraz.

Luisa kręci głową, a jej luźne czarne loki okręcają się wokół szyi.

– Dlaczego obie je mamy? – szepcze. – Do zeszłego tygodnia prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. A ja mam to znamię od zawsze.

Ponad zapachem terpentyny i farb napotykam jej wzrok.

– Nie wiem, Luiso. Proszę... Daj mi trochę czasu, żebym mogła uporządkować chociaż to, co wiem.

– Jaka szkoda, że jest czwartek! Teraz będę musiała siedzieć i myśleć przez cały weekend! – Luisa jest pełna niepokoju, nie może dać sobie z nim rady. Jest tak spięta, że pod bladą skórą wyraźnie widzę naprężone mięśnie, jak na ilustracji w jednej z medycznych książek ojca.

Otrzeputuję pędzle i wkładam je do metalowego kubka przy zlewie, żeby wyschły, a potem znów zwracam się do Luisy:

– Czekaj na wiadomość ode mnie. Jakoś ją do ciebie przyślę.

* * *

Alice utrzymuje władczą posturę, dopóki Edmund nie zamknie drzwiczek powozu. Gdy jesteśmy już same w półmroku nadciągającego zimowego popołudnia, moja siostra cała się kurczy, jej ramiona zwisają bezwładnie, a twarz przybiera wyraz rezygnacji.

Przykrywam jej dłoń swoją.

– Czy wszystko w porządku?

Alice kiwa głową i jednym szybkim ruchem cofa rękę, unikając mojego wzroku. Zanim położy ją sobie na kolanach, przyglądam się gładkiej skórze jej nadgarstka. Jest tak, jak przypuszczałam. Skórę w tym miejscu ma delikatną jak na policzku. To ja jestem tą napiętowaną siostrą.

Alice odwraca się ode mnie i ponuro wpatruje w widok za oknem. Cieszę się z jej milczenia. Nie mam ani energii, ani chęci, żeby ją pocieszać. Głośno wzdycham i wtulam się głębiej w wyściełane siedzenie.

Kiedy opieram głowę i zamykam oczy, widzę wyłącznie znamię na ręce Luisy. I Soni. I mojej.

To się nie mieści w głowie, że wszystkie trzy mamy to samo znamię – prawie identyczne – i że wszystkie mieszkamy w jednym mieście. A przecież nic tak zawiłego, tak złowróbnego, nie może być dziełem przypadku. Przekonanie, że to wszystko ma jakiś sens, jest jedyną drogą do zrozumienia tego sensu.

Alice i ja przebywamy drogę powrotną do domu bez słów i zatrzymujemy się na podejździe przed domem, gdy ręka ciemności zasłania już niebo. Edmund nie zdążył jeszcze podejść do drzwiczek powozu, kiedy Alice wymyka się jak dzikie zwierzę wypuszczone z klatki i rusza nie w kierunku domu, lecz ścieżki prowadzącej do jeziora. Nawet nie próbuję jej zatrzymać. Po tym wszystkim, co się stało, i zważając na to, co wciąż się dzieje, czuję ból upokorzenia, jakie spotkało ją ze strony samozwańczych księżniczek Wycliffe. Jest tak, jakbym oglądała układanie jednego z koni czystej krwi należących do ojca. To dobre i pożyteczne, że konia da się ujeździć i opanować, ale nigdy nie mogę pozbyć się smutku, że złamano tak dumny charakter.

Jestem w połowie schodów, gdy dogania mnie głos ciotki Virginii z holu.

– Lia .

Odwracam się przodem do niej.

– Słucham.

Ciotka stoi u podnóża schodów, wpatrując się we mnie z napięciem.

– Czy coś się stało? – W kącikach jej oczu pojawiają się bruzdy, kiedy tak uważnie przygląda się mojej twarzy.

Waham się z odpowiedzią, bo nie wiem, co ciotka ma na myśli.

– Nie. Oczywiście, że nie. A czemu ciocia pyta?

Szczupłe ramiona ciotki podnoszą się i opadają.

– Wyglądasz, jakby coś ci nie dawało spokoju. A Alice wygląda na zrozpaczoną.

Uśmiecham się, żeby rozwiać jej smutki.

– Dziewczęta w naszym wieku, znudzone, bogate dziewczęta, nie zawsze są uprzejme, wiesz, ciociu.

Jej uśmiech jest nikły i smutny.

– Tak. Chyba coś o tym wiem.

– Alice nic nie będzie. Po prostu jest zmęczona i jeszcze smutna po śmierci ojca, jak my wszyscy.

Ciotka kiwa głową. Już mam nadzieję, że to koniec rozmowy, kiedy nagle zatrzymuje mnie.

– Lia, czy zwrócisz się do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała? Jakiejś pomocy ode mnie?

Jestem prawie pewna, że w jej głosie coś jest, jakiś ślad zakodowanej wiadomości, której nie potrafię rozszyfrować. Przez jedną szaloną chwilę chcę powiedzieć ciotce wszystko. Chcę spytać ją, jak mam wypełniać swoją rolę Strażniczki, bo jakże osoba tak zagubiona jak ja ma chronić świat przed czymś, czego nawet nie rozumie?

Ostatecznie jednak nie mówię nic, bo skoro ja jestem Strażniczką, a Alice Bramą, to kim jest ciotka Virginia? Jaką rolę przypisało jej proroctwo?

W odpowiedzi na pytanie ciotki uśmiecham się.

– Tak. Dziękuję, ciociu Virginio.

Wchodzę po schodach na górę, nim ciotka zdąży powiedzieć coś jeszcze.

Potem siedzę w swoim pokoju przy biurku, ogień trzaska w kominku, a ja rozważam wszystkie opcje. Przyglądam się książce – bez rodowodu, bez oznaczeń, bez miejsca pochodzenia.

To książka stara jak czas.

Notatki Jamesa wychylają się spoza cienkiej stronicy z przepowiednią. Tylko tyle zostało z *Księgi Chaosu*. Chcę sama rozwiązać tę zagadkę, bez niczyjej pomocy, ale szukając odpowiedzi, trafiłam teraz w ślepy zaułek.

Czasem trzeba poprosić o pomoc, nawet jeśli się nie ma na to ochoty.

Wyjmuję z szuflady pióro i kałamarz. Biorę dwa arkusze grubego papieru i zaczynam pisać.

Droga Panno Sorrensen!

Panna Lia Milthorpe uprzejmie zaprasza na herbatę...

Kiedy zaproszenia dla Soni i Luisy są już gotowe, decyduję się zaspokoić dręczące mnie pragnienie, by zapomnieć choć na chwilę o książce, i namawiam Henry'ego, żebyśmy spędzili wieczór na grach i zabawach. Jego oczy wciąż ocienia smutek, a mnie, prawdę mówiąc, te rozrywki pozwolą odpocząć od wielu pytań, które domagają się odpowiedzi. Jednak pytania będą na mnie czekać, obojętne co zrobię, aby zabić czas.

Idąc do salonu, mijam szklane drzwi werandy i zauważam, że ktoś jest w środku. To Alice. Siedzi w dużym wiklinowym fotelu przy oknie, a na jej kolanach leży Ari. Ja stoję w ciepłym holu, ale czuję, że w tamtym pomieszczeniu panuje lodowaty chłód. Szyby są miejscami pokryte szronem, lecz Alice spogląda na zewnątrz, w ciemność. Tylko okryła się kocem, jakby przebywała w miejscu równie nagrzanym co salon, gdzie przecież pali się ogień. Głaszce kota miarowym ruchem, przypominającym sposób, w jaki szczotkowała mi włosy. Nawet tu, gdzie stoję, widać, że patrzy przed siebie pustym wzrokiem.

Już zamierzam zaanonsować swoją obecność, otworzyć szklane drzwi i stanąć na terakotowej posadzce, ale zastygam w pół kroku. Ari miauczy i usiłuje zejść z kolan Alice. Wiklinowy fotel trochę go zasłania, przekrzywiam więc głowę, żeby lepiej widzieć.

Kiedy w końcu udaje mi się dokładniej dostrzec, co robi Alice, po skórze przebiega mi dreszcz obrzydzenia i strachu. Alice przytrzymuje kota. Nie gładzi mu futerka. Nie głaszce go, jak jeszcze przed chwilą. O, nie. Chwyta małą kępkę sierści i skręca – skręca ją, aż kot piszczy z bólu i wrywa się jej z rąk. Największe przerażenie budzi we mnie jednak jej twarz. Jest zupełnie obojętna, ma nijaki wyraz, jakby myślała o pogodzie. Musi trzymać kota w żelaznym uścisku. Ari nie może uciec, choć skręca się i wije.

Powinnam natychmiast powiedzieć jej, żeby przestała, ale jestem w takim szoku, że nie wiem, ile sekund mija, nim decyduję się przystąpić do działania. W końcu otwieram drzwi na oścież, a ona uwalnia kota, przy czym jej mina w ogóle się nie zmienia.

Ari umyka z kolan, drżący, i wybiega z pomieszczenia tak szybko, jakby był młodym kociątkiem.

– O, to ty, Lia. Co tu robisz? – Alice zwraca się do mnie, gdy wchodzę. Nie jest w najmniejszym stopniu zakłopotana ani zawstydzona.

– Chciałam zapytać, czy zagrasz ze mną i Henrym w karty w salonie. – Mam zachrypnięty głos i muszę odchrząknąć, żeby mówić dalej. – Co robiłaś?

– Hmmm? – Alice znowu wpatruje się w okno.

– Przed chwilą. Z Arim – mówię głośniej.

Alice ledwo dostrzegalnie kręci głową.

– Nic. Zupełnie nic.

Chciałabym przycisnąć ją do muru, zmusić ją do przyznania się, ale po co? Wszystko widziałam. Wiem, co robiła, bez względu na to, co powie.

Mimo że całe zajście trwa krótką chwilę, wiedza, którą wynoszę, przepelnia mnie strachem. Bo choć dotychczas nie sposób było zaprzeczyć, że Alice bywa niedbała, egoistyczna, nawet pogardliwa, nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być po prostu okrutna.

Rozdział X

Henry i ja gramy w karty partię za partią. Udało nam się nawet namówić kucharza, żeby przygotował popcorn i czekoladę, dwa ulubione przysmaki Henry'ego. Po dłuższym czasie zaczynamy grać w szachy. Henry za każdym razem wygrywa – widać, że całe lata poznawał doskonałe strategię ojca. Śmiejemy się, choć nie jest to ten beztroski śmiech z przeszłości. Teraz jest podszyty smutkiem, a w moim przypadku dodatkowo strachem. Chciałabym zatracić się w tych prostych rozrywkach z moim młodszym bratem, ale gdy czekając na ruch Henry'ego, patrzę w ogień kominka, wciąż widzę martwą twarz Alice.

– Lia – myśli przerywa mi głos chłopca.

Podnoszę wzrok znad szachownicy.

– Tak?

– Musisz uważać.

Na te słowa dreszcz przechodzi mi po plecach, ale zmuszam się do uśmiechu.

– Co masz na myśli, Henry?

Henry odwraca wzrok i patrzy przez chwilę w ogień, nim znowu spojrzy mi w oczy.

– Ojciec często mawiał, że nic nie jest takie, jakim się wydaje.

– Henry – uśmiecham się łagodnie na jego poważne słowa. Nie mam zamiaru traktować go protekcyjnie, gdy tak usilnie stara się przekazać swoją tajną wiadomość. – Co masz na myśli?

– Po prostu... – Bierze głęboki oddech, jakby zbierał się na odwagę, ale w końcu wydaje z siebie tylko zmęczone westchnienie. – Nie wiem, co chciałem powiedzieć, Lia. – Uśmiecha się, ale to tylko cień jego dawnego uśmiechu. – Po prostu obiecaj mi, że będziesz uważać, dobrze?

– Oczywiście – kiwam głową, próbując rozwikłać zagadkę zawartą w jego wypowiedzi.

Spędzamy jeszcze dwadzieścia minut na grze w szachy, ale już bez zapалу. Henry ziewa, składamy więc figury i piony, a ciotka Virginia zjawia się, by pomóc mu położyć się do łóżka.

Kiedy Henry mówi mi „dobranoc”, jego oczy są ciemne od troski i – nie mogę powstrzymać się od tej myśli – smutku.

– Dziękuję, Lia. Bardzo.

– Nie ma za co. Z radością znowu cię kiedyś pokonam – przekomarzam się, chcąc, aby się rozchmurzył. Nachylam się i całuję go w policzek. – Dobranoc. Śpij dobrze.

– Ty też śpij dobrze, Lia.

Ciotka Virginia zabiera Henry'ego i mijając mnie, uśmiecha się bez słowa.

– Dobranoc, ciociu.

Po ich wyjściu stoję w ciszy salonu. Podchodzę do dużego okna i wpatruję się w czarną noc, jak wcześniej Alice, zastanawiając się, co dostrzegła w pustce za szybami werandy. Patrzę i patrzę, a jedynym dźwiękiem, jaki mi towarzyszy, jest trzask ognia w kominku.

Nie dostrzegam nic. Nie widzę ani pięknego nieba z moich snów, ani odpowiedzi, których szukam.

Tylko ciemność.

* * *

Kiedy później idę po schodach, słyszę jakiś hałas dochodzący z biblioteki. To szuranie, odgłosy przesuwania czegoś tu i tam.

Zawracam na wykładanych dywanem stopniach i kieruję się w tamtą stronę.

Gdy zbliżam się do drzwi, widzę pochyloną Alice, zajęętą ściąganiem książek z półek. Przez chwilę przyglądam się, myśląc, dlaczego jestem zaniepokojona, skoro książki w bibliotece należą zarówno do Alice, jak i do mnie. To pewnie dlatego, że nigdy wcześniej nie interesowała się zbiorami ojca, a on dawno temu zrezygnował z dzielenia się z nią swoją miłością do lektury.

Alice chyba wyczuwa, że stoję przy wejściu, ponieważ odwraca się, nim zdążę wyrzec słowo. Na jej policzkach wykwitają żywe rumieńce. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam, jak Alice się czerwieni.

– O, Lia! Co tutaj robisz? – Alice prostuje się, wygładza sukienkę i zakłada luźne pasmo włosów za ucho.

– Zobaczyłam, że drzwi są otwarte. Czego szukasz?

– Czegoś do poczytania przed snem – Alice przybiera spokojny wyraz twarzy. Macha niedbale ręką w stronę półek. – Ostatnio nie sypiam zbyt dobrze.

– Tak, chyba wiem, o czym mówisz. Jeżeli chcesz, żeby ci coś doradzić, wystarczy zapytać – wskazuję głową w stronę regałów.

Alice patrzy na mnie, a jej twarz zmienia się w kamień.

– Oczywiście, zapytam. Jeśli sama czegoś nie znajdę, rzecz jasna.

Stoimy tak, patrząc na siebie. Niewątpliwie Alice nie ma zamiaru wychodzić, a ja nie mam wyłącznych praw do biblioteki.

– Dobranoc, Alice. – Niełatwo jest odejść, ale robię to, pozostawiając moją siostrę we wnętrzu, które na zawsze uświęciła obecność ojca i w którym tak często z nim przebywałam.

Wracam na schody, a w żyłach pulsuje mi strach pomieszany z gniewem. Nie wiem, dlaczego chcę ukryć książkę przed Alice, ale nagle jestem bardzo, bardzo zadowolona z faktu, że jest schowana w szafie w mojej sypialni.

Rozdział XI

Dwa dni później z dużego okna w salonie obserwuję, jak powóz pokonuje zakręt na podjeździe. Mimo że powód, dla którego zaprosiłam Luisę i Sonię na herbatę jest niezwykle, cieszę się perspektywą przebywania w ich towarzystwie. Dziecko, które jest we mnie, chce zbiec po kamiennych schodach i z impetem otworzyć drzwiczki powozu. Zmuszam się więc, żeby wstać powoli, wygładzam fałdy spódnicy i spokojnie wkraczam do holu. Ciotka Virginia, siedząca przy kominku, spogląda znad swojej robótki i odkłada ją, dołączając do mnie. Schodzimy razem po kamiennych stopniach.

Do tej pory nie zapraszałam nikogo na herbatę, zrozumiałe więc, że ciotka Virginia była zaskoczona, kiedy powiedziałam jej, iż planuję przyjąć dwie moje koleżanki ze szkoły, ale nie miała nic przeciwko temu. W końcu Birchwood jest moim domem. Nie uznałam za stosowne, by wyjawić swoje plany Alice, choć trudno przypuszczać, żeby ich nie znała, zważywszy na dodatkowe przygotowania. Rzadko się pokazywała i było mi to na rękę – obojętne, czy postępowała tak, bo mnie unikała, czy dlatego, że nie wiedziała, co się dzieje.

Ciotka Virginia i ja stajemy na końcu podjazdu, gdzie z chrzęstem żwiru zatrzymuje się powóz. Edmund otwiera drzwiczki i wyciąga rękę, aby pomóc pasażerkom przy wysiadaniu. Najpierw pojawia się dłoń w rękawiczce. Wiem, że to Sonia. Tak dziecinnie mała rączka może należeć tylko do niej. Wydostaje się z powozu, a na jej twarzy maluje się wyraz niepewności.

– Sonia! Tak się cieszę, że mogłaś przyjechać! – Biorę ją za rękę. Sonia uśmiecha się i patrzy na ciotkę Virginię.

– Dziękuję za zaproszenie. – Po minie Soni nie widzę, co myśli, ale ponieważ starannie dobiera słowa, wydaje mi się, że obawia się, iż zrobi kiepskie wrażenie.

Patrzę na ciotkę Virginię i przedstawiam Sonię. Ciotka śle ciepły uśmiech.

– Bardzo się cieszę, że panią poznałam, panno Sorrensen.

Luisa, nie korzystając z pomocy Edmunda, wyskakuje z powozu jednym susem, a jej uśmiech ogrzewa nas wszystkie.

– Och, bardzo dziękuję, że mnie zaprosiłaś, Lia! – Obdarza mnie krótkim uściskiem, a jej śniade policzki wyglądają jak dojrzałe morele. – Nigdy nie byłam zaproszona na herbatę. Ani razu, przez

cały czas pobytu w Wycliffe. Szkoda, że nie widziałaś min innych dziewcząt, kiedy przyszło zaproszenie! – Przerywa tylko po to, żeby złapać oddech, a wtedy kładę jej rękę na ramieniu, aby wykorzystać moment i ją przedstawić.

– Ciociu, to jest Luisa Torelli. Luiso, przedstawiam ci moją ciocię, Virginię Spencer.

– Miło mi panią poznać, panno Torelli – zielone oczy ciotki Virginii błyszczą.

– Mnie również miło jest panią poznać, panno ... mmm ... pani Spencer.

Powstrzymuję uśmiech, słysząc niepewność Luisy co do stanu cywilnego mojej ciotki.

– Ta pierwsza wersja była prawidłowa, panno Torelli. Nigdy nie byłam mężatką.

– Och, bardzo pani jest dzielna, panno Spencer – sapie Luisa. – Ja tak podziwiam niezależne kobiety w dzisiejszych czasach!

Wiem, że muszę ją powstrzymać, bo inaczej postoiemy na zwirowym podjeździe do kolacji – Luisa będzie gawędzić, jak gdyby czas nie mijał.

– Wejźmy do środka, dobrze? W kominku jest napalone i stół jest nakryty.

Pod jedno ramię biorę Luisę, pod drugie Sonię. Będzie nam miło przy herbacie. A potem postaramy się odkryć, jaka mroczna więź nas łączy.

* * *

– Nie mogę w to uwierzyć – Luisie prawie odebrało mowę. Prawie, ale nie całkiem. – I pomyśleć, że przez cały czas myślałam, że tylko ja to mam.

– Ja też – szeptem mówi Sonia. – Dopóki Lia się nie odnalazła. – Nie może oderwać wzroku od naszych rąk, wyciągniętych ponad belami słomy, na których siedzimy. Nasze trzy znamiona są dowodem na to, że cokolwiek się dzieje, dotyczy nas wszystkich.

Przyprowadziłam dziewczęta do stajni – szukałyśmy spokojnego miejsca, by uniknąć wścibskich spojrzeń i ciekawskich uszu, jakich pełno w domu. Jest dość późno i stajenni skończyli już pracę. Towarzyszy nam tylko ciche rzenie koni i słodki zapach siana.

Rozluźniam rękę i przyciągam ją z powrotem do siebie.

– Nie da się temu zaprzeczyć. Już nie. Będziemy musiały razem dowiedzieć się, co to oznacza.

– Ale jak? – potrząsa głową Sonia. – Powiedziałam ci wszystko, co wiem, Lia. Niczego nie opuściłam.

– Co? Co wiesz? – Luisa patrzy na nas przymrużonymi oczami.

Wzdycham i idę w stronę skórzanego worka wiszącego na kołku wbitym w ścianę stajni. Wkładam rękę do środka i wyjmuję garść suchego, pokruszonego owsa, potem wchodzę do pierwszego boksu.

– Sonia opowiedziała mi pewną historię czy legendę o siostrach bliźniaczkach i aniołach, które...

Teraz Luisa podchodzi do worka z owsem.

– Opowieść, w której występują Maari i Katla? I Czuwający? – pyta, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Jestem tak zdumiona, że nie zwracam uwagi na stojącego przede mną karosza. Koń trąca mnie nosem w ramię i dopiero wtedy, w roztargnieniu, wyciągam do niego otwartą dłoń.

– Znasz ją?

Luisa wzrusza ramionami.

– Kiedy byłam mała, opowiadała mi ją babcia. Ale co to ma wspólnego z nami? Ze znamieniem?

– Luisa podchodzi do drugiego boksu i bez wahania wtyka dłoń przez szparę.

Wycieram ręce o spódnicę, sięgam głębiej do torby i wyciągam książkę. Luisa obserwuje mnie z zaciekawieniem. Sonia nie zbliżyła się do koni i dalej siedzi na beli słomy, jakby nie było mowy o tym, żeby mogła karmić takie duże, nieustannie przebierające nogami zwierzęta. Siadam obok niej, kładę książkę na kolanach, ale zakrywam ją dłońmi. Jeszcze nie pora. Najpierw musimy ustalić wspólny punkt wyjścia.

Zwracam się do Luisy.

– Opowiedz nam, co wiesz o siostrach.

Napotykam jej spojrzenie pełne niewypowiedzianych pytań.

A potem Luisa zaczyna mówić. Na początku zdania są urywane, ale w miarę jak opowieść wraca do niej z miękkich, zamglonych zakątków dziecięcych wspomnień, Luisa podaje coraz więcej szczegółów. Kiedy kończy, siedzimy w milczeniu.

Przesuwam palcami po okładce, w uszach wciąż mam słowa Luisy. Takie same jak te, które wypowiadała Sonia na urwisku nad jeziorem. Jak te z tłumaczenia Jamesa.

Sonia kręci głową.

– Myślałam, że tylko ludzie tacy jak ja – spirytyści, cygańskie wróżki i tacy tam – znają to proroctwo.

Luisa wzrusza ramionami ze smutnym uśmiechem i pociera o siebie rękawiczki, żeby strzepnąć resztki owsa.

– Moja matka była Angielką. Słyszałam plotki, że wywodziła się z dawnego, pogańskiego rodu. Pewnie to wszystko bzdury, ale może takie jest źródło opowieści babci.

Sonia przypatruje się książce wygłodniałym spojrzeniem.

– Powiesz nam wreszcie, co to jest, Lia?

– Mój ojciec był, można powiedzieć, kolekcjonerem. Kolekcjonerem rzadkich książek – wyciągam egzemplarz w ich stronę. – Po jego śmierci tę książkę znaleziono w tajnej skrytce w bibliotece.

Luisa kilkoma krokami pokonuje dzielącą nas odległość, bierze tajemniczą publikację i siada obok nas na słomie. Otwiera ją i uważnie, choć szybko ogląda stronicę, a potem z trzaskiem zamyka okładki.

– Nie umiem tego przeczytać, Lia. To po łacinie! A ja po tylu latach ledwie mówię po włosku, w moim ojczystym języku! Skąd będziemy wiedzieć, że to ma coś wspólnego ze znamieniem, jeśli nie możemy nawet tego przeczytać?

Nim sformułuję odpowiedź, książkę bierze Sonia. Ona ogląda ją dokładniej, ale zawartości poświęca równie niewiele czasu, zamyka ją tak jak Luisa, wzrusza ramionami i spogląda na mnie sponad okładki.

– Obawiam się, że ja też nie umiem czytać po łacinie, Lia.

Z jedwabnych zakamarków swojej torebki wyciągam złożone zapiski Jamesa.

– Ja również nie znam łaciny, za to przypadkiem znam osobę, która dobrze ten język rozumie.

Wręczam im tłumaczenie i daję chwilę na przeczytanie, przekazywanie sobie, zastanawianie się nad słowami wykaligrafowanymi przez Jamesa.

Po przeczytaniu Sonia kładzie sobie tekst na kolanach z beznamiętnym wyrazem twarzy. Luisa przygryza swoją pełną dolną wargę, a potem wyciąga źdźbło słomy z beli. Wstaje i chodzi po stajni, a jej kroki odbijają się echem w pustym pomieszczeniu.

Wreszcie mówi:

– A więc dobrze. Przemyślmy to razem. Jeżeli legenda jest prawdziwa, jeżeli znamię ma z nią coś wspólnego, jeżeli to ty i Alice jesteście tymi siostrami...

– Same „jeżeli”, Luiso. – Nie mówię tego dlatego, że się z nią nie zgadzam. Nie mówi niczego, o czym sama bym wcześniej nie myślała. Jednak trzeba pozwolić, by głos rozsądku też został usłyszany, nawet jeśli ten rozsądek powoli tracę.

Luisa przytakuje.

– Być może. Ale jeżeli spojrzymy razem na książkę i legendę, na ciebie i Alice, i na znamię... Tak, największe podobieństwo między proroctwem a tym, co dotyczy nas, to Alice i ty, Lia. Jesteście bliźniaczkami. To nie może być czysty przypadek. – Luisa zatrzymuje się i wzrusza ramionami. – No, mógłby być, ale na moment załóżmy, że nie jest, dobrze? Zobaczmy, gdzie takie myślenie nas zaprowadzi.

Zgadzam się, bo czuję ulgę, że ktoś choć na chwilę bierze na siebie brzemię zajmowania się proroctwem.

– Pomyślmy zatem. – Luisa znowu zaczyna spacerować po stajni. – Ty jesteś Strażniczką, twoja siostra – Bramą. To nawet pasuje. Twoje znamię jest inne, a sama powiedziałaś, że Alice nie ma żadnego znamienia. Poza tym, powiedzmy uczciwie – trudno wyobrazić ją sobie jako strażniczkę czegokolwiek, może tylko własnych dobrze pojętych interesów. – Luisa uśmiecha się do mnie ze smutkiem. – Tylko się nie obraż.

Kiedyś bym się obraziła. Kiedyś wzięłabym stronę Alice. Nie potrafię jednak zaprzeczyć opinii Luisy na jej temat, a rozszyfrowanie proroctwa i mojej w nim roli staje się naraz o wiele ważniejsze niż lojalność wobec siostry, której – jestem tego pewna – prawie wcale nie znam. Kręcę głową.

– Nie obrażam się.

– To dobrze – Luisa uśmiecha się życzliwie. – Więc to musisz być ty. Ty musisz być Strażniczką. A skoro ty jesteś Strażniczką, Alice jest Bramą.

Kiwam głową, zdumiona i wdzięczna, że to wszystko jest dla Luisy takie proste, że tak łatwo uwierzyła w to, co moja logika dotąd nieustannie negowała.

– Tak, tak przynajmniej mi się wydaje. Ale jak mamy rozumieć resztę?

– *Stracone z nieba Dusze błąkają się... Dopóki Bramy nie wezwą ich do powrotu lub Anioł nie przyniesie Kluczy do Czeluści* – głos Soni unosi się w ciemnym wnętrzu stajni. – To następny fragment proroctwa, po tym, który mówi o siostrach. Może tu musimy szukać kolejnej wskazówki.

Luisa opiera się o ścianę i stoi z założonymi rękami.

– Chyba masz rację, Soniu. Musimy dowiedzieć się, kto jest Aniołem, i znaleźć Klucze. Może to pomoże nam zrozumieć resztę,

– Tak, tylko... – głos Soni załamuje się, dziewczyna przygryza wargę,

– Tylko co? – dopytuje się Luisa.

Sonia omiata spojrzeniem ciemne kąty stajni.

– Co będzie, jeżeli Alice pierwsza znajdzie Klucze? Jeżeli to one otwierają drzwi tajemnicy, czy nie będzie chciała ich znaleźć równie gorąco jak my?

Kiedy Sonia wymienia imię Alice, zaczyna brakować mi oddechu. Nie mogę powiedzieć głośno tego, co czuję – że dziwne zachowanie siostry budzi mój strach. Boję się nie tylko tego, że znajdzie Klucze wcześniej niż my, ale i tego, co może zrobić, nim ten moment nadejdzie.

Odpycham te myśli od siebie.

– To ja mam książkę. Bez niej Alice być może nie zna całej przepowiedni. Może też nie jest pewna swojej roli, tak jak ja nie jestem pewna mojej. Jeżeli zdołam ukryć przed nią książkę, może zyskamy przynajmniej tyle czasu, żeby znaleźć Klucze i dowiedzieć się, jak trzeba je wykorzystać.

Sonia kiwa głową w zamyśleniu:

– A może ...

Stajnię wypełnia trudne milczenie otaczające nasze wspólne sekrety. Myślę o niekończących się pytaniach, jakie przed nami stoją, o niepodobieństwie znalezienia odpowiedzi na nie, a wreszcie doprowadza mnie to do zupełnie innego problemu.

– Luiso!

Luisa stoi oparta o ścianę stajni, żując koniec słomki trzymanej w palcach.

– Tak?

– Czy ty też podróżujesz nocą? To znaczy czy masz dziwne sny o podróżowaniu?

Luisa waha się, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– No cóż, Lia, chyba każdy ma jakieś sny...

Sonia wstaje i bezmyślnie przygląda się siodłom i uzdom powieszonym na ścianie.

– Nie ma się czego bać, Luiso. Ja podróżuję od lat. Lia dopiero zaczęła. Można się spodziewać, że i ty masz ten dar, zważywszy na to, iż mamy takie samo znamię.

Luisa kręci głową.

– Ale to tylko sny! Dziwne sny, w których potrafię latać. Wiele osób śni o lataniu! – wyrzuca z siebie słowa, jak gdyby od dawna chciała je wypowiedzieć.

Sonia uśmiecha się. Już rozpoznaję ten uśmiech – pojawia się wówczas, gdy moja przyjaciółka musi powiedzieć coś, co niełatwo zrozumieć czy zaakceptować.

– Rzeczywiście tak jest, że dusza może podróżować odłączona od ciała, i nie tak trudno to wyjaśnić. Nietrudno się też do tego zjawiska przyzwyczaić, kiedy już się je zrozumie.

Luisa opiera się o jeden z boksów, jakby potrzebowała punktu podparcia. Jej przerażona twarz jest biała jak prześcieradło. Dawno przestała protestować i zaprzeczać, kiedy Sonia skrupulatnie i precyzyjnie opisała wrażenia wywołane podróżowaniem. Tym rodzajem podróżowania, którego wszystkie doświadczyliśmy i który teraz musimy zaakceptować, ponieważ jest związany z przepowiednią i znamieniem.

Luisa prostuje się, a jej twarz dla odmiany jest teraz zaczerwieniona.

– Ja nie chcę więcej podróżować! To na pewno niebezpieczne – latać w odłączeniu od ciała! A jak ktoś nas zobaczy, kiedy my będziemy w drodze? Pomyśli, że umarliśmy!

W ciemnej stajni spojrzenia moje i Soni spotykają się. Wiem, że myśli o naszej rozmowie nad urwiskiem. Na temat Pustki. Prawie niedostrzegalnie kręci głową. Zauważam ten gest i domyślam się, że przy Luisie mam nie wspominać o Pustce. Jest wystarczająco wystraszona.

Sonia uśmiecha się do niej ze spokojem.

– To raczej mało prawdopodobne, ponieważ dusza jest mocno złączona z ciałem, które do niej należy. Nie ma powodu, byś uważała, że jesteś w niebezpieczeństwie, Luiso.

Słyszę słowa, których Sonia nie wypowiedziała: *To Lia jest ścigana.*

Luisa rozciera ramiona, jakby dopiero teraz poczuła chłód, który zakradł się do ciemniejącego wnętrza. Ten ruch budzi ją z jakiegoś transu, w który zapadła, i dziewczyna nagle prostuje się.

– Ojej! Już się ściemnia! Musi być bardzo późno! Panna Gray będzie zagniewana!

Idę w stronę drzwi.

– Ciotka Virginia napisze jej liścik z przeprosinami i powie, że to my zatrzymaliśmy cię tak długo. Na ciotkę nawet panna Gray nie może się gniewać, mówię ci.

Zamykamy wrota za sobą, a ja krzyżuję ręce na piersiach, na próżno próbując bronić się przed chłodem, kiedy zmierzamy w kierunku domu. W zaciszu stajni nietrudno było stracić poczucie czasu, a teraz widzę, że jest prawie całkiem ciemno. Lampy w domu się świecą i zapraszają do środka, do opuszczenia zimnego, mrocznego dziedzińca.

Zatrzymujemy się na tarasie przy werandzie. Żadna z nas tego nie stwierdziła, ale pewnie wszystkie myślimy to samo. Cokolwiek zostało do powiedzenia, musi zostać omówione przed wejściem do domu.

– Co teraz zrobimy, Lia? – w głosie Soni pobrzmiewa rozpacz.

– Musimy znaleźć Klucze, a tego urywka z książki nie rozumiemy wcale lepiej niż przedtem.

Dotykam ich ramion.

– Znajdę jakiś sposób, żebyśmy się znów spotkały we trzy. Do tego czasu nie wolno nam z nikim rozmawiać o książce, proroctwie, znamieniu... o niczym. Choć nie ma wyraźnej przyczyny, by zachowywać to wszystko w tajemnicy, czuję, że tak powinniśmy zrobić.

Luisa parska.

– No cóż, jest przynajmniej jeden powód! Ludzie myśleliby, że zwariowałyśmy!

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu i szybko przytulam Luisę, a potem to samo robi Sonia.

– Uważajcie na siebie, proszę. Szkoda, że musiałam was wplątać w coś tak okropnego.

Sonia uśmiecha się.

– Jeśli stałyśmy się częścią prorocтва, to dawno temu, Lia. Nie ponosisz większej odpowiedzialności niż my. Cokolwiek się stanie, wspólnie stawimy temu czoła.

* * *

Kiedy ściągam suknię i zakładam miękką koszulę nocną, czuję się tak, jakbym zrzuciła starą skórę. Wzdycham głośno, rozpuszczając włosy i siadając przy biurku. Zaczynam od początku i ponownie czytam treść prorocтва, zwracając uwagę na fragment następujący po opisie Strażniczki i Bramy, bo ten już znam i rozumiem.

Czytam jeszcze raz, i jeszcze raz, ale nic nie pomaga. Nie pojmuję kolejnego urywka, chociaż bardzo się staram. Notatki Jamesa mam rozłożone na biurku, lecz teraz wszystkie są pomieszane, gdyż składałam je i rozkładałam. Przepisuję je więc na czysto, by przynajmniej zająć czymś ręce, a potem opieram głowę na dłoniach.

Mam dziwną chęć uciec gdzieś w pola i krzyczeć, wykrzyczeć z siebie całą frustrację i złość z powodu rzeczy, których nie rozumiem.

Dotykam tylnej okładki książki, żeby zamknąć ją, zanim położę się spać, zanim bez walki poddam się wszelkim snom, jakie na mnie czekają. Wtedy czuję, że gładki róg bibułki, jaką wyklejono okładkę od wewnątrz, odkleja się. Wyglądzam ten róg – stare nawyki są tak równoprawną częścią mnie jak sam ojciec. Będę musiała poprosić o przyklejenie tej bibułki, żeby książka się nie niszczyła.

Ale rogu nie da się wyprostować. Im bardziej przyciskam papier, tym bardziej się odkleja, jakby coś wrywało się ze środka, jakby chciało wyjść na powierzchnię. Nie podoba mi się to.

Przesuwam dłonią po wewnętrznej stronie tylnej okładki. Najwyraźniej coś tam jest. Coś, czego nie powinno być. Nie namyślam się długo, chociaż – gdyby żył mój ojciec – zniszczenie okładki tak starej książki oznaczałoby zakaz wstępu do biblioteki.

Odrywam cienki papier najdelikatniej, jak potrafię, i jestem zdziwiona, że łatwo oddzielić go od twardej okładki. Jeszcze większe zdziwienie wywołuje jednak to, co przez cały czas czekało na mnie starannie złożone i schowane wewnątrz.

Spod bibułkowej wyklejki wyciągam poskładany stosik karteluszków i delikatnie rozwijam go. To nie jest normalny papier. Nie pochodzi z luksusowej papeterii używanej do wypisywania jakże upragnionych zaproszeń czy pretensjonalnych liścików towarzyskich. Jest cienki jak skórka cebuli, jak stronica z Biblii.

Kiedy wreszcie maleńkie zawiniątko leży rozpostarte, rysunki zapierają mi dech w piersiach.

Pierwszy przedstawia węża połykającego własny ogon. Pod spodem jest podpis *jorgumand*.

Drugi zatytułowany jest *Zbłąkane Dusze*. Przedstawia armię demonów na białych koniach, z mieczami zbroczonymi krwią i uniesionymi wysoko nad głowami. Ta ilustracja jest straszna, jednak mniej niż następna, z wężem pożerającym własny ogon, ułożonym na kształt okręgu wokół litery C.

Powoli wyciągam ją spośród pozostałych, odsłaniam cal po calu, kiedy odsuwają się inne, lekkie jak piórko obrazki. Gdy ukazuje się w całości, mogę tylko patrzeć, a serce wali mi w piersi jak młotem. Nie ma mowy o pomyłce. Rysunek jest tak znajomy jak znamię na moim nadgarstku. W środku jest złoty medalion, wokół niego wije się wstążka. To bogactwo szczegółów rodzi we mnie

nie falę grozy – jak mogłabym się spodziewać – lecz tęsknoty, która jest daleko bardziej przerażająca.

A podpis pod ilustracją sprawia, że włoski na moim przedramieniu unoszą się ze strachu.

Medalion Chaosu, Znak jedynej Prawdziwej Bramy.

Rozdział XII

Siedząc sama w pustym pokoju, patrząc na swój nadgarstek i na leżący obok książki medalion, kręcę głową. Jest taki sam.

Taki sam. Taki sam. Taki sam. Medalion Chaosu, Znak jedynej Prawdziwej Bramy.

To niemożliwe. To wbrew logice. Alice jest Bramą. Wiem o tym. Na pewno jest.

Jakieś wrodzone przeczucie mówi mi jednak, że to nieprawda.

Pulsuje we mnie dziwne pragnienie, budzące się na ciche wezwanie medalionu i Duszy, dosiadających swych złowrogich rumaków. Jest ono dla mnie i wybawieniem, i udręką. Niezaprzeczalnie we mnie jest.

Medalion oznacza Bramę. Podobno *jedyną Prawdziwą Bramę*, choć nie wiem, co miałyby to oznaczać. Jest świetnie dopasowany do mojej ręki. Podarowano mi go. Pasuje do mojego znamienia – różniącego się od pozostałych. Najwyraźniej do tej pory tkwiłam w błędzie.

Książka i jej tajemnice znużyły mnie. Nadszedł czas, by zobaczyć się z drugą siostrą.

* * *

Czekam, aż dom pogrzeży się w ciszy, aż w pokojach umilkną kroki służby. Potem zwlekam jeszcze trochę. Kiedy jestem już pewna, że w pobliżu nikogo nie ma, otwieram drzwi na korytarz i wychodzę boso. Gdy panuje taki spokój, można narobić hałasu nawet w pantoflach.

Leciutko pukam do drzwi ciotki Virginii. Przez chwilę nie dzieje się nic. Dom w milczeniu kontynuuje swoją podróż w stronę dnia. Podnoszę rękę, chcąc zapukać jeszcze raz. Drzwi otwierają się, stoi w nich ciotka Virginia, jakby wyczekiwała, jakby od razu wiedziała, że to ja.

– Wejdz, Lia – ponagla mnie szeptem. – Szybko – ciągnie mnie za ramię w głąb pokoju i zamyka drzwi.

– Przepraszam. Nie przypuszczałam, że... spodziewasz się mnie.

Ciotka jest zwrócona do mnie tyłem, ponieważ przechodzi przez pokój, by usiąść na krześle przy kominku. Potem gestem zaprasza, żebym siadła naprzeciwko niej.

– A ja właśnie spodziewałam się ciebie od dłuższego czasu, Lia.

Kulę się na swoim krześle z wysokim oparciem, obrzucając ciotkę ukradkowym spojrzeniem. Wygląda inaczej niż zwykle: jej długie, rozpuszczone włosy opadają na koszulę nocną – nie są związane w ciasny koczek z tyłu głowy. Kiedy już tu jestem, nie wiem, od czego zacząć. Jestem wdzięczna ciotce Virginii, że wybawia mnie z kłopotu.

– A więc znalazłaś książkę?

Kiwam głową i uważnie przyglądam się swoim dłoniom, unikając spojrzenia ciotki. Ona zaś uśmiecha się ze smutkiem.

– To dobrze. Wiesz, on chciał, żebyś ją znalazła.

Podnoszę wzrok.

– Ojciec?

– Tak, oczywiście. Nie myślisz chyba, że znalazła się przypadkiem. Albo że Douglasowie przypadkiem katalogują zbiory.

– Ja chyba... Chyba już nie wiem, co mam myśleć.

– Wobec tego zacznijmy od samego początku, dobrze? – głos ciotki jest, przepojony żalem. Wiem, że podobnie jak ja wcale nie ma ochoty zaczynać od samego początku. Ale musimy to zrobić. Musimy od czegoś zacząć. Przecież nie możemy dojść do końca, nie zaczawszy.

– Tak, od tego zacznijmy.

Ciotka patrzy na mnie w niemym oczekiwaniu. Najwyraźniej to ja pierwsza mam wyjawić swoje sekrety. Lecz cóż innego można zrobić? Treść proroctwa i moja w nim rola – wszystko wiruje w chaotycznym obłoku. Bez pomocy nie da się iść dalej.

Opowiadam więc to, co wiem i co chyba wiem, relacjonując swoje rozmowy z Sonią i swoje interpretacje książki. Gdy kończę, zaczyna mówić ciotka.

– Panna Sorrensen ma absolutną rację. Przepowiednia sprawdza się przez cały czas, przez te wszystkie lata, wszystkie życiorysy. Jesteśmy tylko jednym ogniwem łańcucha – objaśnia.

– Myślałam, że... – przy tych słowach ściska mnie w gardle. Muszę odchrząknąć, żeby mówić dalej. – Na początku myślałam, że to ja jestem Strażniczką.

Ciotka patrzy w bok, na ogień.

– Tak – mruczy. – Rozumiem dlaczego.

Przyjmuje moje oświadczenie tak łatwo, że czuję ucisk w sercu i mam kłopoty z oddychaniem.

– A więc to prawda – dla mnie nie jest to proste, mimo że domyślałam się tego wcześniej.

Jej skinienie głową jest prawie niedostrzegalne, jak gdyby delikatność tego ruchu miała sprawić, że potwierdzenie będzie mniej oczywiste, mniej bolesne.

Ze zdumieniem obserwuję, jak po przytaknięciu ciotki narasta we mnie złość. To uczucie zmusza mnie do podniesienia się z krzesła i przemierzania pokoju we wszystkie strony; jakbym się bała, że wyskoczę ze skóry, jeśli dalej będę siedzieć bez ruchu.

– Ale dlaczego? Dlaczego to mam być ja?

Ciotka wzdycha, a w tym cichym westchnieniu wymykającym się z jej ust jest całe morze smutku.

– Ponieważ jesteś starsza, Lia. To zawsze jest ta starsza.

Zaskoczona, zatrzymuję się. To wszystko? Jestem niewolnicą przepowiedni tylko z przypadku, tylko z powodu kolejności, w jakiej wyszliśmy na świat z łona matki?

– Przecież ja tego nie chciałam. Nie prosiłam o to. Dlaczego to mam być ja, skoro tego nie chcę?

Ciotka Virginia dotyka swoich ust koniuszkami palców.

– Sądzę, że to pomyłka.

– Co... co masz na myśli, ciociu? – z powrotem siadam na krześle obok niej.

Ciotka Virginia pochyla się i zagląda mi w oczy.

– Kiedy ty i Alice miałyście przyjść na świat, wasza matka bardzo źle znosiła ciężę. Przez większość czasu zmuszona była leżeć w łóżku, a na koniec... – Znowu patrzy w ogień nieobecny wzrokiem.

– Na koniec co?

– Na koniec Alice miała się urodzić pierwsza. Ułożona była główką na dół, gotowa do wyjścia, ty natomiast byłaś ułożona stópkami w dół, głową do góry. To dosyć częste u bliźniąt, przynajmniej tak powiedział lekarz. Myślę, że w każdym innym przypadku byłoby to bez znaczenia. Ale twoja matka ... nie mogła urodzić Alice. Miała bóle tak długo. Myślałam, że tego nie przeżyje.

– Ale przeżyła.

– Tak – ciotka kiwa głową. – Przypuszczam jednak, że jeszcze niedawno kobiety umierały przy takim porodzie. Lecz twój ojciec był bardzo bogatym człowiekiem, który dbał, by jego żona i nienarodzone dzieci miały jak najlepszą opiekę. Lekarz, który zajmował się twoją matką i asystował przy porodzie, umiał przeprowadzać zabiegi uważane niegdyś, a nawet teraz, za ryzykowne, w tym cesarskie cięcie.

– A co to jest?

– Rozciął jej brzuch, Lia – wzrok ciotki napotyka mój. – Uśpił ją i rozciął jej brzuch. Tylko tak mógł uratować jej życie, a być może również tobie i twojej siostrze. Kiedy zrobił cięcie, zamiast wyjąć najpierw Alice, schwycił ciebie. Alice była bliżej wyjścia, gdyby miała się urodzić normalnie, ale ty byłaś bliżej nacięcia zrobionego przez lekarza. Dlatego przypuszczam, że to nie miałaś być ty.

– Ale skąd o tym wiesz? Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Z początku nie wiedziałam – ciotka kręci głową. – Nie wiedzieliśmy. Kiedy twoja matka odzyskała przytomność, odmówiliśmy modlitwę dziękczynną za to, że przeżyła i że przeżyłaś ty oraz Alice. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Dopiero później zaczęłam podejrzewać, że to ty jesteś Bramą, zaczęłam myśleć o konsekwencjach interwencji doktora przy porodzie.

– Nawet jeżeli tak było, skąd wiesz, że nie stało się tak, jak miało się stać?

– Bo widzę spojrzenie Alice. A gdy patrzy na ciebie, boję się. – Ciotka rozgląda się, jakby ktoś mógł po cichu wślizgnąć się do pokoju, kiedy tak razem siedzimy. – Widzę jej złość, jej pragnienie, jej potrzeby. A w tobie ...

– Co we mnie?

– W tobie widzę coś zupełnie innego – wzrusza ramionami – coś prawdziwego. To było w tobie zawsze, nawet kiedy byłaś mała.

Ogień przygasa. Brakuje jego ciepła i pokój wydaje się nie tylko zimny, ale i pusty, martwy. Dopiero po chwili wzrok ciotki Virginii wędruje ku mojej ręce.

– Mogę zobaczyć? – pyta ostrożnie, jakby chciała zbadać jakieś miejsce bardziej intymne niż nadgarstek.

Przytakuję i wyciągam dłoń w jej stronę. Czuję, jak ciepłe, suche ręce ciotki dotykają mojej delikatnej skóry, podwijając rękaw nocnej koszuli.

– O! – jej głos wypełnia zdumienie. – Jest... jest inne.

Patrzę na znamię.

– Co masz na myśli?

– Takiego nigdy nie widziałam. – Przesuwa po nim delikatnie palcem. – Bramy... zawsze mają znamię ze znakiem Jorgumanda. Ale nigdy nie widziałam znamienia z literą C.

Rozmowa o znamionach przypomina mi o tym, że dotychczas nie wspomniałam nic o Soni i Luisie.

– Jest jeszcze jedna sprawa ...

– Co to za sprawa?

– Sonia i Luisa też mają znamię – takie, jak opisałaś. Ale nie mają litery C takiej jak ja. Jak myślisz, co to oznacza?

– Nie wiem – ciotka patrzy mi w oczy. – Nie wiem, zastanawiam się jednak, czy to ma coś wspólnego z pozostałymi...

Na te słowa prostuję się na krześle.

– Jakimi pozostałymi?

– Pozostałymi dziećmi, które mają znamię. Tymi, których szukał twój ojciec i które sprowadził do Nowego Jorku.

Gdy to słyszę, serce prawie przestaje mi bić, a po plecach przepływa dreszcz przeczucia.

– Najlepiej powiedz mi wszystko, co wiesz.

Ciotka skinieniem wyraża zgodę.

– Zaczęło się po śmierci twojej matki. Ojciec spędzał długie godziny w bibliotece – jej oczy błyszczały na to wspomnienie. – Oczywiście zawsze lubił tam przebywać, ale wtedy... stała się jego ochronieniem. Rzadko go widywaliśmy, a później zaczął dostawać dziwne listy i wyjeżdżał w dalekie podróże.

– A co to ma wspólnego z pozostałymi dziećmi?

– Pracował na podstawie listy. Listy nazwisk i miejsc.

– Nie rozumiem – kręcę głową. – Po co mu była ta lista?

– Nie wiem. Nie chciał mi powiedzieć. Ale przywiózł tu dwoje takich dzieci.

– Kogo? Kogo tu przywiózł?

– Dziewczynki. Dwie dziewczynki. Jedną z Anglii i jedną z Włoch. Ale nigdy nie chciał mi powiedzieć po co.

W jej słowach pobrzmiwa obietnica, że kiedyś to zrozumie, jednak nie jestem jeszcze gotowa, by to przyjąć. Ciotka Virginia podnosi się z krzesła i próbuje na nowo rozniecić wygasły ogień, ja zaś patrzę na żarzący się popiół i próbuję poskładać w całość to, czego się dowiedziałam. Choć było tego wiele, mroki tajemnicy stały się jeszcze gęstsze.

Lecz jedną z tajemnic można rozwikłać tu i teraz.

– Mogę zobaczyć, ciociu Virginio?

Ciotka odwraca się od paleniska. Widzę po jej spojrzeniu, że wie, o co mi chodzi. Idzie w kierunku krzesła, ponownie na nim siada i bez słowa wyciąga do mnie rękę. Odwijam mankiet jej koszuli nocnej, ale widzę tylko jasną, gładką skórę szczupłego nadgarstka. Ona nie ma znamienia.

– Tak myślałam – w ciszy tego pokoju mój głos jest bezbarwny. To głos, który nie brzmi jak mój.

– Przykro mi, Lia. Miałam nadzieję, że się nie dowiesz.

Rzeczywiście jest jej przykro. Widzę to w zmarszczkach wokół oczu, w mocnym zaciśnięciu warg. Próbuję się do niej uśmiechnąć, ale chyba nie wygląda to dobrze.

– Wszystko w porządku, ciociu Virginio. Chyba się domyślałam.

Tak, domyślałam się.

Teraz wreszcie nie muszę się bać własnej ciotki. Nie potrafię natomiast zmusić się do myślenia o tej drugiej sprawie. O tym, że moja matka pełniła rolę Bramy. Dlatego skupiam się na rzeczach, które jeszcze mogę zmienić.

– Gdzie są Klucze, ciociu Virginio?

– Jakie klucze?

Przyglądam się bacznie jej twarzy, ale nie ma w niej fałszu. Żadnych sekretów.

– Klucze wymienione w przepowiedni. W książce. Klucze do wypełnienia się proroctwa.

– Już ci mówiłam – ciotka kręci głową. – Twój ojciec był bardzo skryty. Niestety nigdy nie widziałam tej książki.

– Więc jak wypełniałaś rolę Strażniczki, nie znając proroctwa?

– Uczyła mnie ciotka Abigail, która sama była Strażniczką. – Ciotka spuszcza wzrok na swoje dłonie, które trzyma na kolanach, a potem znowu patrzy na mnie. – A teraz moim zadaniem jest

nauczyć Alice, jak pełnić rolę Strażniczki. Prawdę mówiąc, nauka już powinna się była rozpocząć. Jednak muszę przyznać, że do tej pory nie zrobiłam nic.

– Dlaczego? – dziwię się.

– Chciałabym odpowiedzieć, że nie wiem, ale to byłoby kłamstwo – wzdycha. – Miałam nadzieję, że się mylę i że to ty jesteś Strażniczką, a Alice Bramą. Ani nie potrafię wyobrazić sobie, że przygotowuję Alice do tej roli, ani że ona ją wypełnia.

– Ale... jeśli ją nauczysz... jeśli nauczysz ją, jak być dobrą Strażniczką...

– Musisz coś zrozumieć, Lia – ciotka nie pozwala mi skończyć. – Nawet ci, którzy pełnią zadania związane z prorocstwem, mają różną moc. Strażniczka może pełnić swoją funkcję dzięki chęci przyjęcia jej na siebie oraz dzięki swojej wrodzonej sile. Większość z nich pragnie wywiązać się ze swoich obowiązków, lecz nie wszystkie. A poza tym, niektóre mają nadzwyczajną wrodzoną siłę, inne natomiast... mniejszą. Szkoda, że ja zaliczam się do tych drugich. Twoja matka była o wiele silniejsza. Była przecież Zaklinaczką, podczas gdy moja moc pozwala mi na niewiele poza podróżowaniem po Równinie.

Zaczynam rozumieć, chociaż nie podoba mi się to, do czego prowadzi moja wiedza.

– Czyli nie ma gwarancji, że Strażniczka powstrzyma Dusze?

– Zadanie Alice byłoby i tak trudne, nawet gdyby chętnie się go podjęła, ale stanie się niewykonalne, jeżeli nie zechce odegrać swojej roli. Strażniczka po prostu nadzoruje, czy, jak wolisz, pilnuje. Jej obowiązkiem jest strzec siostry, której przypadła rola Bramy, i wykorzystać wszelkie swoje siły, aby powstrzymać Dusze przed wtargnięciem do naszego świata oraz błagać siostrę, żeby opierała się roli Bramy... Jednak stuprocentowej gwarancji nie ma. Przez wieki setki, a może tysiące Dusz zdołały się tu przedostać. Nikt nie potrafi jednoznacznie stwierdzić, ile z nich zebrało się, by czekać na Samaela, staramy się jednak w miarę możliwości ograniczyć ich liczbę. Jeśli miałyby nastać Sądny Dzień Bogów, musimy być pewni, że po stronie Samaela walczy jak najmniej Dusz. – Ciotka wzrusza ramionami. – To wszystko, co możemy zrobić. W zasadzie nie wiem, czego się spodziewałam. Ale nie tego.

Chyba miałam nadzieję, że jest jakaś pewna odpowiedź, jakaś informacja w posiadaniu ciotki Virginii, która pomogłaby mi w walce z Duszami i w znalezieniu Kluczy. Jednak nie będzie tak łatwo. Nie będzie szybkiego, prostego rozwiązania dla przepowiedni, która steruje moim życiem, prowadząc mnie w coraz głębszy mrok.

* * *

W mojej sypialni jest zimno, bo ogień przygasł i daje tylko nikły, pomarańczowy blask. Nie mam pojęcia, która jest godzina; z pewnością jest na tyle późno, że powinnam już spać. Ale nie mogę przestać myśleć o tym, czego się dowiedziałam; żarna umysłu obracają się cały czas. Pozwalam im kręcić się w ciemności.

Nie jestem Strażniczką, lecz Bramą. Czy to przeznaczenie, czy przypadek, muszę przyjąć tę rolę i znaleźć wyjście, by uniknąć złowrogiego zakończenia.

Skoro ja jestem Bramą, Alice jest Strażniczką.

Potrząsam przecząco głową, sama w pustym pokoju, bo nawet teraz chcę protestować, chcę krzyknąć: To niemożliwe! A jednak wiem, że tak być musi.

Jeżeli jestem Bramą, czyż nie powinnam obawiać się, że znajdę Klucze jeszcze bardziej niż tego, że znajdzie je Alice? Może to ja mogłabym wykorzystać je w złym, a nie w dobrym celu.

Takie myśli odsuwam od siebie. Znam swoje intencje i chociaż muszę przyznać, że czułam dziwne upodobanie do podróży po Równinie i do medalionu, który mnie odnalazł, nie mam zamiaru robić nic złego. To wiem na pewno, tak jak wiem, że oddycham.

Wiedząc to, zdaję sobie także sprawę, że Alice nie zamierza czynić dobra, bez względu na to, co wyznacza nam przepowiednia i jakie nadaje nam rolę.

Moje myśli nawet mnie samej wydają się pełne rozpacz; staram się znaleźć pocieszenie w półprawdach i pustych zapewnieniach. Jest jednak za dużo rzeczy, których nadal nie rozumiem.

Przepowiednia jest zbyt długa i zawiła, żeby się nimi zająć. Będę więc trzymać się tego, co rozumiem.

Po śmierci matki mój ojciec zaczął czegoś szukać i stworzył listę dzieci. Przywoził je tutaj.

Jedną z Anglii i jedną z Włoch.

To Sonia i Luisa.

Nie mam na to żadnych dowodów. Nigdy nie pytałam o okoliczności, które sprowadziły Sonię do pani Millburn. Nie było na to czasu. Ale założyłam się, że Sonia jest z Anglii.

Dlaczego ojciec je tu ściągnął? Dlaczego postawił je na mojej drodze? Bo przecież wydaje się, że zrobił to dla mnie, choć nie mam pojęcia, w jakim celu.

Wreszcie nadchodzi sen. Wyciągam rękę, żeby zgasić lampkę, ale najpierw przekręcam klucz. Czuję obecność medalionu w szufladzie mojej szafki nocnej. Tętni życiem żywej istoty, wysyłając bezgłośny, odwieczny sygnał przeznaczony właśnie dla mnie. Jakaś część mnie uważa, że medalion należy do mnie i że jego miejsce jest na mojej ręce. Jednak inna, ta myśląca część uważa, że nieroztropnie byłoby nosić go, zanim się nie dowiem, jaką pełni funkcję.

Zaskakuje mnie to, że rezygnacja z sięgnięcia po medalion wymaga ode mnie tak wielkiego wysiłku. Gaszę lampę i natychmiast mój plan pozostawienia go w szafce zostaje nieomal zniweczony przez pragnienie, a raczej przymus założenia go, tak aby ciepła skóra nadgarstka poczuła jego pieszczotę. Przez jedną dziwną chwilę nie potrafię przypomnieć sobie, dlaczego właściwie nie powinnam go zakładać.

Potem jednak w jakiejś ciemnej niszy znajduję na tyle światła, żeby zawrócić z tej drogi. Odwracam się plecami do szafki i całą siłą woli zasypiam.

Moje sny są niezmiennie. Jestem w nich i ponad nimi, patrząc, co się w nich dzieje. Są takie momenty, kiedy jestem świadoma poczucia, że lecę, jakbym odbywała jedną z moich podróży. Innym razem wiem, nawet w tym nieobecny stanie snu, że to tylko senne marzenie.

Widzę nieme obrazy przedstawiające grób mojej matki i czarną ziemię przy tablicy nagrobnej. Obrazy urwiska, z którego spadła, obrazy ojca i jego udręczonej, przerażonej twarzy, gdy znaleźliśmy go w Ciemnym Pokoju. W moim śnie ścigają mnie olbrzymie skrzydlate demony, ale tym razem ich armią dowodzi jeszcze bardziej straszliwa istota. Jej serce bije w rytmie mojego, nie pozwalając mi racjonalnie myśleć. Ona zbliża się do mnie z tętentem tysiąca kopyt.

Głośno, głośniej, coraz głośniej.

A potem spadam w ciemną pustkę bez końca. Najpierw wydaje mi się, że to syk mrocznej istoty z mojego snu sprawił, że gwałtownie siadam na łóżku, ciężko i szybko oddychając, i że serce wali mi w piersi jak szalone. Ale szybko okazuje się, że w nogach łóżka siedzi Ari, sycząc na mnie ze strachu czy złości. Przygląda mi się uważnie, odsłaniając zęby i wyginając grzbiet w kabłąk.

A potem dzieje się coś bardzo dziwnego.

Ari odwraca się, zeskakuje z łóżka i z namysłem podąża do kąta pokoju, gdzie siada tyłem do mnie i gapi się w ścianę, jakby nie zauważał mojej obecności. Nie mogę odwrócić oczu od jego cienia, który upiorną smugą kładzie się na ścianie, choć Ari to tylko kot, którego kocham od wielu lat.

Przez okna nie wpada ani trochę światła i przez chwilę sędzę, że nadal jest noc. Potem jednak słyszę głosy służby. Przypominam sobie, że mamy prawie zimę i że kiedy budzimy się, jest jeszcze ciemno.

Wszystko to przepływa przeze mnie w kilka sekund – mrok, niezwykle zachowanie kota, odgłosy powoli budzącego się domu.

Chwilę później czuję jakiś ciężar na przegubie ręki. Jest zbyt ciemno bym mogła zobaczyć, co to jest, sięgam więc drugą ręką, żeby dotknąć i upewnić się. Nawet to nie wystarcza, aby uwierzyć, dlatego szukam po omacku zapalek i niezgrabnie zapalam lampkę przy łóżku. Wreszcie rozbłyska światło, ukazując medalion na moim nadgarstku.

Rozdział XIII

Połowę przedpołudnia spędzam, usiłując niepostrzeżenie wymknąć się z domu z medalionem.

Wydaje mi się, że Alice jest jeszcze bardziej czujna niż zazwyczaj, kiedy tak jemy śniadanie i czytamy, chociaż powtarzam sobie, że przecież nie może wiedzieć, co mam zamiar uczynić. Jednak nie wychodzę, dopóki ona nie udaje się do swojego pokoju, by odrobić zaległe ćwiczenia z francuskiego na zajęcia w Wycliffe.

Wiatr jest tak zimny, że zapiera mi dech, ale to mnie nie zniechęca. Jestem całkowicie pochłonięta czekającym mnie zadaniem. Zapominając o chłdzie, okrążam dom i ruszam w stronę rzeki. Staram się iść tak prędko, jak tylko pozwala mi suknia, a gdy przyspieszam kroku, sznurowana sakiewka w mojej ręce coraz szybciej. Nie czuję już zimna. W zasadzie nic nie czuję i nie słyszę. Stawiam stopę za stopą, a wszystko trwa w takiej ciszy i bezruchu, jakby świat wiedział co planuję.

Kiedy dochodzę do brzegu rzeki, sięgam po sakiewkę i dotykam szukam medalionu. Na poły chcę, żeby go tam nie było, żeby zniknął, dbając o własne bezpieczeństwo, jak gdyby miał swoje własne pragnienia. Ale to przecież tylko przedmiot, leży więc w sakiewce, do której włożyłam go przed śniadaniem.

A ja chciałabym tylko pozbyć się go.

Unoszę w górę rękę, wahając się przez sekundę, a potem ciskam go z całej siły do rzeki. W miejscu, gdzie wpada do wody pojawia się mały obłoczek pary. Kroczę tuż nad brzegiem, starając się nie spaść.

Medalion tam jest, płynie z prądem, porywany gniewnymi wirami, a czarna aksamitka wije się jak wąż wokół złotego dysku, który połyskuje w wodzie, mimo że przez chmury nie przebija nawet promień słońca.

Przez pewien czas zostaję nad rzeką, żeby zebrać myśli. Nie wiem, jaką rolę odgrywa medalion w przepowiedni, ale czuję na pewno, że ma coś wspólnego z Duszami i ich nadejściem. Teraz jest tylko przedmiotem w zimnych, nieposkromionych wodach rzeki. Pójdzie na dno i będzie leżał pomiędzy kamieniami. Modłę się do Boga, o którego obecności myślę tak rzadko, by medalionu nikt nigdy więcej nic zobaczył.

Siedzę na brzegu na kupce suchych liści, opierając się o głaz, przy którym widuję się z Jamesem. Wspomnienie tych chwil budzi we mnie dwuznaczne uczucia. To jasne, że James wcale nie wierzy w przepowiednię, dla niego to jedynie legenda. Z pewnością moja rola jako Bramy, dopiero niedawno ujawniona, byłaby trudna do zaakceptowania nawet dla człowieka obdarzonego bardzo bujną wyobraźnią, a co dopiero tak racjonalnego jak James.

Usiłuję wyobrazić sobie jego reakcję, zakładając, że zebrałabym się na odwagę, żeby mu powiedzieć. Powtarzam sobie, że jesteśmy więcej niż narzeczonymi. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Będąc pewną jego miłości, czuję jednocześnie głęboki niepokój. Cichy głosik pyta mnie szeptem: *A jeśli on cię nie zechce? Jeśli nie będzie chciał ożenić się z tak dziwną osobą, która odgrywa tak dziwną rolę w tak dziwnej opowieści? Będzie mówił, że jego miłość jest szczera, ale już nigdy nie będzie patrzył na ciebie z takim samym uczuciem i taką samą ufnością.* Kręcę przecząco głową, sama przed sobą.

– Czemu kręcisz głową, skoro siedzisz tu bez towarzystwa? – głos Jamesa zaskakuje mnie tak bardzo, że przyciskam rękę do serca.

– Och! Co tutaj robisz? Jest niedziela!

James pojawia się tak nagle, jakbym przywołała go myślą; stojąc na kamieniu, opiera się o drzewo. Przekrzywia głowę, na ustach gra mu psotny uśmiech.

– Czy nie mogę sobie przychodzić dla samej przyjemności?

Jestem rozdarta pomiędzy pragnieniem spotkania się z nim s narastającą trudnością ukrywania tak wielu sekretów.

– Tak... pewnie. Oczywiście. Po prostu nie spodziewałam się ciebie.

Podchodzi do mnie, ściółka chrzęści mu pod butami.

– Ojciec nie potrzebował powozu, a ja nie chciałem czekać do jutra, żeby się z tobą zobaczyć. Miałem nadzieję, że znajdę cię tutaj – podaje mi rękę, a ja ujmuję ją, pozwalając, by przyciągnął mnie blisko do siebie. Kiedy odzywa się ponownie, jego głos jest niski i schrypnięty – Dzień dobry.

Peszy mnie uwaga, z jaką James przygląda się mojej twarzy, mimo że z pewnością patrzył tak na mnie już z tysiąc razy.

– Dzień dobry – schylam głowę, aby uniknąć jego spojrzenia, i oddalam się na krok od ciepła jego ciała. – Jak się czuje twój ojciec?

To głupie pytanie. Oczywiście pan Douglas ma się dobrze, w przeciwnym razie Jamesa nie byłoby tu ze mną. Zyskuję jednak czas i odsuwam się trochę, tak by jednocześnie uniknąć wrażenia, że traktuję go z rezerwą.

Ale James zna mnie zbyt dobrze. Ignoruje moje pytanie i dwoma długimi krokami pokonuje dzielącą nas odległość.

– O co chodzi? Co jest nie tak? – bierze mnie za rękę i czuję, że znów przygląda się mojej twarzy, podczas gdy ja wpatruję się w spienioną wodę. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Właśnie teraz. Teraz powinnaś mu powiedzieć. Powiedz mu wszystko. Zaufaj jego miłości. W moim sercu gwiżdże uparcie ten sam wiatr, ale nie zwracam uwagi na jego głos, choć rozum oskarża mnie o głupotę.

– Oczywiście, cieszę się – uśmiecham się szeroko, żeby ten uśmiech wydawał się jak najbardziej promienny i bez troski. – Po prostu niezbyt dobrze się dzisiaj czuje, to wszystko. Może po południu powinnam posiedzieć u siebie w pokoju.

James jest rozczarowany, że nie spędzę z nim całego dnia, choć on przebył dla mnie tak długą drogę.

– W porządku. Odprowadzę cię więc do domu i wezmę powóz od Edmunda. – Próbuje pokryć zranione uczucie uśmiechem, na który każdy dałby się nabrać — każdy kto nie zna go równie dobrze jak ja.

* * *

Żegnam się z Jamesem na dziedzińcu; wróciliśmy znad rzeki, zmuszając się po drodze do rozmowy. Odchodząc, nie chce puścić mojej dłoni, jakby starał się nie wypuszczać mnie z rąk. Patrzę, jak jego powóz znika za zakrętem na podjeździe, i kieruję się w stronę domu.

Kiedy wchodzę po kamiennych schodach prowadzących do frontowego wejścia, zza pleców dobiega cichy głosik.

– Panienko, coś panienka zgubiła.

To ta mała dziewczynka z miasta, ta, która oddała mi grzebyk z bransoletką. Ma na sobie tę samą, błękitną jak niebo sukienką, a jasne jak len loki opadają jej na ramiona.

Rozglądam się wokół w niemym zdumieniu, bo niepodobieństwem jest pojawienie się dziecka tutaj, tak daleko od miasta. Nie widać nikogo dorosłego, żadnego powozu ani konia. Schodzę do dziewczynki po schodach, podejrzliwie mrużąc oczy. Przecież to ona dała mi wtedy medalion, chociaż ma tak niewinną buzię.

– Niczego nie zgubiłam. A ty jak się nazywasz? Skąd się tutaj wzięłaś?

Mała ignoruje pytania i zdecydowanie wysuwa ku mnie rączkę zaciśniętą w pięść.

– Jestem pewna, że to należy do panienki. A ja przyszłam z bardzo daleka.

Jej dłoń zbliża się do mojej tak szybko, że odruchowo przyjmuję to, co dziewczynka mi wręcza. Potem odwraca się i biegnie ocienionym drzewami podjazdem, nucąc tę samą melodię, która snuła się za nią w mieście.

Dopiero wtedy czuję wodę. Leje się strumieniem z mojej dłoni. Ledwie opanowuję drżenie ręki, kiedy otwieram ją, aby zobaczyć, co wręczyła mi mała.

To niemożliwe.

Na mojej dłoni leży medalion, a czarna aksamitka jest jeszcze czarniejsza, bo cała wilgotna. Woda przecieka mi przez palce i skapuje na kamienne schody. Aksamitka nie jest po prostu mokra. Woda leje się z niej, jak gdyby medalion wyłowiono z rzeki dopiero w tej chwili.

Musze zatrzymać tę dziewczynkę.

Dziewczynka, dziewczynka, dziewczynka.

Zbiegam po schodach, ściskając w dłoni znienawidzony przedmiot, którego nie chcę. Biegnę dalej, dość daleko, cienistą dróżką prowadzącą do głównej drogi. Poruszam się pod baldachimem rosnących po obu stronach drzew. Potem zatrzymuję się na znacznie dłużej, niż nakazywałby rozsądek, patrząc w stronę, gdzie uciekło dziecko, a w drzewach nade mną słyszę przedziwny szept wiatru. Mój wysiłek na nic. Dziewczynka zniknęła; przeczuwałam zresztą, że jej tu nie będzie.

* * *

– Czy bardzo zimno na dworze? – pyta Henry kiedy wchodzę do domu, rozcierając zziębnięte dłonie. Gra z ciotką Virginią w karty; a w kominku strzela ogień.

— Dosyć chłodno. Chyba nikt z nas już do wiosny nie będzie spędzać zbyt wiele czasu nad rzeką. – Wieszam płaszcz i odwracam się do nich z uśmiechem, który – mam nadzieję – maskuje moje zmieszanie. – Kto wygrywa?

– Oczywiście ja! – triumfalnie wykrzykuje Henry.

– Oczywiście? O ty mała bestyjko! – droczy się z nim ciotka. Spogląda na mnie. – Chcesz się do nas przyłączyć, Lia?

– Raczej nie teraz. Strasznie zmarzłam. Chyba przebiorę się w jakieś ciepłe rzeczy. Może po obiedzie?

Ciotka Virginia z roztargnieniem kiwa głową. Rozglądam się po salonie.

– A gdzie jest Alice?

– Poszła do siebie odpocząć – mamrocze ciotka, patrząc w wielkim skupieniu na swoje karty

Idę do sypialni, żeby wziąć pled, a w moim sercu narasta niepokój. Pojmuję dlaczego, kiedy po wejściu do środka dostrzegam schyloną postać, przeszukującą górną szufladę toaletki.

– Może pomóc ci w poszukiwaniach? – ten zimny głos brzmi tak obco w moich ustach.

Alice gwałtownie się odwraca. Wpatruje się we mnie. Jej twarz jest martwa jak maska. Rozważnie układa słowa, które wypowiada, swobodnie zbliżając się do mnie.

– Nie, dziękuję. Szukałam broszki, którą pożyczyłam ci w lecie – zatrzymuje się tuż przede mną, ale nie może wyjść z pokoju, ponieważ stoję w drzwiach.

– Oddałam ci ją, Alice. Zanim jesienią poszłyśmy do szkoły.

Jej uśmiech jest zdawkowy i cierpki.

– Rzeczywiście. Zapomniałam. – Alice wskazuje głową na drzwi. – Chciałabym przejść.

Odczekuje moment, upajając się jej zakłopotaniem, bo przynajmniej ten jeden raz to ona kuli się pod moim spojrzeniem. W końcu odsuwam się, bez słowa pozwalając jej wyjść.

Pół godziny później siedzę przy biurku w swoim pokoju. Chroniąc się przed chłodem, okrywam się pledem i rozważam zamiary Alice.

Książka nadal jest w szafie, gdzie ostatnio ją schowałam. Nie była aż tak dobrze ukryta, żeby Alice nie mogła jej znaleźć, starannie szukając. Mogę więc przypuszczać, że albo nie miała czasu, by przeszukać szafę, albo odkryła książkę, ale uznała ją za niepotrzebną.

Medalion pozostał przy mnie, choć tak bardzo starałam się go pozbyć. Teraz jest już jasne, że nie będę mogła łatwo się od niego uwolnić. Zważając na to, co pewnie Alice wie, jest raczej mało prawdopodobne, by nie zdawała sobie z tego sprawy – o ile ma pojecie o istnieniu medalionu.

Lecz jeśli nie szukała książki ani nie szukała medalionu, to czego?

* * *

Pochyliłam się nad książką, która leży otwarta przede mną na biurku. Treść proroctwa jest tak znajoma, że mogę wyrecytować ją z pamięci, a jednak zastanawiam się, czy jeżeli przeczytam je ponownie, to będę bliżej tego, czego nie rozumiem. Słyszę głos ojca tak wyraźnie, jakby siedział tuż obok i wypowiadał zdanie, które powtarzał bardzo często.

Czasami drzewa przysłaniają nam las.

Takie głupie powiedzenie – po prostu banał. Ale sprawia, że staram się otworzyć swój umysł i kolejny raz przejrzeć przepowiednię tak, jakbym czytała ją, po raz pierwszy.

Na początku widzę to, co pamiętam. Dopiero, gdy docieram do wzmianki o kluczach, pewne odkrycie zapiera mi dech w gardle.

Klucze. Alice sądzi, że ja mam Klucze.

Myśl, że szuka Kluczy jest dla mnie przedziwną pociechą, ponieważ oznacza to, iż jeszcze ich nie znalazła. Zatem ciągle mam czas i mogę znaleźć je pierwsza.

Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, odrywając mnie od tych rozważań. Odwracam się i widzę Ivy, która niesie mi coś na tacy

– Bardzo proszę, panienko. W taki zimny dzień jak dziś nie ma nic lepszego niż filiżanka gorącej herbaty – kładzie tace na biurku, stając niezgrabnie u mojego boku.

Przez chwilę nie rozumiem, dlaczego nieproszona przyniosła mi herbatę do pokoju i dlaczego stoi przy moim krześle, jak gdyby czekając na ciąg dalszy. Ale potem zauważam skrawek papieru wetknięty między spodek a filiżankę.

– Co to jest? – spoglądam na Ivy.

Przestępuje z nogi na nogę, miętoląc w dłoniach fartuch i unikając mojego wzroku.

– To... wiadomość dla panienki. Z miasta.

Jestem tak zdziwiona, że nie robie tej najprostszej, najbardziej oczywistej rzeczy – nie biorę skrawka papieru i nie sprawdzam, co to za wiadomość. Pytam tylko:

– Wiadomość? Od kogo?

Ivy pochyła się, rozglądając dookoła, jakby ktoś mógł nas podsłuchać. Oczy jej błyszczą i wygląda na to, że lubi takie tajemnice.

– Od mojej znajomej. Jest służącą w domu tej dziewczyny. Tej dziwnej.

* * *

Ciotka Virginia naradza się z kucharzem i Margaret – planują obiad na Święto Dziękczynienia w przyszłym tygodniu, Henry natomiast odbywa popołudniową drzemkę. To dobry moment, żeby wymknąć się z domu. W związku z wiadomością otrzymaną od Soni.

W powozowni jest Edmund, który pilnuje jednego z młodszych służących czyszczącego powóz. Chłopak mnie nie zauważa, ale Edmund podnosi wzrok, kiedy wchodzę.

– Panna Amalia! Czy coś się stało?

Ostatni raz byłam w powozowni jako mała dziewczynka, gdy razem z Alice bawiłyśmy się tam w chowanego. Podchodzę bliżej i odwracam się tyłem do chłopca.

– Edmundzie, muszę jechać do miasta. Sama. Nic ośmieliłabym się prosić, ale to... to ważne.

Edmund patrzy mi prosto w oczy i przez jedną straszną chwilę boję się, że odmówi. Że będę musiała przypomnieć mu, iż ciotka Virginia jest tylko naszą opiekunką, Alice, Henry i ja jesteśmy zaś właścicielami Birchwood. Na szczęście Edmund oszczędza mi takiego upokorzenia i nie muszę urządzać mu scen.

– Dobrze. Weźmiemy drugi powóz. Stoi za stajnią. – Odwraca się i wychodzi, mrużąc pod nosem. – Ciotka Virginia zażąda mojej głowy na tacy.

Rozdział XIV

Patrzę na karteluszek, który Ivy przyniosła mi wraz z herbatą. Nie wiem, co zamierza Sonia, ale muszę odwzajemnić zaufanie, jakim mnie obdarzyła. Jej pismo jest wyraźne i staranne jak pismo dziecka.

Najdroższa Amalia,

Znalazłam osobę, która może pomóc nam w podróży. Proszę, zaufaj mi i przyjdź do domu nr 778 przy York Street o pierwszej po południu.

SS

Podalam już adres Edmundowi, a sądząc po jego prychnięciu, nie udajemy się do dzielnicy, którą uważa za odpowiednią. Niemniej jednak nie pyta mnie o nic więcej. Chciałabym ucałować go za wierność i lojalność.

Powóz toczy się w stronę miasta, mocno podskakując i kolebiąc się na zatłoczonej drodze. Od pogrzebu ojca, czyli od dziewięciu dni, nie mieliśmy większego deszczu. Myślę, że tak właśnie powinno być – jakby Bóg słusznie wyplakał wszystkie swoje łzy po jego śmierci. Ten brak deszczu wywołuje burzliwe dyskusje pomiędzy służbą. Cmokają i kręcą głowami, spierając się o to, czy oznacza on szczególnie mroźną, czy też wyjątkowo łagodną zimę.

Znajome dzielnice miasta przemierzamy w okamgnieniu. Mijamy Wycliffe, księgarnie, znane gospody i restauracje, cukiernie, dom Soni. Po chwili Edmund skręca w cichy zaułek skryty na tyłach czystych, ruchliwych ulic.

W zaułku jest ciemno, bo ze wszystkich stron otaczają go kamienice czynszowe, w których mieszkają ci bardziej doświadczeni przez los. Przez okienko powozu widzę pranie suszące się na sznurkach rozciągniętych ponad zaśmieconą uliczką. Powóz coraz bardziej podskakuje, a ziemia jest chyba jeszcze bardziej spieczona, jakby nawet woda nie chciała się tu na dłużej zatrzymać. Zaczynam mieć nudności, ale wtedy Edmund zatrzymuje konie cichym „Prr!”.

Wyglądam przez okienko i za nic nie mogę domyślić się, dlaczego Sonia poprosiła mnie o spotkanie w takim miejscu. Edmund już stoi przy drzwiczkach i otwiera je na oścież, nim zdążę zastanowić się nad celowością swojego przyjazdu.

– Czy panienka jest pewna, że właśnie tu chce się zatrzymać?

Wysiadam z powozu z pragnieniem doprowadzenia swojej misji do końca. Taka wyprawa nie jest dla tchórzy

– Tak, jestem całkowicie pewna, Edmundzie.

Edmund stoi, trzymając w ręku kapelusz. Czekamy na Sonię. W uliczce bawi się dwóch chłopców kopiąc duży kamień. Hałasują, ale ich radosny śmiech jest o niebo lepszy niż cisza opustoszałej ulicy

– Który to dom? – pytam Edmunda.

– Tamten – wskazuje mi wąskie drzwi kilka kroków od powozu.

Zaczynam się zastanawiać, czy przyjazd tu był błędem, ale w tym momencie zza rogu wypada Sonia, zdyszana i zarumieniona.

– Mój Boże! Przepraszam za spóźnienie! Tak trudno umknąć spod oka pani Millburn! Umawia mnie na tyle seansów że ledwie mam czas odetchnąć!

– Nic nie szkodzi, Soniu, ale... właściwie po co tu jesteśmy?

Sonia na chwilę przystaje, przyciskając ręką do piersi i próbuje złapać oddech.

– Pytałam tu i tam, oczywiście ostrożnie, i znalazłam kogoś, kto być może coś wie... – patrzy podejrzliwie na Edmunda – na temat spraw, które omawialiśmy.

Edmund nic wygląda na zadowolonego.

– Rozumiem – kiwam głową.

Sonia bierze mnie za rękę i prowadzi do ciemnego przedsionku.

– Myślałam i myślałam o tej przepowiedni, ale rozumiem ją nie lepiej niż wtedy, gdy po raz pierwszy pokazałaś mi książkę. Wpadłam na pomysł, że przydałaby się nam pomoc. Nie było łatwo znaleźć odpowiednią osobę. Ale jeśli ktokolwiek zdoła nam coś poradzić, to na pewno Madame Berrier.

Samo nazwisko brzmi tajemniczo, ale Sonia prowadzi mnie w stronę zupełnie zwyczajnych drzwi. Unosi rękę i puka, a chwilę później otwiera szykowna, modnie ubrana kobieta.

– Dzień dobry. Proszę, wejdźcie.

Kobieta najwyraźniej jest Francuzką, ale w jej akcencie jest inna, egzotyczna nuta, której Nie potrafię dokładnie określić. Wprowadza nas do ciasnego korytarza. Jej wzrok wędruje gdzieś ponad moją głowę i dopiero kiedy podążam za jej spojrzeniem, zdaję sobie sprawę z tego, że Edmund nie został przy powozie. Jej oczy obserwują go uważnie, z zainteresowaniem zatrzymując się na silnych rysach jego twarzy

– Edmundzie, czy mógłbyś zaczekać tutaj, gdy my porozmawiamy na osobności? – zwracam się do niego.

Edmund poważnie się nad tym zastanawia, pocierając szorstką, nieogoloną szczękę.

– Będziemy tutaj, w tym mieszkaniu.

Przytakuje prawie niedostrzegalnie, a potem składa swoją dużą postać na małej ławeczce przy ścianie.

– Proszę za mną – Madame Berrier prowadzi nas dalej wąskim korytarzem z drzwiami po obydwu stronach.

— Dziękujemy Madame, że zgodziła się pani spotkać z nami w tak krótkim terminie. Wiem, że jest pani bardzo zajęta – głos Soni odbija się echem w mrocznym, ledwie oświetlonym korytarzu. Idąc, wyjaśnia mi: – Madame Barrier jest jedną z najbardziej rozchwytywanych spirytystek w Nowym Jorku. Niektórzy goście pokonują setki mil, by powróżyła im z ręki.

Uśmiecham się, jakbym od zawsze miała przyjaciółkę, która jest spirytystką, jakbym była przyzwyczajona do spotkań w zaułkach miasta, gdzie mieszkają osoby obdarzone ciemną, nieznaną mocą.

Głos Madame Berrier jest przytłumiony ponieważ mówi, idąc przed nami.

– Serdecznie witam panienkę. Moja droga, ty sama masz wielki talent i siłę. Powinnyśmy sobie pomagać, prawda? Poza tym nieczęsto mam okazje porozmawiać o prorocत्वie sióstr.

– *Prorocत्वie sióstr?* – mamroczę do Soni, podczas gdy Madame Berrier wprowadza nas do eleganckiego apartamentu, który kontrastuje z nędznie utrzymanym korytarzem.

Sonia wzrusza ramionami, podążając za naszą przewodniczką do starannie urządzonego salonu.

– Usiądźcie – Madame Berrier wskazuje nam czerwoną, aksamitną sofę, a sama siada w rzeźbionym krześle naprzeciwko. Pomiędzy nami ustawiony jest mały drewniany stolik; jego blat błyszczy jak dobrze wypolerowane jabłko. Na nim stoi srebrny dzbanek, delikatne porcelanowe

filiżanki na spodeczkach i niewielki talerzyk z herbatnikami. – Może macie ochotę na kawę? Albo na herbatę, zgodnie z angielską tradycją?

– Poproszę o kawę – mój głos brzmi pewniej niż mogłabym się tego spodziewać, zważając na okoliczności. Kobieta odpowiada skinieniem głowy i sięga po dzbanek z jakby aprobusującym uśmiechem.

– Czy panience też nalać? – pyta Sonię.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. Czasem przeszkadza mi się skupić podczas seansów.

Madame Berrier przytakuje, stawiając dzbanek na srebrnej tacy

– Tak, kawa i herbata wywoływały u mnie taki sam skutek, kiedy byłam młodsza i bardziej wrażliwa na bodźce zewnętrzne. Założę się, kochana, że te rzeczy będą przeszkadzać ci coraz mniej im bardziej będziesz pewna swojej mocy.

Sonia kiwa głową i widzę, że waha się, jak powiedzieć to, co ma do powiedzenia. Madame Barrier wybawia ją z kłopotu.

– Sonia mówiła mi, panno Milthorpe, że znalazła się pani... w niezwyklej sytuacji.

Nie od razu odpowiadam; nie czuję się pewnie, mając zwierzyć się obcej osobie z rzeczy, które usilnie starałam się zachować w tajemnicy. W końcu jednak potwierdzam – jaki bowiem jest sens szukania odpowiedzi, jeżeli nie będę rozmawiać z osobami, które mogą ją znać?

– Mogę obejrzeć dłoń panienki? – Madame Berrier wyciąga swoją tak zdecydowanie, że nie wydaje się, bym miała inny wybór. Podaję jej rękę ponad kawą i cukrem. Kobieta podwija rękaw mojej sukni i chłodnym spojrzeniem ocenia znamię, zanim pozwoli mi cofnąć dłoń. – Hmm... Interesujące. Bardzo interesujące. Oczywiście widywałam je wcześniej. W opowieściach związanych z prorocstwem i u tych nielicznych wybrańców, którzy odgrywają w nim jakąś rolę. Ale nigdy dokładnie takiego jak to. Jest niezwykle – przerywa – czego, naturalnie, należało się spodziewać.

Jej ostatnie słowa są dla mnie zaskoczeniem.

– Dlaczego... należało się tego spodziewać?

Madame Berrier z brzękiem odstawia filiżankę na spodek.

– Moja droga, ponieważ tak mówi prorocstwo! W prorocztwie jest taka obietnica!

Kręcę głową i czuję się jeszcze mniej pojętna niż zwykle.

– Bardzo mi przykro, Madame, ale niestety nie rozumiem.

Spirytystka przekrzywia głowę, jakby chciała przekonać się, czy mój brak zrozumienia to sprytne oszustwo, czy prymitywna wersja głupoty. W końcu pochyla się ku mnie i przemawia niskim, zdecydowanym głosem.

– Dusze są bezradne bez Samaela. Od wieków gromadzą Armię, ale proroctwo twierdzi, że nie mogą zrobić nic, by nastał Sądny Dzień Bogów bez przywództwa Samaela, czyli Bestii. I tylko jedna osoba może go zawezwać. Jedna, jedyna, która nosi niezwykle znamię swojej władzy – urywa, patrząc mi w oczy z szacunkiem, a może z odrobiną strachu. – Oczywiście tą osobą jesteś ty, moja droga. Ty jesteś Aniołem. Aniołem Chaosu.

Ta wiadomość dociera do mnie przez mgłę oszołomienia, jak pradawna pieśń, jak bicie bębnów, które czuję niby mrowienie w kościach i które potem rozlewa się po całym moim ciele. Nie dam rady mówić o tym rosnącym lęku. Tak trudno mi byle pogodzić się z rolą Bramy. Jakie zadania według proroctwa wyznacza mi ta nowa funkcja?

– Ale ja sądziłam, że Lia jest Strażniczką! Jest czy nie jest? – Głos Soni dochodzi jakby z tunelu i przypominam sobie, iż nie miałam kiedy poinformować jej o swoim odkryciu, że jestem Bramą.

Oczy Madame Berrier są pociemniałe ze zdumienia.

– *Mais non*. Nikt inny nie ma takiego znamienia, nikt! Ono oznacza, że twoja przyjaciółka jest Bramą, ale nie zwykłą Bramą, tylko Aniołem Chaosu, jedyna Brama, która ma moc zawezwać Samaela jedyna Brama, której pozostawiono wybór, by zaprosić go lub unicestwić na zawsze.

– Jednak... Lia – Sonia zwraca się do mnie, prosząc o prawdę, której najchętniej nie wyjawiałabym – czy to prawda?

Wbijam wzrok w dłonie spoczywające na moich kolanach, jak gdyby to one kryły odpowiedzi na pytanie Soni. Ale tylko ja mogę dać jej potwierdzenie, więc podnoszę oczy i przytakuję.

– Tak – wydobywam z siebie tylko szept. – Nie miałam kiedy ci powiedzieć. Ostatniej nocy dowiedziałam się, że jestem Bramą i aż do tej chwili nie wiedziałam, że jestem Aniołem Chaosu.

Madame Barrier jest przerażona i kiedy napotykam jej spojrzenie, widzę, że jej oczy zrobiły się prawie całkiem czarne, że utraciły swój kolor.

– *Nie wiedziałaś* jaką odgrywasz rolę? Czy twoja matka nie wyjaśniła ci treści przepowiedni i twoich zadań? Czyż ona sama nie wypełniała swojej roli?

Sonia odzywa się cicho tuż obok, jakby głośno myślała. Jej głos jest delikatny, pozbawiony emocji.

– Madame, jej matka zmarła, gdy Lia była małym dzieckiem. Ojciec również, i to niedawno.

Kobieta otwiera szeroko oczy, a w jej spojrzeniu kryje się współczucie.

– Ach, to wszystko tłumaczy, bo zgodnie z przepowiednią to przecież starsze i mądrzejsze siostry mają objaśniać ją swoim córkom. Więc twój ojciec niedawno odszedł? – jej głos zmienia się w niski pomruk, a Madame Berrier kieruje to pytanie bardziej do siebie niż do mnie. – A więc to tak Straciłaś swoją ochronę. Straciłaś ten wpał.

Powracają do mnie słowa z książki, unosząc się w mojej pamięci lekko jak dym. *Chroniony jest tylko cienkim woalem.*

– Woal? – głos mi się załamuje.

Madame Berrier traci nareszcie cierpliwość i podnosi ramiona w górę, jakby chciała skapitulować.

– Zajmujesz się prorocstwem, nie mając żadnej wiedzy? Jak masz walczyć, jeżeli nie znasz wroga? Jeżeli nie rozumiesz, jaką broń masz do dyspozycji? – wzdycha głęboko. – Przepowiedziano, że Anioł będzie mieć obrońcę. Ziemskiego, ale zawsze obrońcę. Poza tym ma być bezbronny zaś Samael znajdzie przez niego drogę, nim Anioł będzie na tyle dojrzały by okiełznać swą własną siłę. Nim będzie na tyle dorosły by dokonać wyboru. Lecz przecież każdy ma wybór, tak postanowiono u zarania czasu. Więc dzięki ochronie woalu osoba pełniąca rolę Bramy może dojrzeć na tyle, żeby dobrze wybrać. Tak długo, jak twój obrońca żyje, Bestia cię nie dopadnie. Kiedy zmarł twój ojciec, droga panienko?

– Około... dwóch tygodni temu.

– Czy okoliczności jego śmierci były... *niezwykłe*?

– Tak – szepcze.

Madame Berrier ociera serwetką kąciki ust.

– Jest mi ogromnie przykro. Proroctwo jest ciężarem nawet dla tych najlepiej wykształconych i najlepiej przygotowanych sióstr. Lecz dla kogoś tak zagubionego jak dla ty.. kogoś z taką rolą do spełnienia... to musi być przytłaczające brzemień. Pomogę ci, ile tylko zdołam. Zaczniemy od twojego ojca. Od jego śmierci.

Na wspomnienie ojca ściska mnie w gardle.

– Co to ma wspólnego z prorocstwem?

– Wszystko – stwierdza najprościej spirytystka. – Dusze od wieków czekają, żeby powrócić do naszego świata. Ty jesteś ich Aniołem, osobą obdarzoną taką mocą, by umożliwić im to lub skazać je

na Wieczne Wygnanie. Nic możesz popełnić błędu, bo one będą się starały dotrzeć do ciebie za Wszelką cenę.

Ta konkluzja jest tak absurdalna, że aż chce mi się śmiać. Wtedy przypominam sobie Wyraz twarzy ojca po śmierci. Otwarte oczy. Przedziwny grymas, świadczący o takim przerażeniu, że aż nieprawdopodobnym. Myślę o tych rzeczach i wypełnia mnie wszechogarniający smutek, który następnie przeradza się w coś jak złość, jak zwątpienie, które me oznacza jednak braku wiary.

Gdy spoglądam znowu na Madame Barrier, moje słowa nie układają się w pytanie, ale w stwierdzenie.

– Został zabity przez Dusze. Z mojego powodu.

Kobieta smutno kręci głową.

– Nie powinna się pani obwiniać o śmierć ojca, panno Milthorpe. Żaden obrońca nie jest zmuszony do brania na siebie tej odpowiedzialności. Skoro przyjął tę rolę, musiał bardzo cię kochać. On także dokonywał wyborów – głos Madame Berrier ma łagodność głosu matki. – To i tak cud, że nie pokonały go wcześniej. Skoro opierał im się tak długo... musiał być bardzo silnym człowiekiem, absolutnie zdecydowanym, by cię chronić.

Staram się uporządkować myśli związane z faktami dotyczącymi śmierci ojca.

– Jednak on nie podróżował po Równinie. Nigdy mi o tym nie mówił, a powiedziałby gdyby tak był.

Madame Berrier zastanawia się nad tym przez chwilę i krótko podsumowuje.

– Być może. Lecz Dusze są przebiegłe, mojec dziecko, a Samael nieskończenie bardziej. Możliwe, że Dusze zwabiły go czymś, co miało dla twojego ojca wielkie znaczenie. Czymś, co mocno ukochał.

Na te słowa w moich myślach jawi się obraz Ciemnego Pokoju. Już wiem. Wiem, jak skusiły go do podróży

– Moja matka...

Rozdział XV

Kiedy Madame Berrier zaczyna mówić, w jej głosie nie słycać zdziwienia, a pytania w zasadzie nie są pytaniami.

– Czy nie zwiodłaby go możliwość zobaczenia jej twarzy, usłyszenia jej głosu? Szczególnie gdyby martwił się o swoją córkę w związku z rolą wyznaczoną jej przez przepowiednię, o której słyszało tak niewiele osób, a w którą jeszcze mniej wierzy?

Widzę drzwi Ciemnego Pokoju, jak w dniu śmierci mojego ojca, kiedy z opustoszałych pomieszczeń w bladym świetle poranka sączył się chłód.

Ciemny Pokój. Pokój mojej matki.

Przypominam sobie, jak łatwo było mi podróżować, jak bez wysiłku mogłam rozpoczynać podróże, nieświadoma, że były czymś więcej niż tylko snem.

– On nie wiedział – mówię cicho. – Nie wiedział, że podróżuje i, że będzie bezbronny wobec duchów w Pozaświatach.

– Nietrudno jest odpowiedzieć na wezwanie duchów, mając wrażenie przyjemnego snu – zgadza się spirytystka – a Dusze miały mnóstwo powodów, żeby pochwycić duszę twojego ojca i wysłać ją na tułaczkę w Pozaświatach.

Moja następna myśl niesie ze sobą wielką falę lęku, w którym mogę zaraz zatonać.

– Czy twierdzi pani zatem, że... jego dusza znajduje się w Pustce?

Madame Berrier unosi podbródek i patrzy w sufit, jak gdyby tam, nad jej głową, mogła odnaleźć wszystkie słowa, które musi wypowiedzieć.

– Panna Sorrensen mówi, że podczas jednego z seansów otrzymała wiadomość od twojego ojca.

Na wspomnienie pierwszego, dziwnego nieporozumienia z Sonią poprawiam się niespokojnie na sofie.

– Tak, to znaczy tak mi się wydaje – odpowiadam. – Ja tej wiadomości nie słyszałam. Powtórzyła mi ją Sonia.

Madame Berrier uśmiecha się z aprobatą.

– Panna Sorrensen ma ogromny talent. Skoro ona mówi, że wiadomość przekazał twój ojciec, to prawdopodobnie tak było. Z tego płynie wniosek, że w jakiś sposób zdołał wydostać się z Pustki – wyjaśnia. – To jest możliwe. W Pozaświatach są potężne istoty, które potrafią pomóc komuś w ucieczce z Pustki, chociaż jest to niebezpieczne. Może pomogła mu twoja matka?

W moim umyśle jak smużka dymu pojawia się wspomnienie słów ciotki Virginii.

– Ciotka powiedziała mi, że moja matka była... Zaklinaczką.

– Ach tak. Może więc interweniowała, żeby mu pomóc. Jest bardzo niewielu dobrych Zaklinaczy. Osoba będąca Zaklinaczką na pewno byłaby dość silna, żeby przeprowadzić interwencję. Wprawdzie dusza twojego ojca pozostawałaby w Pozaświatach, ale miałby wybór – mógłby błąkać się tam lub przekroczyć ich granicę.

Wyobrażenie duszy mojego ojca tułającej się w Pozaświatach jest bolesne, ale cieszę się, że można było mu pomóc, by wydostał się z Pustki, szczególnie jeśli spotkał się ponownie z moją matką.

Sonia, patrząc na Madame Berrier z nieśmiałą nadzieją, zadaje pytanie, które powinnam była zadać ja:

– Madame, powiedziała pani, że można wybrać, że Lia ma jakiś wybór.

– Ależ oczywiście. Panna Milthorpe może dokonywać wyborów, tak jak wszyscy inni, choć niewątpliwie jej decyzje są nieco bardziej skomplikowane i ryzykowne. Może zdecydować, że Brama otworzy się dla Bestii lub zamknie na wieki, gdyż takie jest jej prawo jako Anioła Chaosu – kobieta przysuwa się bliżej, z lekko kpiącym uśmiechem. – Ja naturalnie mam szczerą nadzieję, że wybierze to drugie rozwiązanie.

Potrząsam głową. Trudno wyobrazić sobie, żeby ktokolwiek zdecydował się wpuścić Bestię.

– To na pewno nie ulega wątpliwości! Decyduję się zamknąć Bramę, tak! Jednak nie wiem nic o prorocztwie, tylko je przeczytałam.

Sonia przerywa mi chrząknięciem.

– Właśnie po to przyszliśmy, Madame. Słyszałyśmy, że istnieje sposób, aby wypełniło się prorocztwo i aby zamknąć Bramę na zawsze. Chodzi o tę wzmiankę o Kluczach. My sądzymy, że to one mogą doprowadzić do zakończenia, ale nie mamy pewności, gdzie je znaleźć, gdzie w ogóle zacząć szukać.

Madame Berrier zastanawia się nad słowami Soni.

– Tak, istnieje *pogłoska* o tym, że Anioł może zamknąć Bramę na zawsze, ale ja nie znam proroctwa aż tak dobrze. Bardzo niewiele osób miało okazję rzucić okiem na ten dawny tekst, a ci, którym się to udało, na pewno odgrywają jakąś rolę w przepowiedni.

Sonia unosi brwi.

– No cóż, my znamy ten tekst, Madame. Jest w nim wzmianka o Kluczach i o czymś jeszcze, co brzmi znajomo, ale nie do końca. A mianowicie o Samhainie.

Madame Berrier zaciska wargi. Widzę, że usilnie myśli, ale kiedy zabiera głos, zamiast odpowiedzi słyszymy pytanie:

– W jakim kontekście Samhain jest wspomniany w związku z Kluczami?

Sonia oblizuje usta, próbując sobie przypomnieć.

– Coś... o pierwszym tchnieniu...

– *Zrodzone pierwszym tchnieniem Samhainu* – patrzę Madame Berrier w oczy. – Tak mówi tekst. *Cztery Znamiona, Cztery Klucze, Krąg Ognia zrodzone pierwszym tchnieniem Samhainu.*

Madame przebiera palcami po stole, ważąc słowa.

– Przejdźmy się, dobrze? Chyba wiem, gdzie znaleźć część odpowiedzi na wasze pytania.

* * *

Ulice są zatłoczone, pełne ludzi. Końskie kopyta stukają o bruk, powozy tłuką się po zakurzonych jezdniach. Edmund, czujny jak zawsze, podąża za nami w milczeniu.

Idziemy przez chwilę, a ja zastanawiam się, jaka wewnętrzna siła Madame Berrier sprawia, że tak chętnie podążamy za nią, nie pytając nawet o cel wyprawy. Kroczy tak pewnie, tak zdecydowanie, że byłoby prawie nietaktem prosić o wyjaśnienie – dajemy się więc prowadzić, czasem przyspieszając, aby nadążyć za Madame.

Dopiero kiedy mijamy krawca, modystkę, cukiernię i kilka zajazdów, skręcamy za róg i wchodzimy w cichy zaułek. Po obu stronach stoją wąskie kamieniczki, jak uważni wartownicy. Tutejsze domy nie są tak reprezentacyjne jak przy głównej ulicy miasta, ale schludne i zadbane, takie jak sama Madame Berrier. Dochodzimy do budynku, który nie wyróżnia się spośród pozostałych, ale tabliczka na drzwiach informuje, że to miejska biblioteka.

– Moja droga, ta nazwa, którą wymieniłaś, wydaje się znajoma – mówi Madame Berrier, spoglądając na Sonię – ale przy tylu tłumaczonych wersjach i tylu rozmaitych sposobach wymowy najlepiej się upewnić, bo to ważna sprawa, prawda? – Nie czeka na odpowiedź, ale miarowym krokiem wchodzi po schodach szerokim gestem otwiera drzwi.

Wchodzimy do ogromnego holu. W bibliotece jest nie tylko cicho, ale zupełnie pusto. Kiedy wchodzimy dalej, stąpając po zniszczonej marmurowej posadzce, nie widzę nikogo. Wrażenie pustki wynika nie tylko z braku żywych, oddychających istot, ale również z obecności wszystkich nieprzeczytanych stron w tak wielu książkach, które spoczywają na bibliotecznych regałach. Nigdy nie pomyślałabym, że da się stwierdzić, kiedy książki nie są czytane, ale po tylu godzinach spędzonych w ukochanej bibliotece w Birchwood wydaje mi się, że słyszę ich szept, jakby stronicę zachęcały, dopraszały się o czytelników.

Madame Berrier zatrzymuje się przy dużym biurku stojącym pośrodku głównej czytelni, obrzucając znaczącym spojrzeniem Edmunda, a potem odwraca się do mnie, pytając unosząc brwi.

– Edmundzie – biorę głęboki oddech. – Czy mógłbyś rozejrzeć się tu trochę albo poczekać, albo...

Czuję się niezręcznie, znowu prosząc go, by znalazł sobie zajęcie, ale z zachowania Madame Berrier jasno wynika, że nasza wizyta w bibliotece jest wizytą prywatną. Edmundowi chyba to nie przeszkadza. Skłoniwszy się, idzie w stronę jednego z wysokich regałów, a potem za nim znika.

Rozglądamy się po wnętrzu biblioteki w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu życia. Po obu stronach czytelni są mniejsze pomieszczenia, a na piętro prowadzą wąskie schodki.

– Może powinnyśmy... – przerywa mi odgłos ciężkich kroków dochodzący z jednej z bocznych sal.

Zbliżająca się do nas kobieta wita nas zachęcającym uśmiechem. Ale nie na długo. Kiedy dostrzega Madame Berrier, jej okrągła twarz przybiera zacięty wyraz, a usta zaciskają się w cienką kreskę.

Nasza przewodniczka natomiast promienieje.

– *Bonjour*, pani Harding! Jak się pani czuje w tak piękne popołudnie?

Madame Berrier musi dostrzegać niesmak, z jakim wita ją bibliotekarka, jednak zachowuje się tak, jakby nie przyjmowała tego do wiadomości. Wprost przeciwnie, wita się z nią jak z dawno niewidzianą przyjaciółką.

Powitanie ze strony pani Harding polega na minimalnym skinieniu głową.

– W czym mogę pomóc? – pyta, jak gdyby nigdy wcześniej nie widziała Madame Berrier, chociaż najwyraźniej miały ze sobą kontakt w przeszłości.

– Droga pani Harding – przekomarza się z nią Madame Berrier, przechylając głowę. Na jej uszminkowanych ustach błąka się żartobliwy uśmieszek. Francuzka wyciąga otwartą dłoń. – Jestem przekonana, że wie pani, dlaczego tu przyszedłam.

Twarz pani Harding przybiera jeszcze bardziej zawzięty wyraz. Bibliotekarka sięga do kieszeni, wyjmując z niej coś i kładzie na dłoni Madame. Ta szybko zaciska palce, ale udaje mi się dostrzec jakiś srebrny przedmiot i uświadamiam sobie, że to klucz.

– *Merci*, pani Harding! Oddam, kiedy skończę, tak jak zwykle! – woła Madame, odwracając się za siebie, bo już podąża w stronę tylnego wyjścia.

Sonię i mnie wrywa z zamyślenia kolejny gniewny grymas bibliotekarki, tym razem skierowany w naszą stronę. Ruszamy więc, aby dogonić Madame Berrier, która jest już w połowie korytarza prowadzącego na tyły budynku. Gdy dopędzamy ją, zdążyła otworzyć drzwi i stanąć w małym przedsionku na zewnątrz.

Sonia kręci głową ze zdumienia.

– Dokąd idziemy?

Madame macha ręką w stronę wypielęgnowanego ogrodu za biblioteką.

– Odpowiedź, jaką pragniesz otrzymać, moja droga, nie jest ukryta w starannie skatalogowanym księgozborze biblioteki, ale w tych książkach, które odrzucono i wstydliwie schowano gdzie indziej.

Na dalsze pytania nie ma czasu. Madame Berrier wychodzi z przedsionka, my też przepychamy się do wyjścia. Prowadzi nas przez pedantycznie utrzymany ogród, piękny mimo nadciągającej zimy. Wydaje mi się, że dochodzimy do końca posesji, bo natykamy się na komórkę, która – choć maleńka – jest bardziej zadbana niż następny zniszczony budynek, do którego zmierza Madame.

Bierze klucz, który dostała od pani Harding, i wkłada go do kłódki wiszącej na drzwiach. Kłódka otwiera się z trzaskiem, a Madame rozsuwa duże, skrzypiące wrota na oścież. Wchodzimy za nią do środka z oczyma skierowanymi w górę.

– Och! To... niewiarygodne! – nie potrafię ukryć zdziwienia, ale w moim głosie słychać też smutek. Ojciec płakałby pewnie, widząc piętrzące się wszędzie książki, porzucone bez ładu i składu.

– Gdzie my jesteśmy?

Strop znajduje się na wysokości trzech pięter. Nawet tu z dołu widać dziury w dachu. Zapach pleśni w budynku świadczy o tym, że nikomu nie przeszkadza deszcz dostający się do środka.

Madame Berrier stoi z wyciągniętą szyją, białą i giętką jak u łabędzia. Rozgląda się po wnętrzu z taką samą zgrozą jak my – chyba wciąż robi na niej wrażenie, mimo że wiedziała, jak wygląda.

– To dawna powozownia. Korzystano z niej, gdy biblioteka była jeszcze budynkiem mieszkalnym.

– Ale... te wszystkie książki! Dlaczego nie ma ich w katalogu i nie są trzymane tam, gdzie reszta?

– Takie pytanie zadałby mój ojciec, choć jestem pewna, że w większym gniewie.

Kobieta uśmiecha się ze smutkiem.

– To są książki, które władze miasta niechętnie widziałyby na półkach biblioteki obok... bardziej tradycyjnej oferty czytelniczej. Nie wypada ich zniszczyć, rozumiecie. To nie byłoby dobrze widziane. Ale, jak przekonaliście się, można je trzymać osobno.

Oczy Soni błyszczą w ciemnym wnętrzu powozowni.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ książki te mówią o sprawach, których ludzie nie rozumieją – wzdycha Madame Berrier. – O sprawach, które – jak wszystkie tu wiemy – są tak prawdziwe, jak świat, w którym żyjemy. To są książki o świecie duchów, o magii i jej historii, o czarnoksiężstwie... o tym, czego nie da się uporządkować, poszufladkować, że tak powiem. – Wchodzi głębiej, płosząc ptaka, który wzbija się aż pod dach, znikając nam z oczu z trzepotem skrzydeł.

To nagłe poruszenie wytrąca mnie z zadumy.

– Nie rozumiem, jak to miejsce jest związane z Kluczami, chociaż muszę przyznać, że jego widok bardzo mnie poruszył. Mój ojciec pewnie wpadłby w szal!

– Powiem więc, że zapewne bardzo lubiłabym twojego ojca, moja droga – Madame patrzy mi w oczy z uśmiechem. Gestem nakazuje nam iść dalej. – Co do twojego pytania, sądzę, że istnieje wzmianka o Samhainie w starym tekście druidów, który chyba gdzieś tu widziałam. O ile mi wiadomo, tylko ja tutaj przychodzę. Jestem pewna, że znajdę go tam, gdzie leżał przedtem.

Sonia i ja idziemy za Madame Berrier w głąb pomieszczenia, mijając sterty książek pokryte ptasimi odchodami i pleśnią. Starannie omijamy wszystkie niezidentyfikowane przedmioty i prawie wpadamy na spirytystkę, która właśnie zatrzymała się przy jakimś powykrzywianym, spaczonym regale.

– Zobaczmy... To chyba gdzieś tutaj. Może to? Nie. To nie to. Może to leżało tu – mruczy do siebie, jakby była sama, sprawdzając na różnych półkach, podczas gdy my bezradnie się przyglądamy. – Ach! Znalazłam! Popatrzmy.

Elegancka Madame trzyma otwartą książkę w jednej ręce a drugą przewraca kartki – zupełnie niezrażona brudem i beznadzieją powozowni. Posyłam Soni nerwowy uśmiech, bojąc się przerwać ten proces, któremu towarzyszy bezustanne pomrukiwanie Francuzki.

– Ach tak! Tak! Wiedziałam! Jest tutaj! Podejdźcie, dziewczęta. Zobaczmy, czy to nam pomoże. – Przybliżyłyśmy się, a wtedy Madame zaczyna czytać. – Od roku 2300 p.n.e. Ognie Beltaine'u oznaczały początek Pory Światła radosnego okresu, kiedy dni przynoszą obfitość, a nocie pożądanie i nowe życie. Pora Światła, zwana inaczej Beltaine, rozpoczyna się 1 maja i trwa pół roku, aż nadejdzie Samhain, czyli Pora Ciemności. Pora ta nastaje po zakończeniu zbiorów i Święcie Światła. Jest przepełniona smutkiem, bo na świecie królują mrok i noc. Woal oddzielający świat rzeczywisty i Pozaświaty jest wtedy najcieńszy, najbardziej przejrzysty. Samhain, to znaczy Pora Ciemności zaczyna się co roku 1 listopada – słowa odbijają się echem od ścian powozowni. Wprowadzają nas w stan powagi i przez moment stoimy w milczeniu obok siebie, nim Madame uniesie wzrok znad książki. – Czy to ma dla was jakieś znaczenie? Czy zawiera jakąś wskazówkę na temat Kluczy, których szukacie?

– Nie sędzę - zaprzeczam. – Według mnie to bez znaczenia. Absolutnie bez znaczenia. Ja...

– To data moich urodzin – szeptem wyznaje Sonia. – Tak przynajmniej twierdzi pani Millburn.

Jej wypowiedź nie wprowadza żadnego światła w mój umysł.

– O czym mówisz? Masz urodziny 1 listopada?

– Urodziłam się 1 listopada – potwierdza Sonia – w roku 1874.

Madame Berrier wygląda na równie zdziwioną jak ja.

– Czy to może być zbieg okoliczności? – pyta.

Przygryzając wargę, zastanawiam się, czy ma rację. Siadam na bardzo brudnym stołku, próbując nie zauważać kłębow kurzu, jakie się z niego unoszą. Usiłuję pokonać nadpływającą falę lęku. Uczyniwszy tak wielki wysiłek, nie dowiedzieliśmy się prawie niczego.

– Nie zamartwiaj się, Lia. Zobaczysz, dowiemy się wszystkiego – spokojny głos Soni dodaje mi otuchy. Zastanawiam się, jak to się dzieje, że ona zawsze jest nastawiona optymistycznie, podczas gdy ja w takiej chwili mam ochotę wrzasnąć i rąbnąć czymś o ścianę.

– Nadal nie wiemy, gdzie znaleźć Klucze – patrzę na nią. – A data, cóż, to ciekawe, że twoje urodziny przypadają 1 listopada, ale to nic nam nie mówi na temat Kluczy. Miałam nadzieję...

– Na co, drogie dziecko? – Madame Berrier, wciąż trzymając książkę, patrzy na mnie współczująco.

– Nie wiem. Chyba miałam nadzieję, że Samhain to jakieś miejsce, miasto czy coś takiego. Miałam nadzieję, że wskaże nam, gdzie na pewno trzeba szukać Kluczy.

Wstydzę się, że łzy pieką mnie pod powiekami. Nie są to łzy żałości, lecz frustracji, więc szybko mrugam, wdycham pełne kurzu powietrze i staram się uspokoić.

– Dobrze – mówi Sonia – ten fragment odłożymy na później, to wszystko. Wzmianka na temat Samhainu wyraźnie odnosi się do daty. Być może to okaże się ważne potem. Ale jest jeszcze dalszy fragment, prawda?

Kiwam głową, wyciągam z torebki zapiski Jamesa i wpatruję się w nie w tym nieoświetlonym pomieszczeniu.

– Tak. Zgodę. Zobaczmy... To jest tutaj. *Zrodzone pierwszym tchnieniem Samhainu w cieniu Mistycznego Kamiennego Węża w Aubur* – podnoszę wzrok na Madame Berrier, która wyciąga do mnie rękę.

– Mogę?

Waham się. Przeżywszy szok związany najpierw z odkryciem, że jestem Bramą, a potem – że na dodatek Aniołem Chaosu, zaczynam uważać, iż nikt nie jest tym, na kogo wygląda. Na pewno tak jest w przypadku Alice i mnie. I w przypadku ojca, który przez długie lata starał się mnie chronić, podczas gdy ja pozostawałam w nieświadomości. Jednak Madame Berrier próbuje nam pomóc i zaczynamy rozumieć, że trzeba poszerzyć krąg poszukiwań, jeżeli kiedykolwiek mamy znaleźć Klucze.

Wręczam jej więc zapiski.

– Może pani zdoła to zrozumieć.

Madame pochyla się nad tekstem i trzyma papier tuż przy twarzy, tak że zaczynam zastanawiać się, czy nie jest krótkowzroczna. Przez chwilę czyta skupiona ze ściągniętymi brwiami, a potem oddaje notatki, wyciągając je do mnie w mrocznej powozowni.

– Bardzo mi przykro, ale... To znaczy nie jestem pewna, brzmi znajomo, lecz tylko jako słowo; z niczym go nie kojarzę.

– To znaczy? – dopytuje się Sonia.

– *Aubur* brzmi jak angielskie słowo, albo może celtyckie. Ale nie rozpoznaję go jako nazwy miasta czy innego miejsca – drugą dłońią raz po raz dotyka ust, jakby to pomogło jej znaleźć odpowiedź, której potrzebujemy. – Muszę się trochę zastanowić – mijają nas, kierując się w stronę drzwi. – A na razie chodźmy stąd. Dużo i w wielkim skupieniu myślałyśmy nad proroctwem. W każdym razie ja chciałabym znowu wyjść do światła, oderwać się od cieni przeszłości i od tego, co dopiero ma nadejść.

Nim odejdziemy, zatrzymujemy się przed domem Madame Berrier. Lodowaty wiatr podnosi jej kapelusz, więc, aby jej nie uciekł, Madame przytrzymuje go ręką. Nim się odezwie, obrzuca baczny spojrzeniem stojącego nieopodal Edmunda.

– Jest tylko jedna rzecz, którą powinnam powiedzieć.

– O co chodzi? – przełykam niepokój, jaki zagościł w moim gardle.

– Jeżeli to, co usłyszałam, jest prawdą, wówczas najprościej będzie zabezpieczyć się przed Duszami, nie nosząc amuletu – mówi to tak spokojnie, że aż mnie zaskakuje.

– Amuletu?

Madame Berrier gestykuje dłońią, jakby z góry wiadomo było, do czego się odnosi.

– Amuletu. Bransoletki. Medalionu. Tego ze znakiem.

Moje spojrzenie przechodzi na Sonię. Specjalnie nie mówiłam jej nic o medalionie, ponieważ nie wiedziałam, jakie przepowiednia nadaje mu znaczenie.

– Medalionu? – staram się nie zdradzać emocji. – O co chodzi z tym medalionem?

– Co za pytanie! – Madame Berrier jest wstrząśnięta. – Moja droga, wiadomo, że każda Brama otrzymuje medalion, który idealnie pasuje do znamienia na jej nadgarstku. Dusze mogą powrócić tylko wtedy, gdy znak na medalionie spotka się ze znakiem znamienia. Ale w twoim przypadku... cóż, medalion jest jeszcze bardziej niebezpieczny. Możesz być bowiem Bramą dla Samaela. Jakąś nikłą ochronę daje ci unikanie medalionu i niezakładanie go, choć to może nie wystarczyć.

Jej słowa nie są aż takim zaskoczeniem, jak powinny być. Instyktownie wiedziałam, że medalion w jakiś sposób jest związany z ponownym nadejściem Samaela. Fakt ten poza tym rodzi pytanie, które draży już od jakiegoś czasu najciemniejsze zakamarki mojego umysłu. Pytania tego do tej pory nie odważyłam się zadać głośno.

– Jest coś, czego nie rozumiem, Madame. Nawet gdybym założyła medalion, jak Samael mógłby wkroczyć do naszego świata? Jest przecież istotą duchową, prawda? Samą duszą. Jak poruszałby się w naszym świecie, nie mając ciała?

– To akurat, moja droga, jest dosyć proste – Madame Berrier ponuro zaciska usta w kreskę, zanim skończy. – Skorzystałby z twojego.

Rozdział XVI

– Przepraszam, Soniu. Ja nie... Naprawdę aż do wczorajszego wieczoru nie wiedziałam.

Sonia nie odpowiada. Edmund wiezie nas powozem w stronę jej mieszkania. Jej milczenie sieje we mnie ziarna strachu. Boję się, że nie będzie już moim sprzymierzeńcem, moją przyjaciółką – któż bowiem chciałby się bratać z osobą taką jak ja?

– Jeżeli ty i Luisa zadecydujecie, że będziecie ze sobą współpracować, zrozumiem.

Sonia odwraca się do mnie.

– Czy czujesz się Bramą? Czy czujesz się jakoś... nieodpowiednio?

Twarz mam rozpaloną i cieszę się, że Sonia nie widzi jej wyraźnie w ciemnym wnętrzu powozu, bo mogłaby uznać moje zaczerwienione policzki za oznakę poczucia winy.

– Prawdę mówiąc, przez większość czasu czuję się normalnie, tyle że teraz jestem bardziej zagubiona i niepewna niż zwykle.

Sonia jednak jest nauczona, by wyławiać wszelkie niuanse, a słucha moich słów uważnie.

– Przez większość czasu? – dopytuje się łagodnie.

– Są takie chwile... niezbyt częste, ale są, kiedy czuję, jak... coś... przyciąga mnie. Och, tak trudno to wytłumaczyć! Nie jest tak, że jestem o włos od popełnienia jakiejś strasznej rzeczy – tylko nieraz czuję swój związek z medalionem. Jakby mnie przyzywał. Chciałabym założyć go. Zasnąć i wyruszyć w podróż, bo wiem, że ułatwiłby ją. Ale wtedy...

– Co wtedy?

– Szybko wracam do rzeczywistości i przypominam sobie, że moim powołaniem jest walczyć z medalionem.

– Czy pamiętasz o tym nawet teraz? Nawet kiedy wiesz, że właściwie to nie jest twoje powołanie? Że nie jesteś Strażniczką, ale Bramą?

– Teraz bardziej niż kiedykolwiek – niezłomność tego przekonania dodaje mi otuchy

Sonia kiwa głową, a resztę drogi spędza z twarzą zwróconą w stronę okienka.

Kiedy dojeżdżamy do domu pani Millburn, wysiadam z powozu i stoję na chodniku obok Soni. Edmund przygląda się nam niecierpliwie, przytupując nogą, w ten niezbyt subtelny sposób przypominając nam o upływie czasu. Ludzie, którzy nas mijają, wyglądają jakoś złowrogo, niebezpiecznie, co przywodzi mi na myśl słowa Madame Berrier – Bestia i wojownicy z jej Armii mogą przybrać każdy kształt, jaki zapragną: prostego człowieka, demona, zwierzęcia, może nawet cienia. Prawdopodobnie w naszym świecie jest już wiele Dusz, które przedostały się tutaj dzięki innym Bramom. Mogą być wszędzie. Wszędzie. I wszystkie czekają na mój moment słabości.

Sonia ujmuje moje dłonie w swoje.

– Jest powód, dla którego to ty zostałam Aniołem, Lia. Jeżeli według potężnej przepowiedni jesteś odpowiednią osobą do podjęcia takiej decyzji, dlaczego ja miałabym uważać inaczej? – uśmiecha się lekko, lecz szczerze. – Będziemy trzymać się razem. Będziemy mieć nadzieję na znalezienie odpowiedzi, których szukamy. Luisa musi się wypowiedzieć w swoim imieniu, ale ja przyrzekam, że będę przy tobie.

– Dziękuję, Soniu. Obiecuję, że nie będziesz rozczarowana – wyciągam rękę i obejmuję ją, przepelniona wdzięcznością za dowód przyjaźni.

Sonia drży i krzyżuje ramiona – coraz szybciej nadciąga wieczorny chłód.

Myślę o dzieciach – tych, które ojciec sprowadził tu z Anglii i Włoch, i tych, których nie zdołał odnaleźć.

– Och, mamy tyle spraw do omówienia! A nie mamy czasu! Luisa jest w Wycliffe, ty tutaj z panią Millburn, a ja w Birchwood i przyjazd... – urywam myśl bez zakończenia, jakby dopiero miała nabrać kształtu.

– Jaki przyjazd? Na litość boską, Lia, zamarzną, jeśli zaraz się nie pożegnamy!

Przytakuję i podejmuję decyzję.

– Musimy spędzać więcej czasu razem we trójkę. Taki jest wniosek, prawda? Zostaw to mnie. Zajmę się wszystkim.

* * *

Pożegnałam się z Sonią i jestem w połowie drogi do powozu, kiedy czuję czyjąś dłoń na swoim ramieniu.

– Przepraszam, proszę pozwolić mi... – nie kończę, bo kiedy chcę strącić tę rękę, nagle staję twarzą w twarz z Jamesem.

– Lia – zaczyna, a jego oczy mieniają się uczuciem, którego jeszcze w nich nie widziałam. To coś bardzo bliskiego złości, gdybym miała określić.

– James! Co ty... – rozglądam się po ulicy, szukając jakiegoś wyjaśnienia swojego pobytu w mieście. – Co ty tu robisz?

– Tak się składa, że tu mieszkam. W zasadzie rzadko się zdarza, że któregoś dnia nie wychodzę z domu w tej czy innej sprawie – oczy rozbłyskują mu raz za razem. – Ty natomiast mieszkasz dość daleko od miasta.

Na te słowa w moich żyłach zaczyna wrzeć gniew. Cały czas czuję ucisk jego palców na swoim nadgarstku. Z trudem, ale udaje mi się wyrwać rękę. Odsuwam się i czuję, że policzki płoną mi ze złości.

– Mam więc siedzieć w domu jak grzeczna dziewczynka, tak? To by ci się podobało? Mam zabrać się za robotki i martwić tym, że słońce zbyt opaliło mi cerę? Jesteś taki... taki jak... Och!

W jego oczach pali się gniew równy mojemu. Ale po chwili James kręci głową i wbija spojrzenie w chodnik, na którym stoimy.

– Oczywiście, że nie, Lia. Oczywiście, że nie.

Przez moment milczy, a ja zwracam wzrok ku Edmundowi. Gdybym kłóciła się w miejscu publicznym z kimś innym niż z Jamesem, już dawno odprowadziłby mnie do powozu. Ale teraz, kiedy nasze spojrzenia spotykają się, on zażenowany patrzy w dół. Spokojny już głos Jamesa odrywa moje myśli od Edmunda.

– Nie możesz zrozumieć, że się martwię? Od śmierci ojca jesteś... taka daleka. Wiem, że to był dla ciebie cios, ale czuję – i nic na to nie poradzę – iż pomiędzy nami stanęło coś jeszcze. A teraz... Chodzisz sobie po mieście, bez opieki, z osobami, których nie znam i...

Otwieram usta ze zdumienia.

– Śledzisz mnie? Śledziłeś mnie po mieście?

– To nie tak – przeczy James. – Byłem w bibliotece, kiedy nagle zobaczyłem ciebie. Nigdy nie widziałem kobiety ani dziewczyny, które były z tobą. Nie wspominałaś mi, że masz takie nowe znajome. Nie zastanawiałem się, rozumiesz? Po prostu szedłem za tobą z ciekawości, bo chyba

martwiłem się trochę twoim dziwnym zachowaniem w ostatnich dniach. Czy nie rozumiesz, dlaczego byłem zmuszony tak postąpić?

Słowa Jamesa parzą. Słyszę w nich ból i nie mogę im zaprzeczyć. Trzymałam go na dystans, nic nie mówiąc o proroctwie, podczas gdy sama wpadałam coraz głębiej i głębiej w tę przepaść. Czy ja nie martwiłabym się tak samo? Czy ja nie chciałabym się dowiedzieć wszystkiego, co się da, żeby tylko zrozumieć takie zachowanie ukochanej osoby?

Biorę głęboki oddech i cała złość, niestety, opuszcza mnie. Wolałabym gniew, od którego dudni w żyłach niż nowe uczucie, które mnie ogarnęło. To rozpacz, która się nasila i każe mi myśleć, że nigdy nie zdołam pogodzić swojej roli wyznaczonej przez proroctwo oraz zadań z tym związanych z miłością do Jamesa.

Ujmuję jego dłoń i zaglądam mu w oczy.

– Tak, masz rację, James. Przepraszam.

On, zdenerwowany, kręci głową. To nie przeprosin potrzebuje.

– Dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać? Jestem ci już obojętny?

– Ależ skąd, James. To się nie zmieni, nigdy. Ten... – macham ręką w stronę ulicy – ten wyjazd nie ma nic wspólnego z tobą ani z moją miłością do ciebie – próbuję się uśmiechnąć. Dziwnie się czuję z tym uśmiechem, jakbym założyła coś, co niezbyt dobrze na mnie leży. Jednak to wszystko, co mogę zrobić. Szybko postanawiam, że będę mówić tyle prawdy, ile się tylko da. – Po prostu wymknęłam się na chwilę z koleżanką, którą znam z Wycliffe. Ona natomiast ma znajomą, która zna się na magii i...

– Na magii? – zdziwiony James unosi brwi.

– To nieważne! – odganiem gestem jego ciekawość. – Nie wierzysz mi? Po prostu zainteresował mnie ten temat, a ta znajoma zaproponowała, że pokaże nam jakieś książki, to wszystko. – Zerkam na Edmunda, który otwiera swój zegarek kieszonkowy i spogląda na mnie znacząco. – A teraz *muszę* już pędzić, bo ciotka Virginia odkryje, że mnie nie ma, a wtedy krótki wypad do miasta, który miał być niewielką rozrywką. zmieni się w wielki kłopot.

James patrzy mi głęboko w oczy i wiem, że chce przekonać się, czy mówię prawdę. Wytrzymuję jego spojrzenie, aż wreszcie kiwa głową, jakby uwierzył. Ale kiedy pożegnawszy się, wsiałam do powozu, zdaję sobie sprawę, że w jego błękitnych oczach ujrzałam nie zrozumienie, lecz poczucie klęski.

* * *

Siedzę w salonie obok Henry'ego, czytając, gdy od strony drzwi dochodzi głos Margaret.

– Panienko, przyszedł jakiś list.

Wstaję, żeby do niej podejść.

– Do mnie?

– Przed chwilą przyniósł goniec – Margaret wyciąga do mnie kremową kopertę.

Odbieram ją i czekam, aż kroki służącej ucichną w korytarzu.

– Co to za list, Lia? – pyta Henry znad książki.

– Nie wiem.

Siadam z powrotem na krześle przy kominku i zaczynam otwierać kopertę. Wyciągam kartkę ze środka; pismo jest staranne i eleganckie, układa się ukośnie na czystym papierze.

Droga Panno Milthorpe!

Wydaje mi się, że znam kogoś, kto mógłby Pani pomóc. To Alastair Wigan z Lerwick Farm. Może Pani zaufać mu tak jak mnie. Będzie Pani oczekiwać.

Madame Berrier

– Od kogo ten list? – siedzący obok mnie Henry jest tak podekscytowany, że zarazem cieszę się i smucę – dla niego dni są nieznośnie jednakowe, więc nawet nadejście zwykłego listu wzbudza ogromny entuzjazm.

Podnoszę wzrok i uśmiecham się.

– Od Soni. Pisze, że pozwolili jej przyjechać do nas na Święto Dziękczynienia – muszę odepchnąć od siebie lekkie poczucie winy z powodu kolejnego kłamstwa. To jednak tylko częściowe kłamstwo. Rozmawiałam już z ciotką Virginią o zaproszeniu Soni i Luisy.

– To wspaniale, prawda? – Henry promienieje.

Składam kartkę i chowam ją z powrotem do koperty, a w moim sercu zaczyna budzić się nadzieja.

– Tak, Henry. To rzeczywiście wspaniale.

Rozdział XVII

– Czy bardzo się cieszysz, Lia? – pyta Henry gdzieś z tyłu, gdy ja patrzę z okna salonu na nadjeżdżający powóz.

– Na litość boską! – odwracam się do niego. – Ostatni raz ci mówię, że tak! Ale założę się, że ty cieszysz się bardziej niż ja, skoro pytałeś już tyle razy!

Henry czerwieni się, lecz nie próbuje ukryć uśmiechu, który gra nie tylko na jego ustach, ale i w oczach. Mimo że łatwo zapomnieć, iż ten chowany pod kloszem chłopiec ma już dziesięć lat, zauważyłam, jak przyglądał się Soni, kiedy przyszła na herbatę; wiem także, że odpowiada mu perspektywa ponownego spotkania z nią.

Wracam do okna, a wtedy powóz wyjeżdża z wysadzanego drzewami podjazdu. Na chwilę zapominam o tym, że ja mam szesnaście lat i nie powinnam tak łatwo wpadać w zapał jak Henry.

– Przyjechali! – Pędzę do frontowych drzwi, otwieram je na oścież i czekam niecierpliwie, aż Edmund pomoże Soni i Luisie wysiąść z powozu.

Gości będę witać sama. Ciotka Virginia jest zajęta z Margaret, zaś Alice, która jest jeszcze bardziej ponura, odkąd dowiedziała się, że zapraszam Sonię i Luisę na święto, pewnie poszła nadąsa – na jeden ze swoich długich spacerów.

Luisa podskakuje na schodach jak psiak, jest samą radością i nie zważa na formy. Śmieję się, zakrywając usta dłonią w rękawiczkach.

– Trudno uwierzyć, że panna Gray pozwoliła mi przyjechać! Już myślałam, że będę musiała spędzić Święto Dziękczynienia w paskudnej jadalni w Wycliffe. Uratowałaś mnie!

Jej śmiech jest zaraźliwy i ja też czuję jego bąbelki wydobywające się z gardła.

– Nonsens! Ale bardzo się cieszę, że obie tu jesteście! – Obejmuję ją i całuję w chłodny policzek, a potem również Sonię, która dotarła do szczytu schodów. – Gotowa do świętowania?

Sonia uśmiecha się promiennie, a jej uśmiech sieje blask nawet w tak szary dzień jak dziś.

– O tak! Od kilku dni wychodzę ze skóry! Myślałam, że doprowadzę panią Millburn do szaleństwa!

Wprowadzam je do domu, a perspektywa pozostawania w ich towarzystwie przez następne trzy dni jest tak przyjemna jak myśl, że być może odnajdziemy Klucze. Przy akompaniamencie śmiechu jemy lunch, a potem szczęśliwe i najedzone udajemy się do salonu. Ciotka Virginia jest tak miła, że zabiera Henry'ego, żebyśmy mogły pobycć same. Od czasu do czasu mój brat zagląda do nas i rzuca tęskne spojrzenia w stronę Soni, ale udajemy, że tego nie zauważamy. Rozmawiamy i śmiejemy się. Przez chwilę wierzę, że jesteśmy zwyczajnymi dziewczętami. Że obchodzą nas tylko sukienki, książki i młodzi kandydaci na mężów. Dopiero kiedy Luisa podnosi spojrzenie ku ścianie nad kominkiem, przypominam sobie, w jakim celu spotkałyśmy się.

– Ten dżentelmen – Luisa wskazuje portret na ścianie – wydaje mi się znajomy. Kto to jest?

Przełykam ślinę, gdyż czuję, że łączące nas więzy zapętlają i zaciskają się.

– To mój ojciec.

– Chyba widziałam go w Wycliffe – mówi Luisa – zanim...

– Być może – odpowiadam. Jednak nie jesteśmy zwyczajne. Zastanawiam się, jak poinformować Sonię i Luisę o tej jednej rzeczy, która jeszcze nas dzieli.

Sonia przekrzywia głowę, a na jej spokojnej twarzy maluje się zdumienie.

– Co się stało, Lia? Całkiem umilkłaś!

Patrzę, czy nikt nie stoi w drzwiach do salonu. Alice najwyraźniej jest nieobecna, a rumieniącej się buzi Henry'ego już od jakiegoś czasu nie widziałyśmy. Ale nawet w takiej sytuacji rozsądniej będzie zachować ostrożność.

– Mam ochotę wyjść na świeże powietrze. Umiecie jeździć konno?

* * *

– Nie podoba mi się to! Wcale mi się nie podoba! – głos Soni drży, a ją samą niesie na grzbiecie Cień Księżycy, najłagodniejsza klacz z naszej stajni.

– Bzdura! Nic ci nie będzie. Jedziemy bardzo powoli, a Cień Księżycy nie skrzywdzi nawet muchy. Jesteś całkowicie bezpieczna. Ja pojedę za tobą, a reszta należy do konia.

– Tak, łatwo ci mówić. Ty ciągle jeździsz – mruczy Sonia.

Luisa jest już parę metrów przed nami i wygląda na doświadczoną amazonkę, choć jestem przekonana, że w Wycliffe nieczęsto miała okazję siedzieć w siodle. Konna przejażdżka wydawała mi się świetnym sposobem na opuszczenie domu, nietrudno też było znaleźć spodnie do jazdy i całą resztę potrzebnych rzeczy dla moich przyjaciółek. Jednak kiedy obserwuję, jak sztywno Sonia podryguje na grzbiecie klaczy, nie mogę nie myśleć, że podjęłam złą decyzję. Milcząc, zostaję z tyłu i zrównuję się z Sonią dopiero, gdy widzę, że odrobinę rozluźniła ramiona i unosi się mniej gwałtownie, zgodnie z rytmem ruchów konia.

– Lepiej? – uśmiecham się szeroko.

Sonia wypowiada coś na kształt „Hmpf!” i uparcie patrzy przed siebie.

Jadąca na przedzie Luisa zwalnia i zawraca tak łagodnym skrętem, jakby nie dosiadała szczupłego wierzchowca, który – stosownie do charakteru – został nazwany Lotem Orła. Dojeżdża do nas kłusem i zrównuje się z Sonią, zajmując miejsce z drugiej strony.

Policzki Luisy zaróżowiły się od wiatru i emocji.

– Och, co za przyjemność, Lia! Bardzo ci dziękuję. Tak dawno nie jeździłam.

Oddaję uśmiech za uśmiech i cieszę się jej radością, by wkrótce przypomnieć sobie, po co wyjechałyśmy na przejażdżkę.

– Musicie wiedzieć, że zaproponowałam jazdę konną, ponieważ chciałam porozmawiać z wami na osobności – rzucam okiem na Sonię, ale na jej twarzy ciągle widać oznaki paniki. – Teraz zastanawiam się, czy spacer nad rzeką nie byłby lepszym pomysłem.

– Założę się, że ona tak bardzo się boi, że nic nie słyszy! – śmieje się Luisa.

– Wprost przeciwnie, słyszę was doskonale – cedzi Sonia przez zaciśnięte wargi. Wciąż w napięciu patrzy przed siebie.

Zaciskam usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Luisa przypatruje mi się z zainteresowaniem.

– A więc? O co chodzi, Lia? O czym chciałaś porozmawiać? Chyba nie o tym co zwykle: jakichś prorocत्वach, końcu świata czy innych banialukach!

Próby Luisy, by dostrzec komiczne strony naszej sytuacji, nie są w stanie mnie rozbawić, bo myślę o tym, czy ona i Sonia nie będą obwiniać mnie o to, że znalazły się w tych okolicznościach. Nie ma jednak innej drogi, aby ustalić to z całą pewnością – trzeba wszystko powiedzieć.

– Chyba wiem, dlaczego twarz mojego ojca wydała ci się znajoma.

– Cóż, pewnie zobaczyłam go kiedyś w Wycliffe... – Luisa marszczy brwi.

– Nie sądzę, że taka była przyczyna – przerywam jej. – Może zsiądźmy z koni.

Dotarliśmy do niewielkiego stawu, gdzie Alice i ja jako małe dziewczynki karmiłyśmy kaczki. Po śmierci naszej matki to miejsce wydawało się bardziej bezpieczne niż okolice jeziora. Tutaj brzeg łagodnie schodzi do wody, a ponieważ jest porośnięty drzewami, nawet latem zapewnia sporo cienia.

Luisa i ja przywiązujemy konie do małych drzewek, ale zauważamy, że Sonia ciągle siedzi na grzbiecie Cienia Księżycy.

– Nie zsiadasz? – pytam. Dopiero po chwili patrzy na mnie, a wtedy ogarnia mnie współczucie, gdyż widzę, że na jej twarzy maluje się absolutne przerażenie.

– Mam zsiadać? Najpierw musiałam wsiąść, a teraz chcesz, żebym *zsiadła*? – odpowiada prawie histerycznie.

– Wszystko będzie dobrze, Soniu, wierz mi. Pomogę ci.

Dopiero po otrzymaniu ode mnie szczegółowych wskazówek oraz uzyskaniu pomocy przy zsiadaniu z konia, Sonia odpręża się, a jej twarz odzyskuje zwykły spokój. Moja przyjaciółka kuli się na trawie i jęczy.

– Już nigdy nie dam rady normalnie usiąść!

Sadowię się obok i pozwalam, aby pomiędzy nami zapadło milczenie, gdyż zbieram się na odwagę, żeby powiedzieć im to, co mam do powiedzenia. Spoglądam na Luisę, która siedzi nad wodą oparta o drzewo. Ma zamknięte oczy, a na jej ustach błąka się lekki uśmiech zadowolenia.

– Luiso, jak trafiłaś do Wycliffe aż z Włoch? To trochę dziwne, że masz szkołę tak daleko od domu.

Luisa otwiera oczy, śmieje się chrapliwie, schyla, przeczesując palcami trawę, a potem prostuje, trzymając w ręku kilka kamyczków.

– Rzeczywiście dziwne! Ojciec miał zamiar wysłać mnie do szkoły w Londynie, ale jakiś znajomy, z którym robił interesy, przekonał go, że w dzisiejszych czasach najlepsze wykształcenie zapewnia Ameryka. „Najlepsze wykształcenie na świecie”, tak mawiał ojciec. Pewnie tych samych słów użyto, aby namówić go, żeby posłał mnie na drugi koniec świata do Wycliffe. – Luisa ze złością ciska jeden z kamieni do wody. Łąduje z pluskiem o wiele dalej niż mogę dorzucić ja, nawet jeśli mam dobry dzień.

– To był zapewne mój ojciec.

Luisa stoi z opuszczonymi rękoma.

– O czym ty mówisz? Kim był twój ojciec?

– Tym znajomym, z którym twój ojciec robił interesy i który doradził mu, żeby zapisać cię do Wycliffe.

Luisa podchodzi bliżej i opada na trawę; na jej twarzy maluje się pomieszenie.

– Ale... skąd twój ojciec mógłby znać mojego, a nawet gdyby znał, dlaczego miałby się interesować moim wykształceniem?

– Nie wiem, ale faktem jest, że wszystkie mamy to znamię. Choć moje jest trochę inne, podobieństwo jest więcej niż zastanawiające. A fakt, że mieszkamy wszystkie w tym samym miejscu, w tym samym mieście, jest jeszcze bardziej zadziwiający, nie sądzicie?

Sonia ani nie przytakuje, ani nie wyraża zgody w inny sposób, tylko zaczyna mówić.

– Moi rodzice są z Anglii. Powodziło im się... prawdę mówiąc, dosyć kiepsko – śmieje się cichym, niezwykłym jak dla niej śmiechem. – W każdym razie niepotrzebny był im pretekst, żeby znaleźć mi nowe miejsce zamieszkania. Kiedy zaczęłam wykazywać oznaki tych... no wiecie, szczególnych umiejętności, pomyśleli, że będę się czuła lepiej w środowisku podobnych osób. Przynajmniej tak twierdzi pani Millburn. Bardziej prawdopodobne jest to, że *oni* poczuli się lepiej, mając jedną gębę mniej do wykarmienia.

Uśmiecham się do niej.

– Cóż, ja się cieszę, że tu jesteś, Soniu. Bez twojej przyjaźni nie przeżyłabym tych ostatnich tygodni.

Sonia odplaca mi nieśmiałym uśmiechem, a ja ciągnę swoją wypowiedź.

– Jednak to nie może być zbieg okoliczności, że wszystkie znalazłyśmy się w tym samym miejscu i że wszystkie mamy znamię. Moja ciotka powiedziała mi, że ojciec po całym świecie szukał dzieci naznaczonych znamieniem. Powiedziała mi... – urywam. Czy będą się gniewać? Czy oskarżą mnie o wszystko?

– Co? Co ci powiedziała? – cicho pyta Sonia.

– Powiedziała, że ojciec zaczął je tu sprowadzać... te dzieci. Że organizował im podróż do Ameryki. Tylko dwoje z nich zdołał ściągnąć tu przed śmiercią. Jedno z Anglii, drugie z Włoch, tak mówiła.

Luisa mruga patrząc w zachodzące słońce.

– Ale... dlaczego twój ojciec chciał nas tu sprowadzić? I w ogóle jak nas odnalazł? Skąd mógłby wiedzieć, że mamy znamię?

– Myślałam o tym. Ty i Sonia miałyście znamię od urodzenia. Wydaje mi się, że dysponując odpowiednimi kwotami, da się odszukać dzieci noszące takie znamię. Mój ojciec był zdecydowanym i wpływowym człowiekiem. Nawet gdyby istnienie znamienia utrzymywano w sekrecie, są osoby, które mogły je widzieć, nieprawdaż? Lekarze, nauczyciele, nianie, krewni... – wzdycham. Nie mam pewności, czy to, co wreszcie powiedziałam na głos, ma jakiś sens. – Przepraszam was. Niczego nie jestem pewna, rozumiecie? Od tygodni zadaję sobie te same pytania. Myślę, że są częścią naszej zagadki. Muszą być.

Nagle Luisa zrywa się na równe nogi i przechadza się przed nami brzegiem jeziora z hamowaną energią zwierzęcia trzymanego w klatce.

– A może powinniśmy przestać się tym zajmować! W końcu co może się stać, jeśli pozostawimy sprawy ich własnemu biegowi? Czy to nie byłoby lepsze niż rozgrzebywanie spraw, których nie rozumiemy?

– Nie możemy pozostać bezczynne, Luiso.

Słowa Soni zadziwiają mnie.

Luisa stoi z otwartymi dłońmi, a wiatr znad stawu bawi się kosmykiem jej kruczoczarnych włosów.

– Dlaczego? Czemu nie możemy?

Sonia wzdycha, sztywno wstaje i otrzepuje się, a potem zbliża do Luisy.

– Ponieważ odkąd odnalazłyśmy się, moje wizje powtarzają się coraz częściej. Duchy są coraz bardziej natarczywe. Próbują mi coś powiedzieć, wciągnąć mnie do swojego świata i nie przestaną, dopóki się nimi nie zajmę – chwyta Luisę za rękę. – Powiedz mi, czy duchy nie prześladują również ciebie? Czy nie zapadasz coraz częściej w dziwne, szybko rozgrywające się marzenia senne? Czy nie podróżujesz, ale tylko do strasznych, ciemnych miejsc?

Przez moje ciało przepływa prąd zaskoczenia. Sonia wie coś, czego nie wiem ja.

Na twarzy Luisy rozgrywa się jakiś konflikt, a potem dziewczyna zaczyna płakać, zasłaniając się rękami.

– Tak! Tak, wszystko się zgadza! – w jej spojrzeniu odśłania się strach. – Lecz to nie znaczy, że my mamy prześladować kogoś w odwecie. Może Dusze są zagniewane tym, że jesteśmy takie uparte. Może jeśli zapomnimy o tym... przestaniemy szukać odpowiedzi, zostawią nas w spokoju?

– Tak się jednak nie stanie, jestem pewna. To coś, co chroni się w cieniu naszych snów, moich snów, wyczekuje. I nie pozwoli o sobie zapomnieć.

Sonia obejmuje Luisę ramieniem.

– Przykro mi, ale o ile wiem, z Duszami tak nie jest. One czegoś od nas chcą, czegoś chcą od Amalii i teraz... nie spoczną, dopóki im tego nie damy.

Rozdział XVIII

Święto Dziękczynienia upływa nam w atmosferze przyjemnej beztroski. W gości przychodzą James wraz z ojcem, a kiedy gramy w różne gry w salonie, z kuchni dochodzą kuszące zapachy. Twarz Henry'ego rozjaśnia się niebiańskim blaskiem, gdy Sonia zgadza się rozegrać z nim partię szachów. Najwyraźniej nie przeszkadza mu to, że zostaje sromotnie pokonany – Sonia obdarza go wdzięcznym uśmiechem, dając mu mata.

Alice ma się na bacności. Jak zwierzę, które węszy niebezpieczeństwo, przygląda się nam z daleka, kiedy śmiejemy się przy kominku. Gdy przenosimy się do jadalni, siadam po prawej stronie Jamesa. Moja siostra zaskakuje mnie, siadając po jego lewej stronie. Jej obecność wytrąca mnie z równowagi, chociaż przez większość czasu Alice jest zasłonięta przed moim wzrokiem. Odganiem precz swój niepokój. Jedzenie jest pyszne, a towarzyszy mu wino i konwersacja, trwająca przez dwie słodkie godziny.

Wracamy do salonu po posiłku, którego rozmiary, jak również nasze łakomstwo, wpędziłyby pannę Gray w rozpacz. Po długich namowach ciotka Virginia siada do pianina. Gromadzimy się wokół niej, aby pośpiewać, śmiać się i szturchać łokciami, kiedy ktoś zapomni słów. Nawet Alice przyłącza się do nas, choć trzyma się z daleka od Soni i Luisy. Gdy wybrzmiewa refren ostatniej piosenki, w salonie robi się bardzo cicho. Ogień pali się niskim płomieniem, a ciotka Virginia, która nigdy nie pokazuje po sobie, że jest zmęczona, z trudem podnosi rękę do ust, by ukryć ziewnięcie. Na krześle przy kominku śpi Henry, gęste włosy spadają mu na oczy.

– Nie chciałbym burzyć świątecznego nastroju, ale wydaje mi się, że kogoś trzeba zanieść do łóżka – mówiąc to, James patrzy gdzieś za mnie i wtedy mój wzrok wędruje w stronę brata. Jednak, gdy podążam za spojrzeniem Jamesa, dostrzegam, że skulony na sofie zasnął także pan Douglas. Powstrzymuję się od śmiechu, żeby nie zbudzić któregoś z nich.

– Tak, jest już bardzo późno. Mam poprosić Edmunda, żeby pomógł ci zaprowadzić ojca do powozu? – pytam.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Następuje zamieszanie związane z przejściem zaspanego pana Douglasa do czekającego powozu, a potem słychać gwar wesołych pożegnań. Ciotka Virginia znika w kuchni, żeby dopilnować

sprzątania, a Luisa i Sonia idą się przebrać do spania. Rozglądam się, by upewnić się, że nikt nie widzi, i z ciepłego domu wymykam się na taras do Jamesa.

Niezwłocznie przyciąga mnie do siebie, okręca sobie kosmyk moich włosów wokół palca, a potem już czuję jego usta na moich wargach, które otwierają się jak pąk kwiatu, kiedy rozwija się, bo jego płatki są dojrzałe i napęczniałe. Są chwile, gdy czuję się jak jakaś inna Lia – taka, której nie obchodzi panna Gray i jej książki, ani jej zasady. Taka, która nie dba o to, co wypada. W takich chwilach myślę, że nie może być złe to, co przeżywam tak mocno i co wypełnia mnie od środka po same brzegi.

To James odsuwa się ode mnie. Zawsze on jest osobą, która odsuwa się pierwsza, chociaż to on mnie do siebie przyciąga.

– Lia, Lia. Jestem z tobą taki szczęśliwy. Wiesz o tym, prawda? – pyta szorstkim głosem.

– Tak, oczywiście, o ile nie doprowadzam cię do szału swoją dociekliwością albo kłótnością – uśmiecham się przekornie.

– Do szału doprowadza mnie co innego – odpowiada uśmiechem, ale zaraz potem poważnieje. – To prawda, że nigdy nie rozmawialiśmy o tym poważnie. Nie mogę zapewnić ci takiego życia, do jakiego jesteś przyzwyczajona. Ale chciałbym, żebyś któregoś dnia była moja, gdy nadejdzie właściwa pora.

Kiwam głową wolniej, niż bym chciała.

– Tylko że...

– Tylko co? – James ma w oczach strach.

Spędziliśmy wieczór, śmiejąc się i bawiąc, próbując zapomnieć o pewnym dystansie między nami, który zdążył się powiększyć. Stało się to za sprawą skrywanych przeze mnie tajemnic i poczucia niepewności – nie pomagają w pokonaniu tego dystansu.

– Nie, nic... – kręcę głową. – Smutno mi tylko, że święto spędziliśmy bez ojca. Boże Narodzenie już nigdy nie będzie takie samo – w moim głosie pobrzmiewa szczerść i przez moment udaje mi się uwierzyć, że Jamesa i mnie dzieli tylko żałoba.

– I to wszystko? Czy tylko z tego powodu jesteś zamyślona i milcząca od kilku tygodni? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że chodzi o coś więcej.

Powiedz mu. Powiedz mu teraz, zanim będzie za późno, zanim całkiem odepchniesz go od siebie. Jednak ten głos nie jest dość wytrwały. Przytakuję więc tylko, uśmiechając się tak uspokajająco, jak umiem.

– Przykro mi, że martwiłeś się z mojego powodu. Za jakiś czas poczuję się lepiej.

Chciałabym wierzyć, że przed czymś go chronię, ale to przecież wstyd odbiera mi mowę. Nie mogę zaprzeczyć, że w głębi serca boję się, że James mnie nie zechce, kiedy zrozumie, jaką rolę odgrywam w okrutnej, pradawnej przepowiedni.

* * *

– Pannie Gray nie spodobałoby się to – wita mnie głos Alice, kiedy zamykam za sobą drzwi. Nie jest to nowa, nieprzystępna Alice, którą nauczyłam się bacznie obserwować. Jej głos jest żartobliwy. Dostrzegam niewyraźny zarys jej sylwetki. Siedzi niedbale na schodach, wygięta do tyłu, wspierając się na łokciach.

Wchodzę na stopnie i siadam obok niej.

– No cóż, przypuszczam, że nie spodobałby się jej również twój sposób widzenia.

W ciemności błyskają zęby Alice, nasze uśmiechy odnajdują się w tajemniczej ciszy domu.

– Wyjdiesz za niego?

– Nie wiem. Kiedyś myślałam, że tak. Kiedyś byłam tego bardziej pewna niż wszystkich innych rzeczy na świecie.

– A teraz?

– Teraz nic już nie jest takie proste – wzruszam ramionami.

Alice odpowiada dopiero po chwili.

– Chyba masz rację. Ale myślę, że jest na to sposób. Pewna metoda, żeby każda z nas dostała to, czego pragnie najbardziej.

Czuję milczącą obietnicę związaną z tematem, do którego zmierza Alice. Ale nie jestem gotowa, by dzielić się informacjami, które zdobyłam z takim trudem. Przynajmniej nie do momentu, kiedy Alice powie coś więcej.

– Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi.

– A ja jestem pewna, że doskonale rozumiesz, Lia – Alice coraz bardziej zniża głos. – Chcesz wyjść za męża i mieć dzieci, wieść spokojne życie z Jamesem. Musisz zdawać sobie sprawę, jak nierealne jest to marzenie... w obecnych okolicznościach. Kiedy walczysz z Duszami i masz swoją rolę.

Szczerść tej wypowiedzi zaskakuje mnie. Jednym ruchem maska została zdjęta. Alice wie tyle co ja, a może nawet więcej. Teraz to oczywiste. Zastanawiam się, dlaczego uważałam, że moja siostra niezbyt dobrze rozumie prorocstwo i jego konsekwencje.

Ponieważ nie zaprzeczam, Alice mówi dalej.

– Odnajdziesz spokój, jeśli wypełnisz swój obowiązek wobec Samaela. Zostawi cię w spokoju, abyś mogła prowadzić takie życie, jakiego pragniesz. Czy tak nie byłoby łatwiej dla wszystkich zainteresowanych stron? Czy nie ma w tobie takiej części, która urodziła się po to, by być Bramą, która chce nią być?

Chciałabym móc powiedzieć, że jej słowa nie odnoszą żadnego skutku i że pozostaję nieporuszona wobec tych czarnych obietnic. Lecz to byłoby kłamstwo, gdyż jakaś część mnie rzeczywiście drży z oczekiwania, kiedy Alice mówi o wypełnieniu się słów starej przepowiedni. Chciałabym wierzyć, że to tylko ta część, która myśli o życiu z Jamesem – tak jak myślałaby każda inna dziewczyna – ale gdzieś w korytarzach umysłu dociera do mnie świadomość, że to coś więcej. Rola wyznaczona przez przepowiednię kusi mnie swoim syrenim śpiewem. Ta rola to najgłębiej ukryta część mojej istoty, część, której w ogóle nie chciałabym mieć i która musi przeciwstawić się pokusie, by zrobić tak, jak radzi Alice.

Kręcę głową, odrzucając sugestie Alice, nie chcąc zdradzić się z żadną słabością.

– Nie. Nie jest tak, jak mówisz – przemawiam łagodnym głosem, zwracając się do Alice z dzieciństwa, tej Alice, którą kocham. – To prawda, że marzę o życiu z Jamesem, ale nie przeżyję tego życia w mroku świata rządzonego przez Dusze. Na pewno rozumiesz to, Alice. Możemy zgodzić się co do jednego: powinniśmy pracować dla wspólnego celu, który łatwo da się określić. Ty jesteś Strażniczką. Twoim zadaniem jest chronić świat przed Duszami. A ja... ja przecież też mam wybór. I nie pomogę im. Nie zrobię nic, żeby pomóc im zniszczyć świat i ludzi, których kocham. Czy to nie jest naszym wspólnym celem? Chronić Henry'ego i ciotkę Virginię, jedynych członków rodziny, jacy nam jeszcze zostali?

Profil Alice jest częściowo ukryty w ciemności, ale widzę jej wahanie na wzmiankę o Henrym i ciotce Virginii. Odpowiada dopiero po pewnym czasie, kiedy przez jej twarz przejdą już wszystkie możliwe emocje. W okamgnieniu dziecięca niepewność ustępuje miejsca rezygnacji.

– Nie miałam być Strażniczką. Obie o tym wiemy. To dlatego czuję to, co czuję. Od dziecka wiem, że mam zobowiązania wobec Dusz, bez względu na to, jaką rolę przydziela mi prorocstwo. Nic na to nie mogę poradzić. Na to, że jestem właśnie *taka*.

Nie chcę słuchać, kiedy mówi w ten sposób. Trudno jest słuchać dawnej Alice rozmawiającej na ten temat. Gdyby była tu Alice z ostatnich dni, ta Alice o zimnym spojrzeniu i zaciętej twarzy., wtedy łatwiej byłoby zignorować jej słowa.

Moja siostra oblizuje wargi, które błyszczą w ciemności.

– Jeżeli będziemy współpracować, będziemy pod opieką, Lia. My i ci, których kochamy Mogę zagwarantować ci bezpieczeństwo, jak również Jamesowi, Henry'emu i ciotce Virginii. Dla pewnych rzeczy warto żyć na świecie, prawda? Tak długo, jak się je ma, nieistotne jest, kto sprawuje władzę. Czy nie warto poświęcić niewielkich skrupułów dla spokojnego życia?

W słowa Alice zaczyna wkradać się jakaś desperacja, która zdejmuje ze mnie zakłęcie rzucone jej jedwabistym głosem. Gwałtownie kręcę głową, jakbym chciała odepchnąć od siebie wyszeptaną obietnicę, która przyciąga mnie do siebie tym silniej, im bardziej ja chcę się od niej oderwać.

– Nie mogę... Nie mogę tego zrobić, Alice. Po prostu nie mogę. Ja też nic nie poradzę na to, że czuję to, co czuję. Bo jestem właśnie *taka*.

Myślę, że się będzie gniewać, ale w jej głosie słychać tylko smutek.

– Tak. Mnie też się tak wydawało. Przepraszam, Lia.

Ponad schodkiem jej ręka odnajduje moją. Alice chwyta mnie tak jak kiedyś, gdy byliśmy małe. Jej dłoń nie jest bynajmniej większa od mojej, ale był taki czas, że trzymając Alice za rękę, zawsze czułam się bezpieczna. Nie wiem, dlaczego moja siostra mnie przeprosza, ale obawiam się, że wkrótce się dowiem.

I nigdy już nie będę bezpieczna, trzymając ją za rękę.

Rozdział XIX

– Lia! – Sonia macha do mnie z pokoju gościnnego, kiedy wlokę się do swojej sypialni, a rozmowa z Alice jeszcze rozbrzmiewa mi w uszach.

Wchodzę do środka.

– Myślałam, że po tak pełnym wrażeń dniu już śpicie.

– To był cudowny dzień, Lia. Ale musimy jeszcze trochę popracować, prawda? – oczy Soni wędrują w stronę Luisy, siedzącej na jednym z łóżek.

Po krótkim wahaniu zgadzam się. Mam tylko nadzieję, że Luisa będzie równie wyrozumiała jak Sonia. Luisa unosi brwi.

– O co chodzi, Lia? Czy dzieje się coś złego? Siadam na brzegu łóżka i zaprzeczam.

– Niezupełnie złego. Jest coś, czego nie miałam okazji ci powiedzieć. Coś, czego dowiedziałam się wkrótce potem, jak przyjechałyście do mnie z Sonią na herbatę.

– Co to za sprawa?

Pocieram ręką brew, starając się uspokoić nerwy, zanim wyjawię coś, co może zakończyć naszą przyjaźń, którą nauczyłam się bardzo cenić. Nie ma dobrego sposobu, żeby to powiedzieć, dlatego robię to jak najszybciej i jak najprościej. Wyjawiam powód, dla którego moje znamię jest inne, powstrzymując się od złagodzenia tej informacji słowami pocieszenia czy racjonalizowaniem. Jeżeli rzeczywiście mamy współpracować, Luisa musi dokładnie zrozumieć, kim jestem.

Zaraz po moich wyjaśnieniach nie mówi nic. Żadnej złości ani protestów, których się spodziewam. Patrzy mi w oczy, jakby tam miała znaleźć odpowiedź na wszystkie swoje pytania. W końcu wyciąga swoją dłoń i ujmuje moją, którą niedawno, i to na zawsze, wypuściła ze swojej ręki Alice. Kiedy Luisa zaczyna mówić, używa prostych słów, ale pozwalają mi one mieć nadzieję.

– Powiedz mi wszystko.

Tak robię. Opowiadam jej o prorocестве, roli, jaką mi wyznacza, medalionie. Luisa przyjmuje moje rewelacje ze stoickim spokojem; wiadomość, że jestem Bramą i Aniołem Chaosu nie mącą w niczym jej równowagi. Wreszcie przerywam swoją opowieść, wiedząc, że my wszystkie będziemy autorkami jej zakończenia.

– I tym sposobem znowu wracamy do sprawy Kluczy – mówię. – Ale tym razem wiemy więcej niż przedtem.

Luisa ze zrozumieniem kiwa głową, jej ciemne loki podskakują na karku.

– W tym miejscu pojawia się tajemnicza Madame, prawda?

Patrzę na Sonię i ze zdziwienia podnoszę wzrok. Ona z uśmiechem przechyla głowę na bok.

– Opowiedziałam jej o naszych odwiedzinach u Madame Berrier.

– To dobrze. Znasz więc wszystkie bieżące wiadomości.

– Tak – potwierdza Luisa. – Tylko że ...

– Tylko co?

– Dlaczego nie zaprosiłyście mnie? Ja też chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o przepowiedni... – w jej głosie słyszę wyrzut i mam poczucie winy, ale nim zdążę wyjaśnić, robi to Sonia.

– To przeze mnie, Luiso. Służąca pani Millburn jest znajomą służącą z Birchwood. Bałam się wysłać ci wiadomość do Wycliffe. Nie chciałam, żebyś miała kłopoty, a zdawałam sobie sprawę, że jeśli dowiesz się o naszym spotkaniu, nic cię nie zatrzyma, bez względu na konsekwencje.

Milczenie Luisy sprawia, iż zaczynam obawiać się, że zraniłyśmy jej uczucia. Ona jednak, choć niechętnie, przyznaje Soni słuszność.

– Chyba masz rację. Bywam taka uparta! – śmieje się z tej samokrytyki. – A więc? Co powiedziała ta tajemnicza kobieta?

– Wytłumaczyła nam, że Samhain to stare święto druidów rozpoczynające *Porę Ciemności* – siadam wygodniej i wyciągam szpilki z włosów. – Podobno przypada 1 listopada, ale nie wiemy, co to ma wspólnego z Kluczami. Trochę bardziej interesujące jest to, że 1 listopada to również urodziny Soni.

Luisa prostuje się.

– Co powiedziałaś?

Ma taki wyraz twarzy, że przestaję zajmować się swoimi włosami, które opadają mi swobodnie na ramiona. Do rozmowy włącza się siedząca na drugim łóżku i oparta o wezglowie Sonia.

– Powiedziała, że tak się składa, iż moje urodziny wypadają 1 listopada, w święto Samhain.

Twarz Luisy blednie.

– Luiso, co się stało? – pytam.

– To ... takie dziwne – Luisa patrzy w ogień, mówi cicho, jakby do siebie.

– To – czyli co? – Sonia zsuwa się na skraj łóżka.

Spojrzenia obu dziewcząt spotykają się.

– Że 1 listopada to twoje urodziny. Dziwne, bo to są też moje urodziny.

Sonia wstaje, podchodzi do kominka, a potem odwraca się do nas.

– Ale ... W którym roku się urodziłaś? – zadaje to pytanie drżącym głosem.

– 1874 – szept Luisy pełnie aż do najciemniejszych kątów pokoju.

– Tak – Sonia kiwa powoli głową. – To tak jak ja.

Zaczynam spacerować wzdłuż pokoju, starając się skupić myśli na niepasujących do siebie kawałkach układanki.

– To bez sensu. Moje urodziny nie przypadają 1 listopada, a więc to nie dotyczy nas trzech, tylko was obu – mówię głośno, nie kierując tych słów do konkretnego odbiorcy. – Jak mamy rozwikłać coś tak...

– Szalonego? – podpowiada Luisa ze swojego łóżka.

Odwracam się i patrzę na nią.

– Tak. Szalonego. To przecież szaleństwo.

Sonia siada na sofie przy kominku.

– Co teraz mamy zrobić? Dziwne, że urodziłyśmy się tego samego dnia, ale ten fakt nie przybliży nas do znalezienia Kluczy.

Przypominam sobie o liście.

– Właśnie o tym chciałam wam opowiedzieć. Być może jesteśmy bliżej.

Sonia spogląda na mnie.

– Co masz na myśli?

Wyciągam z kieszeni kopertę i wręczam jej.

– Przysłała mi to Madame Berrier po naszym spotkaniu.

Sonia wstaje, bierze kopertę, otwierają i, przeczytawszy list, oddaje Luisie.

- Kto to jest – pyta Luisa – ten Alastair Wigan?
– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Ale jutro się dowiemy.

* * *

Następnego ranka schodzimy na dół, zakładamy płaszcze przy wejściu i wychodzimy na chłód i na słońce. Wcześniej uzgodniłam nasz wypad z ciotką Virginią. Wiem, iż domyśliła się, że wyjazd na herbatę do miasta jest kłamstwem. Jeżeli coś mi się stanie, to ona będzie zobowiązana zajmować się Henrym. Chcę ją chronić. Ją i Henry' ego.

Od czasu mojej rozmowy z Alice na schodach czuję, że przekroczyliśmy jakąś niewidzialną barierę, za którą leży już tylko smutek i poczucie straty. Wyścig, by wypełnić słowa proroctwa w wybrany przez nas sposób, będzie niebezpieczny, może nawet śmiertelnie niebezpieczny. Trzeba jednak iść naprzód, w przeciwnym razie przez całe życie będę zmuszona trwać w cieniu przepowiedni.

A takiej możliwości nie przyjmuję.

Rozdział XX

Sonia, Luisa i ja idziemy przez trawnik podekscytowane, pośród gwaru rozmowy, chcąc choć przez chwilę cieszyć się wycieczką, mimo że jej cel jest mroczny.

Wychodzimy po schodach do pomieszczeń ponad powozownią, które odkąd pamiętam, zawsze zajmował Edmund. Szybko otwiera drzwi w odpowiedzi na moje pukanie i przygląda się naszej trójce stojącej na progu.

Nim zdążymy cokolwiek powiedzieć, sięga po płaszcz i pyta:

– Słucham, dokąd dzisiaj jedziemy, panienko?

Powóz kołysze nami na wszystkie strony, przemierzając drogi prowadzące coraz dalej od Birchwood. Adres wskazywał na to, iż miejsce znajduje się poza miastem, ale nie wydawało mi się, że będzie tak odległe i w tak odludnej okolicy.

Dystans musi być spory – jedziemy na tyle długo, że nasze podniecenie ustępuje miejsca zmęczonym westchnieniom i tęsknym spojrzeniom rzucanym przez okienka powozu. Cieszę się, że podróżujemy w milczeniu. Moje myśli wypełnia nadzieja, że pan Wigan pomoże nam odszukać Klucze.

Edmund skręca z głównej drogi w mniejszą dróżkę pośród drzew; w powozie robi się ciemno, bo drzewa są wszędzie wokół i ponad nami. Wszystkie oddychamy z ulgą, kiedy naraz świat się rozjaśnia, a Edmund zatrzymuje powóz.

– Dzięki Bogu! - mówi Luisa, trzymając dłoń przy czole. – Bałam się, że zwymiotuję.

Szybko otwiera drzwiczki i niepewnym krokiem wysiada, nie czekając na pomoc Edmunda. Mam głęboką nadzieję, że Luisa jednak nie będzie wymiotować. Nie wiem, jak bardzo ucieszy się pan Wigan na widok trzech dziewcząt przed drzwiami swojego domu, ale na pewno cieszyłby się mniej, gdyby jedna z nich zwróciła śniadanie pośród jego pięknych krzewów.

Luisa na szczęście dochodzi do siebie i wyciera czoło chusteczką. Podchodzimy do drzwi rozpadającego się domostwa stojącego w środku niewielkiej polany. Po jednej stronie jest ogródek, a z podwórka leniwie przygląda się nam koza. Kilka kur dziobie rozrzucone ziarno. Zważając na tak niewielki inwentarz i skromne obejście, „Lerwick Farm” to nazwa trochę na wyrost.

Edmund stoi za nami, kiedy stukam do drzwi; pod dotknięciem dłoni osypuje się z nich biała farba. Nikt nie otwiera, stoimy więc w milczeniu zakłócanym tylko gdakaniem kur, zastanawiając się, co robić dalej. Luisa władczym gestem podnosi rękę, gdy nagle słyszymy za sobą jakiś głos.

– Dzień dobry, witajcie! Pewnie to wy jesteście tymi pannami, o których mówiła mi Sylvia.

Równocześnie odwracamy się. Przed nami stoi niski mężczyzna w sztruksowych spodniach i niedopiętej koszuli, łysa głowa błyszczy mu w słońcu. W jego głosie słychać szkocki czy irlandzki akcent, który, jak sądzę, dawno temu musiał zostać zdławiony prostą amerykańską wymową.

– No co? Zapomniałyście języka? – podchodzi bliżej. – Alastair Wigan, do usług. Sylvia mówiła mi, że przyjedziecie. – Chyba jest zadowolony z naszego pojawienia się, jakbyśmy byli długo niewidzianymi znajomymi. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że nie mam najmniejszego pojęcia, kogo nazywa „Sylvia”.

– Dzień dobry, panie Wigan. Nazywam się Lia Milthorpe, to moje przyjaciółki: Sonia Sorrensen i Luisa Torelli, i nasz woźnica Edmund. – Po tych słowach następuje ogólne podawanie sobie rąk i witanie się. – Obawiam się jednak, że nie znamy żadnej Sylvii ...

Jego twarz rozjaśnia się uśmiechem, a w oczach pojawia się diabelski humor.

– Oczywiście, że znacie. To Sylvia Berrier, ta ślicznotka z miasta.

Na takie określenie Sonia czerwieni się. Ja próbuję powstrzymać śmiech, a Luisa pokaszluje, żeby z jej gardła nie wyrwał się chichot.

– Teraz jeszcze bardziej żałuję, że nie poznałam Madame osobiście – z uśmiechem mówi Luisa. – Musi być fascynująca!

– W rzeczy samej, fascynująca – przytakuje pan Wigan z miną znawcy, a jego oczy patrzą gdzieś w dal. Nagle klaszcze w ręce, jakby przypomniał sobie o naszym istnieniu. – Ale przecież nie będę was trzymał przed drzwiami jak nieznajomych! Przecież jesteście przyjaciółkami Sylvii Berrier! – Wchodzi powoli na ganek. – Wejdźcie. Zrobię herbaty. Od jakiegoś czasu eksperymentuję z nowym naparem z ziół z ogrodu, a nieczęsto mam okazję wypróbować go na kimś innym niż Algernon.

– Algernon? – rozglądam się dookoła.

– Tak, tak – pan Wigan macha ręką w stronę podwórka. Otwiera nam drzwi i jedna za drugą wchodzimy do środka.

Nim wchodzę do domu, ostatni raz obrzucam spojrzeniem podwórko. Nikogo tam nie ma, tylko kury i koza. Ojej.

– Czy Algernon to... koza? – pytam.

– No pewnie! – pan Wigan przechodzi do następnego pomieszczenia, a im jest dalej, tym jego głos staje się cichszy.

Napotykam wzrok Luisy, w jej oczach czai się wesołość. To jasne, że sytuacja ją wciąga. Moje oczy natomiast powoli przyzwyczajają się do półmroku panującego w małym domku. Jestem zdumiona liczbą dziwnych przedmiotów porozkładanych we wszystkich możliwych miejscach.

Na półkach, zakurzonych i zapchanych książkami, leżą kamyki i ptasie pióra. Obok dziwnych lalek spoczywają rzeźbione drewniane figurki. Gapię się na nas różne szkielety, w ich oczodołach odbija się blask ognia z komina. Wydaje mi się, że dostrzegam maleńką jak orzech czaszkę wiewiórki i pęknięty ludzki czerep, podpierający książki stojące na gzymsie nad kominkiem. W pokoju jest ciepło, ale mną wstrząsa dreszcz.

Edmund stoi przy drzwiach oparty o ścianę. Uważnie przygląda się wnętrzu, jakby chciał zapamiętać jak najwięcej szczegółów na przyszłość. Mocno zacisnął szczęki, co podpowiada mi, że na pewno nie ma zamiaru zostawić nas samych w tym dziwnym domu. Prawdę mówiąc, jego obecność daje mi większą pewność siebie, której tak potrzebuję. To chyba samolubne, ale bardzo się cieszę, że Edmund tu jest.

– Proszę bardzo! – woła pan Wigan, wnosząc cynową tacę. Rozgląda się po zagraconym pokoju w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by ją postawić. – O, nie.

Z pomocą przychodzi mu Sonia.

– Może odsunę książki ze stołu? – wskazuje na stosy, pod którymi być może kryje się stół – z miejsca, w którym stoję, mebla wcale nie widać.

– Tak, tak będzie najlepiej! – odpowiada pan Wigan. Podchodzę, by pomóc Soni. Wzniesając tumany kurzu i kaszląc, ustawiamy książki na podłodze. Potem staram się nie zwracać uwagi na to, że stół jest brudny. Pan Wigan bowiem wcale na to nie zważa i stawia tacę, nie wytarłszy blatu.

– Proszę. Sylvia mówiła mi, że zajmujecie się jakąś tajemniczą sprawą – nalewa nam herbaty do filiżanek wcale nienależących do jednego kompletu. Podaje filiżankę również Edmundowi, który

bierze ją zaskoczony, z ukłonem pełnym wdzięczności. – Opowiedziała mi o przepowiedni, ale ja znałem ją już wcześniej od swojej niedobrej matki-poganki. – Jego oczy błyszczą radością, na pewno więc wcale tak nie myśli o swojej matce. – To bardzo dziwne, że o prorocztwie wspomniano mi właśnie tu, a nie gdzie indziej.

– Co pan ma na ... O! – smak naparu zaskakuje mnie. Czuć w nim pomarańcze i chyba lukrecję.
– Pyszna herbata!

Pan Wigan nachyla się ku mnie, a jego pomarszczona twarz kurczy się z zadowolenia.

– Naprawdę? Nie za mocna?

– Nie, wcale nie! – zaprzeczam. – Przepyszna! – Biorę jeszcze jeden łyk i dopiero odstawiam filiżankę. – Dlaczego dziwi pana to, że mówi się o prorocztwie tu, a nie gdzie indziej?

– Bo to przecież celtycki mit. Oczywiście mamy Czuwających w Biblii, ale legenda o siostrach pochodzi, o ile wiem, od Celtów z Bretanii.

– Rozumiem. Nie wiem dlaczego, ale Madame Berrier uważała, że będzie pan mógł nam pomóc.

– A ja wiem doskonale. W pewnym sensie jestem ekspertem do spraw przeszłości. Nie tych zwykłych spraw, które znają też inni. Na pewno nie do spraw, które inni uważają za warte poznania. Tak czy owak – wzdycha – sporo wiem o mitach celtyckich, druidach. Biblii... – macha piegowatą dłonią. – Wszystko to samo, obojętne, jak się to nazwie.

– Dobrze. A więc może będzie pan nam mógł pomóc, panie Wigan – wyciągam z torby pomięte tłumaczenie i wręczam mu je. – Jednego fragmentu prorocztwa nadal nie umiemy rozwikłać. Madame Berrier opowiedziała nam o Samhainie, ale nie wiedziała, co oznacza wzmianka o kamiennym wężu. Wydawało jej się, że nazwa „Aubur” może być związana z pańską ... specjalnością.

– Bardzo ciekawe – kiwa głową pan Wigan. zaciskając wargi.

– W samej rzeczy ciekawe – kładzie zapiski na kolanach, popija herbatę i wygląda, jakby już nigdy w życiu nie zamierzał nic wyjaśniać.

– Tak? – chrząkam.

– Panie Wigan, musi nam pan powiedzieć – wtrąca się Luisa – czy rozumie pan tę wzmiankę.

Staruszek rozgląda się zaskoczony, jakby ta rzecz nigdy nie ulegała wątpliwości. Wstaje i podchodzi do jednego z pochyłonych regałów, przypatrując się książkom, jakby znał miejsce każdej z nich, mimo że nie są ułożone w żadnym porządku. Nie zajmuje mu to nawet dziesięciu sekund,

żeby znaleźć na półce oprawny w płótno tom. Odwraca się do nas, siada ponownie przy ogniu i, popijając herbatę, przerzuca stronicę.

Luisa tak mocno nachyla się do przodu, iż zaczynam się obawiać, że spadnie z krzesła. Jej wargi zacisnęły się w wąską kreskę i wyobrażam sobie, z jaką siłą woli powstrzymuje się, by nie wyrwać książki panu Wiganowi i nie przejrzeć jej samodzielnie. Pan Wigan nic nie mówi, nawet nie mruży do siebie. Po prostu powoli i uważnie przewraca kartki, zatrzymując się dopiero pod koniec.

Wręcza książkę mnie i objaśnia:

– To miejsce nie nazywa się już Aubur. Dlatego pewnie Sylvia miała kłopot. Aubur to stara nazwa. Teraz mówi się *Avebury*.

Spuszczam wzrok na książkę. Znajduje się w niej ilustracja przedstawiająca kamienie układające się w krąg, w poprzek którego przebiega linia. Nic z tego nie pojmuję.

– Nie rozumiem. Co to jest? – podaję książkę Luisie, bo obawiam się, że dostanie jakiegoś ataku, jeśli zaraz nie pojawi się coś, co przerwie jej czekanie i słuchanie słów pana Wigana.

– Przecież to kamienny krąg! Mniej znany, ale jednak.

Opis pana Wigana pozwala mi przypomnieć sobie.

– Kamienny krąg? Taki jak ten duży w Anglii? Jak Stonehenge?

– Taak, Stonehenge – kiwa głową pan Wigan. – O nim wszyscy wiedzą. Ale jest wiele innych, najwięcej na Wyspach Brytyjskich.

Książka teraz leży na kolanach Soni, która patrzy na pana Wigana.

– I w Avebury. .. też taki jest? Jeden z tych kamiennych kręgów?

– Tak – pan Wigan chyba nie ma nic więcej do powiedzenia.

Luisa pochyla się w moją stronę i pyta:

– A co z kamiennym wężem? I dlaczego Avebury ma w prorocztwie taką dziwną nazwę?

– To właśnie jest ciekawe. Niewiele osób widzi związek między Avebury a wężem, ale gdybyśmy przeprowadzili linię między kamieniami, okazałoby się, że ma ona kształt węża. Węża pełzającego po okręgu.

Na twarzach Soni i Luisy maluje się zapewne takie samo przerażenie jak na mojej: czymże różni się wąż pełzający po okręgu od węża owiniętego wokół okręgu – jak na medalionie i na znamieniu, które nosimy?

– Ale co ma wspólnego z nami jakiś kamienny krąg gdzieś daleko w Anglii? Z nami i z przepowiednią? – chce wiedzieć Luisa.

Biorę ze stołu przetłumaczony tekst i czytam na głos:

– *Zrodzone pierwszym tchnieniem Sambainu w cieniu Mistycznego Kamiennego Węża w Aubur.*

– Patrząc na pana Wigana, kręcę głową.

– Klucze, tu wcześniej jest coś o Kluczach, że pochodzą z okolic Avebury. A co z innymi miastami w tym rejonie? Może jest jakieś miasto koło Avebury, w którym zrobiono te Klucze albo je ukryto? Może miasto znane z pracy ślusarzy?

Pan Wigan drapie się po głowie, w zamyśleniu marszczy czoło.

– No cóż, większość kamiennych kręgów znajduje się w niezamieszkanym okolicach. Ale mam tu coś, co stanowi pewną wskazówkę.

Podnosi się z miejsca i podchodzi do dużego biurka stojącego przy ścianie, zaszypanego różnymi papierami i książkami. Otwiera dużą dolną szufladę i przetrząsa ją, a potem wyjmuje jakiś rulon i wymachuje nim.

– Mam. Chodźcie i zobaczcie.

Nie traci czasu, by uprzątnąć rzeczy na biurku – kładzie i powoli rozwija rulon na ich stercie, aż widzimy, że to mapa. Luisa przytrzymuje rogi kamieniem, dwoma książkami i słoikiem, żeby nie związała się, kiedy będziemy ją oglądać.

Pan Wigan zakłada okulary i wszyscy pochylamy się nad mapą, włącznie z Edmundem. Patrząc mu w oczy i widzę w nich coś, co sprawia, że wierzę, iż nie zdradzi naszego sekretu. Jest najstarszy spośród ludzi zatrudnionych przez mojego ojca. Był jego najstarszym przyjacielem. Komu mam zaufać, jeśli nie jemu?

– Spójrzmy więc. Avebury jest tutaj – pan Wigan koślawym palcem dotyka środka mapy.

W tym kiepsko oświetlonym pokoju dostrzegam tylko trzy niewyraźne litery A, U, B.

– Tak, ale nie sądzę, żeby Klucze znajdowały się dokładnie tam – wpada mu w słowo Luisa, bacznie oglądając mapę i obgryzając paznokcie. – Przepowiednia mówi: *w cieniu Kamiennego Węża, prawda?*

– Tak jest – zgadza się pan Wigan. – Rozumiem, do czego panienka zmierza. Popatrzmy – odsuwa palec na bok. – Tutaj jest miasto Newbury – stuka w miejsce obok tego, które wskazał jako

Avebury. Nie widzę żadnego napisu, ale pan Wigan wydaje się znać tę okolicę, słucham więc, co mówi dalej. – A tu jest miejscowość Swindon – w pokoju znowu rozlega się ciche stuknięcie.

– Tu znów mamy miasto Bath, bardzo znane. Bardzo, bardzo znane. Może... Bath? Angielskie miasto Bath? Przecież... – przerywa mu wypowiedź Sonia.

– Co? – dopytuje się Luisa, podnosząc wzrok. Jej oczy błyszczą w blasku ognia.

Sonia patrzy najpierw na Luisę, potem na mnie.

– Najpierw ta data, a teraz ...

– A teraz co? – mój żołądek gwałtownie się skurczył. Nie wiem, co powie Sonia, ale czuję wirowanie koła Fortuny.

– A teraz Bath – odpowiada. – Tam się urodziłam. Tak powiedziała mi pani Millburn, kiedy zapytałam – że urodziłam się w Bath.

Po jej słowach wszystko zaczyna się stopniowo układać w całość. Patrzę na Luisę.

– Nie urodziłaś się we Włoszech, prawda, Luiso?

– Nie – w pokoju ledwie słychać jej przestraszony szept.

– Ale mówiłaś, że urodziłaś się we Włoszech – strwożony głos Soni rozsypuje się jak szklane paciorki.

– Nie – potrząsa głową Luisa. – Powiedziałam, że *jestem* z Włoch. Bo jestem. Ale moja matka była Angielką. Urodziłam się w Anglii, a potem, jako małe dziecko, wyjechałam do Włoch.

– Jakie jeszcze są tam miasta? – patrzę na pana Wigana.

– W okolicy Kamienego Węża w Avebury?

Nawet on wygląda na podenerwowanego, kiedy spuszcza wzrok i na wszystkie strony jeździ palcem po mapie, aż w końcu znajduje jeszcze jedną miejscowość.

– Tak... Wymieniłem Newbury, Swindon, Bath – przy tej ostatniej nazwie spogląda przelotnie na Sonię, a potem wraca do mapy.

– Poruszając się mniej więcej po tym samym okręgu, znajdziemy dalej Stroud, Trowbridge, Salisbury i Andover. Czy coś wam to mówi, moje drogie? – patrzy wyczekująco na Luisę.

Już zaczynam myśleć, że się mylę, że *muszę* się mylić, gdyż Luisa stoi spokojnie, jak gdyby słowa pana Wigana nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Pan Wigan ciężko wzdycha, przyglądając się kolejny raz mapie, jakby chciał szukać następnych miast i wsi, ale wtedy Luisa zabiera głos.

– Salisbury – mówi cicho. – Urodziłam się w Salisbury.

Cztery Znamiona, Cztery Klucze, Krąg Ognia zrodzone pierwszym tchnieniem Samhainu w cieniu Mistycznego Kamiennego Węża w Aubur. W uszach brzmiały mi słowa przepowiedni i nagle wszystko rozumiem.

– Soniu, o której godzinie się urodziłaś?

– Nie mam pojęcia – mówi Sonia.

– A ty, Luiso? – spoglądam na drugą przyjaciółkę.

– O... Około północy, tak mi powiedziano.

Teraz jestem pewna i one chyba też. Patrzę zdumiona na Sonię i Luisę.

– To wy. Wy i inne osoby z tym samym znamieniem. Wy jesteście Kluczami.

Rozdział XXI

Jesteśmy zmęczone wyjazdem do pana Wigana. Świąteczny nastrój ulatnia się, kiedy w napiętej atmosferze siedzimy przy obiedzie wraz z ciotką Virginią, Alice i Henrym. Ulga jest obopólna, jak sądzę, gdy po deserze udajemy się do swoich pokoi. Mam już na sobie koszulę nocną i przygotowuję się do snu, kiedy pukanie zmusza mnie, bym odeszła od lampy.

Otwieram drzwi i widzę stojące na progu Sonię i Luisę w pantoflach i szlafrokach.

– Jeszcze nie śpicie? Myślałam, że zasnęłyście na dobre.

– Obawiam się, Lia, że sen długo nie nadejdzie – odpowiada, kręcąc głową, Sonia.

– Wejdźcie. Chodźcie do środka – cofam się i przytrzymuję otwarte drzwi.

Luisa wchodzi do pokoju i opiera się o ścianę, podczas gdy Sonia siada na brzeжку łóżka. Siadam obok niej, przyglądając się w blasku ognia jej pobladłej twarzy.

– O co chodzi?

– Rozmawiałyśmy trochę z Luisą i zgadzamy się, że jeśli jesteśmy Kluczami, to im szybciej doprowadzimy prorocstwo do końca, tym lepiej.

– Dobrze – przytakuję, ciężko oddychając. – Ale... czy ty się dobrze czujesz?

Sonia łapie mnie za rękę.

– To było takie... zaskoczenie. Przez chwilę wydawało mi się, że nie dam rady oddychać. Oczywiście wiedziałam, że przepowiednia wyznacza nam jakąś rolę. W przeciwnym razie ja i Luisa nie miałybyśmy znamienia. Jednak naraz przeraziło mnie to, że znalazłyśmy się w takiej sytuacji.

– Rozumiem – uśmiecham się, patrząc jej w oczy. – Ale współpraca jest lepsza niż samotne działanie, prawda?

Sonia odpowiada na mój uśmiech, kiwając głową. Podchodzę do kominka, a potem odwracam się do nich.

– A więc najwyższy czas, abyśmy uczyniły ruch. Nadeszła pora, żeby znaleźć pozostałe Klucze.

– Ale jak? – powątpiewa Sonia. – Chyba musi być nas czworo, jeszcze dwoje poza Luisą i mną.

– Zgadza się. Nie musimy jednak zaczynać od zera, o ile odnajdziemy listę.

– Jaką listę? – pyta Luisa. Po jej twarzy widzę, że całkiem się pogubiła.

– Listę nazwisk, którą sporządził mój ojciec. Pamiętasz? Mówiłam wam kiedyś, że ciotka Virginia powiedziała, iż ojciec szukał jakichś dzieci i miał listę nazwisk i miejsc. To, że znalazł was, wydawało się przedtem przypadkowe, teraz wygląda na bardziej celowe. Jeżeli wszystkie Klucze urodziły się w okolicach Avebury dnia 1 listopada 1874 roku około północy, niezbyt trudno odszukać cztery osoby z tym samym znamieniem. Najprawdopodobniej ty i Sonia byłyście na liście, na której wypisano też inne nazwiska. Jeśli zdobędziemy listę, zanim uda się to Alice, może zdołamy dotrzeć do pozostałych Kluczy.

Rozdrażniona Sonia wstaje, trzymając rękę przy czole.

– Nawet jeżeli będziemy mieć wszystkie Klucze, nie wiemy, jak doprowadzić do rozwiązania przepowiedni.

Napotykam wzrok Luisy, stojącej po drugiej stronie pokoju. Jesteśmy przyzwyczajone do tego, że Sonia zachowuje się spokojnie. Żadna z nas nie wie, co powiedzieć w obliczu tak nieoczekiwanego wybuchu rozpacz.

Odwołuję się do jedynej prawdy, jaką znam.

– Wiem, że to może doprowadzać do szaleństwa. Ale mojemu ojcu potrzeba było prawie dziesięciu lat, żeby dotrzeć do punktu, w którym się znalazł. Dlatego teraz powinien istnieć taki sposób dotarcia do pozostałych Kluczy, by nie trzeba było zaczynać wszystkiego od początku. Jeśli tak, musimy zdobyć listę, i to szybko, bo w rękach Alice stanie się niebezpiecznym narzędziem. Może ci pozostali ujawnią się wobec nas, a może będzie trzeba z mozołem szukać informacji, jak przy rozszyfrowywaniu wskazówek z przepowiedniami.

Sonia siada na sofie i w milczeniu opiera głowę na rękach.

– W porządku, Lia – odzywa się Luisa ze swojego miejsca. Z ulgą dostrzegam, że w jej oczach znowu plonie światło. – Gdzie mamy szukać? Gdzie ta lista może być ukryta?

– Właśnie o tym myślałam. Jest tylko jedna osoba, która wie więcej na temat proroctwa niż ktokolwiek z nas ...

– Kto? – pyta Sonia, podnosząc wzrok.

– Mój ojciec.

Z drugiego końca pokoju przemawia Luisa.

– Ale, Lia ... twój ojciec... mam na myśli to, że ...

– Dobrze wiem, że mój ojciec nie żyje, Luiso. Ale tak się składa, że Sonia może czasami rozmawiać z nieżyjącymi osobami, prawda, Soniu?

Jej oświetlona płomieniem kominka twarz jest gładka jak alabaster i nie zdradza żadnych emocji.

– Tak. Czasami – Sonia podchodzi do mnie i zagląda mi w oczy. – Jednak nie zawsze. Nie panuję nad tym, kto przyjdzie, a kto nie. Nie potrafię kontrolować wiadomości, które przekazywane są z jednego świata do drugiego. I nie dla zachowania pozorów mówię klientom, że działam zgodnie z wolą duchów. To jest prawda.

– Tak, ale przecież mogłabyś spróbować... przywołać go... Spowodować, żeby przyszedł...

– Być może – od powiada po dłuższym namyśle i z mniejszym zapałem, niż się spodziewałam. – A co z ciotką Virginią? Mówiłaś, że kiedyś była Strażniczką. Nie mogłybyśmy po prostu poprosić ciotkę?

– Mój ojciec chował wszystko w tajemnicy. Ciotka wiedziała, że istnieje lista, ale nie domyślała się, gdzie jest ukryta. Znała również tylko część proroctwa. Tę, która dotyczyła jej roli i roli mojej matki. Alice natomiast na pewno nie podzieli się z nami żadną informacją – kręcę głową. – Nie. Musimy porozmawiać z moim ojcem. To jedyny sposób.

– Nawet jeżeli zdołam odnaleźć twojego ojca, duchy w ogóle nie mogą mieszać się w sprawy świata, który opuściły. Mogą opowiadać nam o Pozaświatach i o wszystkim, co znały przed śmiercią, ale nie wiedzą, co się działo w naszym świecie od momentu, kiedy z niego odeszły – przerywa i zaciska wargi, jakby szukała odpowiednich słów. – Kiedy dusza przechodzi do innego świata, jest tak... jakby pomiędzy nią a nami była jakaś zasłona. Czasem jest ona cieńsza i wtedy z duszą można porozmawiać, ale ojciec nie powie ci nic o sprawach, które zdarzyły się po jego śmierci.

Skłamałabym, mówiąc, że nie jestem rozczarowana. Miałam nadzieję na szybką, jasną odpowiedź na temat listy. Lecz nie oznacza to, że ojciec nie będzie nam w stanie w ogóle pomóc.

– Czyli... mógłby nam powiedzieć, gdzie schował ją przed śmiercią?

– Chyba tak – potwierdza Sonia.

W moim sercu unosi się leciutkie piórko nadziei.

– Może lista ciągle jest w tym samym miejscu... Warto spróbować, co? Mieć jakiś punkt wyjścia.

– W porządku – zgadza się Sonia, napotkawszy moje spojrzenie. – Spróbujmy.

Bez zbędnych słów siadamy na podłodze przy kominku w niewielkim kręgu. Szybko chwytny się za ręce, jakby tylko to mogło nas obronić przed tym, co czeka po drugiej stronie naszego świata. Przypominam sobie pierwsze spotkanie w salonie pani Millburn, które wydaje się tak odległe. To nieprawdopodobne, że spotykamy się znowu w Birchwood, siedząc w trochę innym kręgu, bez Alice. Tym razem nasza przygoda może być znacznie bardziej niebezpieczna.

Sonia zamyka oczy. Patrzą na Luisę i jej niewiarygodnie długie rzęsy, które rzucają cień na piękne zaokrąglone policzki. Nie pozostaje mi nic innego, tylko przyłączyć się do przyjaciółek. Zamykam oczy i czekam, nasłuchując cichego oddechu Soni. Nic się nie dzieje, więc podnoszę powieki i widzę, że Sonia przygląda mi się.

– Czy coś się stało? – pytam.

Przełyka ślinę tak mocno, że cała jej szyja faluje.

– Chodzi o to, że... no cóż ... – Sonia śmieje się nerwowo. – Nagle się wystraszyłam. Będziecie mnie pilnować? Gdyby coś się stało, coś było nie w porządku, musicie przerwać krąg i wybudzić mnie z transu.

Wiem, o czym mówi. Też czułam obecność tej mrocznej istoty. Słyszałam tętent nadciągających Duszy, czułam ich ognisty oddech na swoich plecach.

– Będziemy cię pilnować, Soniu. Masz moje słowo.

Sonia kiwa głową i zamyka oczy, by odegnać strach.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Przechodzę w stan prawie hipnotyczny, sprzyja temu cisza panująca w pokoju, przerywana tylko trzaskaniem ognia w kominku. Już przestaję na cokolwiek czekać, kiedy nagle czuję jego zapach, tak jak poprzednim razem. Jakbym czuła zapach tytoniu z fajki i zapach jego ulubionej wełnianej marynarki, nasiąkniętej aromatem cedrowego drewna szafy.

Głęboką ciszę przerywa głos Soni.

– Czy to Thomas Milthorpe? Ojciec Amalii, Alice i Henry'ego? – przerywa, a potem mówi dalej, tym razem łagodniej: – Tak, tak. Będziemy cicho.

Sonia otwiera oczy, jest w nich jakieś niezwykle światło. Niebieskie tęczęwki są jaśniejsze, czarne źrenice bardziej wyraźne. Pokój napęła się dziwną energią, która pulsuje tak mocno, że jest niemal słyszalna. Jednocześnie czuję ciepło i zdumienie. Walczę z odruchem, by zakryć uszy – nie chcę tak silnie odczuwać czyjejś obecności, która przepływa z niewidzialnego świata do mojego pokoju.

– Duchu, zanim przemówi do ciebie Lia, musisz powiedzieć jej coś, o czym wie tylko ona. Tak potwierdzisz swoją tożsamość.

Czekając, aż Sonia przekaze nam odpowiedź ojca, zastanawiam się nad tą prośbą i nad powodem, dla którego została sformułowana. Czuję mrowienie w miejscu, gdzie moja dłoń styka się z dłonią przyjaciółki. Potem to uczucie obejmuje także palce, a w końcu wydaje mi się, że cała ręka płonie. Wtedy słyszę zachrypnięty głos, dochodzący z bardzo daleka.

– Lia, Lia, słyszysz mnie, córeczko?

Nie mogę w to uwierzyć. Słyszę głos swojego ojca, tego jestem pewna, ale nie wiem, jakim sposobem go słyszę, jak mogę kontaktować się ze zmarłym ojcem – bo przecież tylko trzymam Sonię za rękę. Mój wzrok wędruje w stronę Luisy, czuję, że jej dłoń stała się gorąca. Jej oczy są otwarte, pełne przerażenia. Dziewczyna wpatruje się w twarz Soni. Ona także słyszy ten głos.

On zaś dochodzi zarazem zewsząd i znikąd. Zmusza, by uważnie go słuchać.

– Lia ... Słuchaj, mamy wiele do omówienia – głos załamuje się, nieraz w połowie wyrazu. – Dam ci dowód, o który prosi ta dziewczyna umiejąca rozmawiać z duchami, ale musimy się spieszyć. Wkrótce nadejdą... – głos na chwilę od pływa, potem znowu daje się słyszeć. – Lia, córeczko... Pamiętasz, jak chciałaś zbudować tratwę? Henry upuścił... do rzeki i... pamiętasz? Byłaś taka mała, ale wierzyłaś, że zdążysz, jeśli będziesz szybko wiosłować. Budowanie... nigdy nie szło ci dobrze. Pamiętasz, Lia? Ale próbowałaś. Bardzo się starałaś, chociaż... nic nie dało się zrobić...

Do oczu napływają mi łzy. Pamiętam, jak chciałam zbudować prowizoryczną tratwę, aby odnaleźć stateczek Henry' ego; byłam pewna, że zdążę go dogonić, jeśli popłynę w dół rzeki. Koło mnie stała Alice, uparcie powtarzając, że tego nie da się zrobić. Myślę, że nawet biedny Henry zdawał sobie sprawę, że nigdy nie dogonimy zabawki, choć rzeka płynęła powoli, bo deszcz od dawna nie padał. A ja mimo wszystko zbijałam deski w swojej odświętnej sukience, wykorzystując narzędzia i budulec pozostawione przez robotników ojca, kiedy poszli na lunch. Pracowałam zawzięcie, mimo że brakowało mi umiejętności. Kiedy w końcu spuściłam na wodę swoją byle jak skleconą tratwę ratunkową, zatoneła, nim zdążyłam na nią wsiąść. Chyba to ja byłam bardziej załamana niemożnością odzyskania stateczka niż Henry utratą zabawki.

– Pamiętam – szepczę.

Nastaje chwila ciszy, tak że obawiamy się, iż straciłyśmy nasze kruche połączenie z Pozaświatami. Jednak głos powraca, choć słabszy.

– Dobrze, Lia. Dobrze. Musisz znaleźć Klucze. Ja próbowałem... Znalazłem... tylko dwa. Musisz... listę, by zamknąć krąg. Zostawiłem ją ... za... To jedyny sposób, żeby wypełniło się proroctwo. Ty jesteś... To twój... na zawsze... ale nie bez tej czwórki.

Czuję, że się oddala i poznaję to również po jego przerywanej mowie. Energia, która wypełniała pokój, teraz słabnie, przez kilka minut jeszcze narasta, a potem całkiem zanika.

Interweniuje Sonia, która w transie jest bardziej władcza niż na co dzień.

– Panie Milthorpe, musimy znaleźć listę Kluczy. Pan odchodzi... Nie rozumialiśmy, co pan powiedział. Może pan powtórzyć? Może pan jeszcze zostać z nami, panie Milthorpe?

W ciszy czekamy na odpowiedź, aż w końcu słyszymy szept, bardziej zdecydowany niż poprzednio.

– Pst... Nadchodzi. Już... iść. Lia, musisz... listę... są Kluczami. Słuchaj, Henry to wszystko, co zostało z woalu. Jesteśmy... córeczko. My cię...

Potem głos zanika. Czuję brak jego obecności. Pokój, który wcześniej wydawał się zwyczajny, teraz wydaje się pusty – pozbawiony energii mojego ojca. Głowa Soni opada na jej piersi, jakby dziewczyna zasnęła.

– Soniu, skończyło się. Soniu, możesz ...

Tu muszę przerwać. Jej głowa gwałtownie się unosi, niebieskie oczy otwierają się i patrzą prosto na mnie. Coraz silniej czuję dziwne wibracje. Głos, który się pojawia, nie jest ani jej głosem, ani głosem mojego ojca.

– *To niebezpieczna gra, o, Pani.*

Od karku przez całe plecy przepływa mi dreszcz, jak gdyby spłynęła w dół kropla deszczu. Sonia patrzy szklanym spojrzeniem i wiem, że w tej chwili nie jest sobą.

Siedzę wyprostowana, rozważając nasze możliwości działania i próbując zachować spokój.

– Musisz odejść. To nie jest miejsce dla ciebie.

– *Mylisz się. Dlaczego nie pozwolisz mi wejść? Dlaczego szukasz Kluczy, choć to ja mogę dać ci wszystko, czego pragniesz? Zawezwij mnie, Pani, i niech zapanuje Chaos.*

Jestem zahipnotyzowana spojrzeniem tych oczu, które należą i nie należą do Soni. Z niezdrową fascynacją słucham niezemskiego głosu, jaki wychodzi z jej delikatnych ust.

– Odejdź, Duchu. Nie jesteś tu mile widziany – usiłuję panować nad swoją wypowiedzią, ale obecność zła i świadomość, że znalazłam się zbyt blisko czegoś, czego nie pojmuję, wprawia mnie w drżenie.

– *Nie będzie spokoju, dopóki nie otworzysz Bramy* – to śpiew, recytacja tysięcy głosów, słodka i kusząca. – *Otwórz Bramę... Otwórz Bramę... Otwórz...*

Odsuwam się do tyłu i przerywam krąg, a Luisa doskakuje do Soni, łapie ją za ramiona i potrząsa nią.

– Soniu, obudź się, Soniu! Musisz wracać!

W jej prośbach słyszę coraz większą panikę i ponaglenie. Luisa wciąż potrząsa Sonią, z której ust nadal wydobywają się niewyraźne, zniekształcone słowa Ducha.

– *Już czas... Czas, aby zapanował Chaos.*

Ciało Soni staje się sztywne, a jej twarz wykrzywia grymas ogromnego przerażenia i bólu. Dziewczyna osuwa się na podłogę. Wówczas ja również odczuwam ulgę. Przysuwam się do niej i kładę sobie jej głowę na kolanach.

– To straszne! To straszne! – uparcie powtarza swój refren Luisa.

Dopiero po chwili, gdy ustaje łomot mojego serca, mogę mówić.

– Soniu! Obudź się, Soniu! Wracaj! – przemawiam do niej surowo, zmuszając ją do powrotu całą mocą mojego strachu.

Nie dociera do mnie fakt, że nie zachowujemy się cicho. Wszystkie ziemskie sprawy przestały nas obchodzić tu, w zaciszu pokoju. Dopiero gdy szybko otwierają się drzwi, i równie szybko zamykają, zaczynam rozumieć, że narobiłyśmy hałasu w uśpionym domu.

Po podłodze zbliżają się do nas szybkie, lekkie kroki. Uświadamiam sobie obecność ciotki Virginii, a ona już nachyliła się ku nam, obejmując jednym spojrzeniem przerwany krąg, trwogę na naszych twarzach i śmiertelnie bladą Sonię leżącą na podłodze z zamkniętymi oczami.

Ciotka patrzy na mnie z udręką.

– Co wy tu robicie? Och, Lia! Cóż uczyniłaś!

Rozdział XXII

– Czuję się tak, jakby głowa miała mi zaraz pęknąć na pół. – Sonia leży w łóżku przyoknie, a jej włosy rozpostarły się na poduszce jak błyszcząca sieć.

Nie przychodzi mi na myśl nic, co mogłabym jej powiedzieć, bo to wszystko była moja wina. Gdybym nie namawiała Soni, żeby spróbowała przywołać mojego ojca, nie padłaby ofiarą tego przerażającego wydarzenia z Duchem.

– Czy ty... czy nic ci się nie stało? – pyta łamiącym się głosem Luisa. Wiem, że nie ma pewności, co można wyjawić w obecności ciotki Virginii.

– Chyba nic... Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze – odpowiada Sonia, ścisnąwszy skronie. Ona także ostrożnie mówi o zdarzeniach, w których brałyśmy udział, kiedy nadeszła ciotka.

Ciotka Virginia natomiast traktuje całe zajście w inny sposób. Upewniwszy się, że jej podopiecznej nic się nie stało i że wkrótce poczuje się lepiej, wstaje i pyta:

– Co wy wyprawialiście? Co wyście myślały? Nie wiecie, jakie niebezpieczeństwa czają się w Pozaświatach?

Nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co spowodowałam.

– To moja wina. Chciałam porozmawiać z ojcem. Namówiłam Sonię na ten seans, żeby... skontaktować się z nim.

Na jej twarzy nie widać niedowierzania, jedynie spokój i trwożną akceptację.

– Nie rozumiecie, z czym igracie – ciotka przypatruje się każdej z nas po kolei, nawet Soni, która kuli się pod jej spojrzeniem, jakby jej obolałą głowę sparzył gorący promień słońca.

Zbliżam się do ciotki, a w żyłach wzbiera mi gniew.

– Z pewnością rozumiałabym więcej, gdybyście tylko ty lub ojciec, lub matka, lub ktokolwiek inny, powiedzieli mi coś, gdy była na to pora! A teraz muszę sama krążyć w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, których nie pojmuję! Szukałyśmy informacji już wszędzie, żeby tylko rozwikłać zagadkę proroctwa. I wiesz co? Znalazłyśmy wyjaśnienie! Tak! Ale to nie było takie proste!

Czuję, że ogarnia mnie szaleństwo, że coś spycha mnie na sam brzeg wielkiej przepaści, w którą wolę wskoczyć sama, niż dalej znosić ten strach.

– Klucze to dzieci, ciociu Virginio. Te, które ojciec znalazł i których nadal szukał, nim zmarł. Ale mamy tu tylko Sonię i Luisę. Żeby znaleźć pozostałe, musimy mieć listę. Myślałam, że ojciec powie mi, gdzie ją schował, rozumiesz? Dlatego poprosiłam Sonię, żeby nawiązała kontakt z ojcem. – Jestem tak wściekła, że brakuje mi tchu. Ciężko oddycham, jakbym przebiegła długi dystans, podczas gdy tylko wyrzuciłam z duszy całą gorycz i poczucie winy, które wisiały u mojej szyi niczym stryczek.

Ciotka Virginia osuwa się na łóżko obok Soni.

– To niemożliwe – mówi szeptem.

Siadam obok niej, moja furia słabnie.

– Tak jest. Tak być musi. Ciociu Virginio, dziś poznałyśmy kogoś, kto pomógł nam znaleźć od powiedź.

Biorę jej rękę w swoje dłonie i opowiadam o wizycie u Madame Berrier, a potem u pana Wigana, mając nadzieję, że ciotka posiada brakujące informacje i doprowadzi nas do listy.

– Czy masz jakiś pomysł, czy domyślasz się, gdzie ojciec mógł ją schować? – pytam, ukończywszy relację.

Oczy ciotki Virginii są wciąż zamglone ze zdumienia. Uświadamiam sobie, że popadła w jakieś otępienie, że jej dusza zaprzecza temu, co wie jej umysł.

– Nie mam pojęcia, Lia. Mówiłam ci, że nigdy mi jej nie pokazał. Był bardzo tajemniczy w związku z tą sprawą – teraz rozumiem dlaczego. Zgodnie z przepowiednią, by związać Bestię, potrzebne są cztery Klucze. Skoro to są ludzie... Gdyby ich tożsamość wyszła na jaw, to... – patrzy ze strachem na Sonię i Luisę – byłiby w ogromnym niebezpieczeństwie.

Wiem, że przypomniała sobie o Alice. Myśl, że moja siostra jest zagrożeniem dla Soni i Luisy, jest dla mnie przerażająca.

– Czy sądzisz, ciociu, że powinny zniknąć z Birchwood? Że powinny wyjechać od razu, zanim Alice odkryje to, czego my dowiedziałyśmy się teraz?

Odpowiedzi jednak nie udziela mi ciotka, lecz Luisa, siedząca z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Nie wiem, co postanowi Sonia, ale ja nie mam zamiaru wyjeżdżać. Ta bitwa jest również moja i chcę w niej walczyć. Poza tym Alice może jeszcze nie wiedzieć o Kluczach. Nasz niespodziewany wyjazd na pewno niepotrzebnie zwróciłby jej uwagę.

Sonia wstaje, mrugając oczami i trzymając się za głowę.

– Luisa ma rację. Jeśli wyjedziemy teraz – a miałyśmy zostać do niedzieli – będzie spore zamieszanie. Poza tym nie wiemy, kiedy znów będziemy mieć czas, żeby poszukać Kluczy. Oprócz tego, w Pozaświatach jest wiele strasznych rzeczy. Nie obawiałabym się jakiejś dziewczyny, nawet jeżeli tą dziewczyną jest Alice.

Nie znają Alice – myślę. Nie wiedzą, do czego jest zdolna.

Lecz nie mówię tego na głos, bo bez względu na to, jaka jest Alice, jest też moją siostrą. Ponadto wszyscy przyjmujemy na siebie jakieś ryzyko, starając się doprowadzić przepowiednię do końca.

Jestem jednak oszołomiona ogromem zadań, który nas czeka, i niebezpieczeństwem, jakie się z tym wiąże. Jak mamy znaleźć dwa brakujące Klucze? Nawet jeśli zdobędziemy listę, to Sonia i Luisa są najlepszym dowodem na to, że Klucze mogą znajdować się w każdym miejscu na świecie.

– Co się stanie, ciociu Virginio, jeśli nie odnajdziemy Kluczy?

Jeżeli nam się nie uda?

Ciotka zagryza wargi, podchodzi do komody stojącej między łózkami i wyciąga coś z szuflady. Gdy wraca do nas, trzyma w ręku małą Biblię. Dłonie jej drżą, kiedy przerzuca kartki znajdujące się na końcu tomu. Bez zbędnych wstępów zaczyna czytać:

– Potem postyszałem donośny głos ze świątyni, mówiący do siedmiu aniołów: "Idźcie, a wylejcie siedem czasz gniewu Boga na ziemię!". I poszedł pierwszy, i wylał swą czaszę na ziemię. A wrzód złośliwy, bolesny, wystąpił na ludziach, co mają znamię Bestii, i na tych, co wielbią jej obraz. A drugi wylał swą czaszę na morze. I stało się ono krwią jakby zmarłego, i każda z istot żywych poniosła śmierć – te, które są w morzu. A trzeci wylał swą czaszę na rzeki i źródła wód: i stały się krwią. I usłyszałem anioła wód, mówiącego...

– Siedem Plag – szeptem wtrąca Luisa.

– Zgadza się – ciotka Virginia zamyka Biblię, podnosząc wzrok na Luisę,

Luisa zwraca się do mnie.

– Siedem Plag to w Biblii oznaka końca świata. Powrotu do bezbrzeżnego chaosu, który panował przed początkiem czasu.

Do mojej układanki zaczyna pasować jeszcze jeden element. *Śmierć, Głód, Krew, Ogień, Ciemność, Susza, Zniszczenie*. Tyle razy czytałam już słowa przepowiedni, odkąd znalazłam książkę, że nigdy ich nie zapomnę.

– Tak – potwierdza ciotka. – Biblia ukazuje plagi jako koniec, który poprzedza nowy początek panowania Boga jasności nad światem. Ale Biblia to spisana księga i jak każdy dokument na piśmie, tłumaczony na mnóstwo języków i przekazywany z pokolenia na pokolenie przez tysiące lat, zawiera rzeczy być może nieco odbiegające od prawdy. Brakuje w nim natomiast tego, co czasami jest bardziej prawdziwe.

– Co to znaczy? – pytam.

Ciotka ujmuje moją dłoń w swoje ręce.

– Plagi są po prostu znakiem końca. Końca takiego świata, jaki znamy, i początkiem świata, w którym na wieczność zapanuje Bestia. Jeżeli nie zdołacie odnaleźć Kluczy i zamknąć Kręgu, Samael znajdzie sobie przejście i będzie za późno. Spadnie Siedem Plag, które wywołają wielkie cierpienia i zniszczenie, nim nastąpi koniec. Nic innego – po prostu koniec.

Z wściekłością protestuję, kręcąc głową, myśląc o Henrym, Luisie, Soni i ciotce Virginii.

– Ale to ja jestem Aniołem! Każdy tak mówi. Mam wybór. Jeśli odmówię mu przejścia, nie wejdzie! – brzmi to dziecinnie nawet dla mnie samej.

– Żałuję, że tak nie jest, Lia – ciotka patrzy mi w oczy. – Samael wykorzysta twoją słabość. Zaczai się i zaczeka, aż zaśniesz. Wyśle przeciwko tobie swoją Armię – te oddziały, które zebrał w Pozaświatach, i te, które zdołały się przedostać do naszego świata. Wykorzysta przeciwko tobie tych, których kochasz najbardziej. Przez pewien czas będziesz mogła walczyć, ale obawiam się, że niezbyt długo. Armia zbiera się już od stuleci, czekając na swojego króla. Czekając, aż otworzy się dla niego Brama, aby mógł zacząć swoje rządy terroru. Czekając na ciebie, Lia. Oni tak łatwo nie zrezygnują. *Musisz znaleźć listę. Musisz znaleźć pozostałe Klucze. I to szybko.*

* * *

Nie chce mi się spać. Odnalezienie informacji, których poszukiwałam, nie przyniosło mi takiej ulgi, jakiej pragnęłam. Zastanawiam się, czy Sonia i Luisa są równie niespokojne. Jest wiele do

zrobienia, ale już późno. Zdecydowałyśmy, że przeszukamy bibliotekę jutro, w jasnym świetle dnia. Książka była w bibliotece, to może będzie tam i lista.

To jedyne miejsce, które przychodzi mi do głowy, jeżeli chodzi o rozpoczęcie poszukiwań.

Nie rozmawiałyśmy o tym, co zrobimy, kiedy ją odnajdziemy, ani o tym, jak będziemy poszukiwać pozostałych Kluczy. Nie zostało to nigdy powiedziane, ale wszystkie rozumiemy, że musimy posuwać się krok za krokiem, inaczej wpadniemy w obłąd.

Siedzę oparta o drewniane wezgiłowie łóżka, wciąż czuwam. Nadgarstek obwiązałam sobie wstążkami. Nawet jeśli medalion odnajdzie drogę do mojej ręki, nie zdoła się dopasować do znamienia, chyba że wstążki zostaną rozsuptane. Tak zresztą może się stać – w związku z tym, co wiem i czego jeszcze nie wiem. Medalion znalazł się przecież na moim przegubie w jakiś niewyobrażalny, niemożliwy wręcz sposób, a co dziwniejsze – wrócił do mnie z odmętów rzeki. Cóż można zrobić – tylko pogodzić się z tym, że jest mój.

I starać się nie założyć go, nie otworzyć Bramy.

Rozdział XXIII

Stoję pośrodku pustego pola. Otaczające mnie wzgórza i łagodne doliny przypominają mi jakieś miejsce; wydaje mi się, że rozpoznaję jedno z wielu pól, jakie rozciągają się wokół Birchwood Manor. Ale wysoka trawa i potężne dęby rosnące na jego skraju wyznaczają granicę mojego wspomnienia i poczucia bezpieczeństwa.

Niebo jest złowrogo szare, jakby odbijały się w nim tutejsze spopieliałe niwy, zupełnie nieprzypominające bujnych, złotych łąków przez dużą część roku kołyszących się dookoła naszej posiadłości. Linia drzew obrzeżających pole jest tak czarna, że prawie przechodzi w fiolet. To ugór, znajomy i zarazem obcy w swojej posępności. Przez cienki materiał mojej koszuli nocnej wgryza się chłód, a stopy mam mokre od rosy, bo stoję wśród przywiedłych traw.

Wstążki nadal są oplątane wokół nadgarstka. Medalionu tam nie ma. Tej nocy Bestia nie przejdzie przez Bramę. Nie czuję jednak takiej ulgi, jak powinnam. To jasne, że zostałam wezwana. Bez wątplenia dowiem się przez kogo i w jakim celu.

Chodzę w kółko i patrzę w dal, starając się zorientować w sytuacji. Nie mam pewności, ale wzgórze po lewej stronie wydaje się znajome. Usiłuję podjąć decyzję, co robić dalej, kiedy coś przyciąga mój wzrok. Coś niewielkiego, poruszającego się w moją stronę. Wytężam oczy i obserwuję, kształt staje się wyraźniejszy, a spokojny, pełen gracji krok zdradza, że nadchodzi jakaś osoba.

W moim kierunku idzie człowiek.

Nie ma sensu stać i gapić się. Ktokolwiek to jest, zaraz tu dotrze. Zaczynam iść w stronę tej postaci, która teraz znajduje się znacznie bliżej. Na początku myślę, że to Sonia. Spośród osób, które widywałam podczas swoich podróży, tylko ją rozpoznaję, jeśli nie liczyć Dusz. Ale nadchodząca osoba jest już na tyle blisko, że najpierw widzę jej sukienkę, a potem twarz. Uświadamiam sobie, że to Alice.

Zatrzymuję się, bo wcale nie mam ochoty przyspieszać zdarzeń, w związku z którymi sprowadzono nas obie do tej martwej krainy. Alice idzie dalej, aż wreszcie staje wprost przede mną. W kącikach jej ust błąka się uśmiech, nie mam więc wątpliwości, kto tutaj jest górą i kto przywołał mnie na spotkanie.

– Zdziwiona?

– Raczej nie – wzruszam ramionami. – Kogo innego miałabym tu spotkać?

Alice uśmiecha się teraz szeroko i przez chwilę wygląda jak kiedyś – jak przejęta dziewczynka, która klaszcze w dłonie, ponieważ ojciec przywiózł nam prezenty z jednej ze swoich rozlicznych podróży.

– No cóż, różnych ludzi, różne rzeczy, które tu są, Lia.

– Dlaczego mnie wezwałaś, Alice?

Moja siostra przestaje się uśmiechać, widząc wstążki na moim nadgarstku. Już nie mówi tak łagodnym głosem jak na schodach. Jej twarz przybiera kamienne rysy, do których zdążyłam się przyzwyczaić.

– Dlaczego nie używasz medalionu do celu, dla którego istnieje? Dlaczego walczysz z potężną przepowiednią i przeciwstawiasz się zaszczytnej roli, jaką ci wyznaczono, Lia?

Z gardła wyrывa mi się lekko obłąkany śmiech.

– Dlaczego, Alice? Rzeczywiście, dlaczego? Mam więc zapomnieć o środkach ostrożności i pozwolić temu, co chce za moją sprawą powrócić, by powróciło?

Alice podnosi głos.

– Czemu nie? Dlaczego musisz tak wszystko utrudniać? Mówiłam ci już, że będziesz pod opieką. Myślisz, że Dusze chciałyby skrzywdzić pomocnicę ich króla? Czego się boisz?

– Nie boję się o siebie, Alice. Co się stanie ze światem rządzonym przez Bestię? Na co przyda się nasze bezpieczeństwo, skoro ci, których kochamy, będą musieli żyć w świecie ciemności?

– Samael od wieków błąka się w Pozaświatach. Hojnie wynagrodzi tego, kto w końcu go zawezwie. Wszystko, czego zapagniesz, będzie twoje. Będziesz traktowana jak królowa. Po to się urodziłaś – jej oczy wyglądają jak mroczne odmęty rzeki.

– A może to ty się mylisz, Alice? Może dla ciebie celem jest wypełnianie roli Strażniczki, bo po to się urodziłaś. Może naszym celem jest wspólne działanie. Współpracując, mogłybyśmy zapewnić światu bezpieczeństwo. Mogłybyśmy znaleźć sposób, by zakończyć przepowiednię raz na zawsze. Czy nie chciałabyś raczej mieć swojego udziału w tym, co dobre w prorocztwie?

Te słowa nie odnoszą zamierzonego skutku. Twarz Alice jeszcze bardziej kamienieje, gdy moja siostra mówi:

– Czy tego właśnie chcesz, Lia? Mieć swój udział w idealnym dobru, o czym nikt nawet nie będzie wiedział? Dla niego ryzykować życie? Myślisz, że to wystarczy? Nie wystarczy. Na pewno nie mnie. Możemy mieć taką władzę, jakiej na świecie nie miał nikt od czasów Maari, ostatniej siostry, która była na tyle rozsądna, by ją zagarnąć, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

Nie potrafię ukryć zaskoczenia.

– Co? Myślałaś, że nie wiem? Myślałaś, że nie znam opowieści, która dotyczy nas i naszej matki?

– Nie byłam pewna, na ile ją znasz. Książka ...

Alice znów wybucha śmiechem, przechadzając się naprzeciwko mnie i nie zostawiając w wysokiej trawie żadnych śladów.

– Książka! – mówi z przekąsem, podchodząc bliżej. – Myślisz, że to jedyny sposób, żeby poznać tę opowieść? Tak nie jest, Lia. Mam inne metody, żeby dowiadywać się różnych rzeczy.

Spaceruje wokół mnie i jej głos dochodzi teraz spoza moich pleców. To taki chytry zabieg, żeby mnie zdenerwować. Nadal patrzę więc w tę samą stronę, nie chcąc się obrócić twarzą do Alice.

– Samael i jego Dusze wezwali mnie dawno temu, Lia. Przemawiali do mnie, gdy byłam jeszcze w kołysce, i wciąż do mnie mówią. Pierwszy głos, jaki słyszałam w życiu, nie należał do naszej matki ani nawet do ciebie, mojej siostry bliźniaczki. Pamiętam, że najpierw poznałam głos Dusz. Pewnie wiedziały, że ty jesteś... słaba. Pewnie spodziewały się, że nastąpi pomieszanie skłonności w związku z komplikacjami przy naszym urodzeniu. A może po prostu chciały być pewne, że jedna z sióstr będzie pracować na ich korzyść. – Alice zatoczyła już koło i stoi przede mną, ale zwróciła się twarzą w stronę pustego pola i otworzyła ramiona, jak gdyby chciała je objąć. – Wszystkiego mnie nauczyły. Jak podróżować, jak nakłonić innych do podróży... – odwraca się do mnie i mogłabym przysiąc, że w jej głosie słychać miłość. – Wszystkiego.

Podczas gdy mnie nie nauczono niczego – myślę, Wracam pamięcią do słów Soni i jej zapewnienia, że istoty z Pozaświatów nie mogą niczego zmienić w naszym świecie. I wtedy zdaję sobie sprawę, że Dusze nie złamały tego prądowego prawa. Nauczyły Alice, jak korzystać ze swoich wrodzonych umiejętności, lecz jej los wciąż pozostał jej losem. Wybór nadal należał do niej. Dokonała wyboru, a to, że tak łatwo posłuchała zła, jest tylko jej winą.

Nie Dusz.

Alice wykorzystuje chwilę milczenia i zwraca się do mnie cichym, łagodnym głosem mojej dawnej siostry:

– Sama sobie narobisz kłopotu, Lia. Samael w końcu dopnie swego. Dokona tego, obojętne, czy przyjmiesz go z otwartymi ramionami, czy zmusi cię, żebyś go wpuściła – nie możesz równać się z taką potęgą. Nie wybierzesz łatwiejszego rozwiązania? Skutek będzie zawsze taki sam, więc co za różnica?

Co za różnica? Słowa te odbijają się echem od wzgórz porośniętych twardą, zrudziałą trawą.

Myślę o swojej matce, która porzuciła wszystko, co ukochała, aby uwolnić się od swojego dziedzictwa. Myślę o siostrach, które przyjdą po nas – córkach moich lub Alice. I o ciotce Virginii, która nas wychowywała, pilnowała przez te długie lata, obserwując, która będzie Strażniczką, a która Bramą. Obrazy te pojawiają się przede mną jak błysk, a potem nie zostaje mi już nic tylko zawodzenie wiatru.

– Nie – mówię to tak cicho, że sama ledwie mogę dosłyszeć. Alice pochyla się w moją stronę, a jej uśmiezek świadczy, że słowo do niej dotarło.

– Co powiedziałaś, Lia? – daje mi jeszcze szansę, bym mogła udać, że nie odmówiłam i powiedzieć drugi raz coś innego.

Muszę odkaslnąć, żeby moja wyraźna odpowiedź nie budziła wątpliwości.

– Powiedziałam „nie”. Decyzja należy do mnie i podejmuję ją. Zakończę bieg przepowiedni na zawsze.

Alice przypatruje mi się bez ruchu, a potem na jej wargi po-raca przebiegły grymas.

– Jak masz zamiar to zrobić, Lia? Nawet jeśli poświęcisz samą siebie, jak uczyniła nasza droga rodzicielka, proroctwo będzie obowiązywać i przechodzić z matki na córkę, z jednych sióstr na drugie. Jedyńm sposobem jest poddać się Duszom. Wiesz, że potrafią cierpliwie czekać.

Jeszcze raz słyszę słowa ciotki Virginii: *On wykorzysta twoją słabość. Zaczai się i zaczeka, aż zaśniesz. Wykorzysta przeciwko tobie tych, których kochasz najbardziej.*

– Wolałabym umrzeć – jestem zdziwiona swoją własną stanowczością i tym, że faktycznie tak myślę.

Alice przysuwa się bliżej, tak blisko, że czuję na twarzy jej ciepły oddech.

– Są gorsze rzeczy niż śmierć, Lia. Myślałam, że wiesz o tym. – Prostuje się i wpatruje we mnie. Wtedy słyszę, jak nadchodzą.

Wydeptują sobie drogę w poprzek nieba. Najpierw słyszę jakby daleki huk gromu, który przeradza się w crescendo tysiąca kopyt, pędzących w stronę, gdzie stoję wraz z Alice. Patrzę

w górę, na poczerniałe niebo. Wiatr, który wcześniej przedziwnie zawodził, teraz zmienił się w ryczącego potwora. Okręca nam włosy wokół twarzy, tak że musimy odgarniać ich pasma, by coś widzieć.

– Posłuchaj, Lia. Mimo że ty jesteś Aniołem, ja potrafię wezwać Dusze, kiedy zechcę. One wiedzą, która siostra jest wierna prorocत्वu. Przychodzą do mnie, bo to ja jestem prawowitą Bramą – triumfalnie przekrzykuje huczący wiatr. – Będziemy działać razem, Dusze i ja, tak długo, jak będzie trzeba. Szkoda, że tak jest, Lia. Ale dokonałaś wyboru, a teraz ja muszę podjąć decyzję.

Podczas gdy nade mną zbierają się Dusze, w zakamarkach pamięci odnajduję myśl, że to niemożliwe, że będę pod opieką, tak jak po ostatnim locie ponad morzem. Nie da się jednak za przeczyć, że jestem bezsilna. Nie mogę się ruszyć. Nic łącząca mnie z ciałem, którą czułam tak mocno podczas poprzednich podróży, być może została przerwana, a ja zostałam sama w posępnym Pozaświecie.

A więc to takie uczucie, kiedy jest się zatrzymanym. Oddzielonym od ciała. Kiedy czeka się na przeniesienie w Pustkę. Taki jest ostatni przeblysłk mojego racjonalnego myślenia.

Niebo nad moją głową jest coraz ciemniejsze i zaczyna wirować tak, że obawiam się, iż ten czarny wir mnie wciągnie. Resztki sił opuszczają mnie. Chcę runąć na ziemię i zasnąć, tylko spać. Ogarnia mnie zdradliwy bezwład.

– Lia! – z daleka, od strony pól, dobiega jakiś głos. Unoszę głowę, aby rozpoznać, kto mnie woła.
– Lia!

Z oddali biegnie do nas jakaś postać i wykrzykuje moje imię. Alice jest równie zdumiona jak ja, patrzy z zainteresowaniem i rozdrażnieniem. Nawet ciemność ponad nami wydaje się wahać.

Postać zbliża się do nas szybciej, niż byłoby to możliwe w zwyczajnym świecie. Pędzi przez pola tak prędko, że kształt jej twarzy rozmywa się. Po chwili wpada na mnie z taką siłą, że na moment zapiera mi dech i wtedy widzę, że to ciotka Virginia.

Nie mam czasu nic powiedzieć, podziękować, czy zapytać o jej bezpieczeństwo. Chcę sięgnąć i złapać ją za rękę, zabrać ją ze sobą, ale wszystko na próżno. W chwili, gdy ciotka mnie dotyka, czuję ostre szarpnięcie nici łączącej mnie z ciałem i coś mnie ciągnie, ciągnie z powrotem. Alice, ciotka Virginia i ciemność ponad nimi stają się coraz mniejsze i mniejsze, a ja powracam tą samą drogą, którą przybyłam – ponad tą martwą krainą.

Rozdział XXIV

– Lia – ktoś cicho puka do drzwi. – Wstałaś już?

Siadam na łóżku i z ulgą słyszę dochodzący z zewnątrz głos ciotki Virginii. Bez względu na to, co wydarzyło się w Pozaświatach, ocalała.

– Tak, wejdź, ciociu.

Ciotka Virginia z wahaniem wchodzi do środka, zamykając za sobą drzwi, i siada na brzegu łóżka. Na początku nie mówi nic, a kiedy się odzywa, starannie dobiera słowa.

– Zanim zaczniesz podróżować, Lia, musisz poznać reguły panujące w Pozaświatach.

– Wiem, przepraszam – kiwam głową. – Nie miałam zamiaru podróżować. Czasami, nawet jeśli się opieram, trafiam tam wbrew swojej woli.

– Przyzywają cię, Lia. Wiedzą, że muszą mieć cię teraz, zanim staniesz się bardziej pewna siebie, zanim będziesz lepiej kontrolować swoje umiejętności i zanim znajdziesz wszystkie Klucze mówi ciotka z poważnym wyrazem twarzy. – Kiedyś nauczysz się panować nad okolicznościami podróży, choć zawsze do pewnego stopnia będziesz narażona na zakusy Dusz.

Ciotka wygląda mizernie, a zmarszczki wokół jej oczu są głębsze niż jeszcze kilka dni temu.

– Dobrze się czujesz, ciociu? Nic ci się nie stało? Odpowiada mi słabym uśmiechem, a spojrzeniem opowiada historię swojego zmęczenia.

– Czuję się dobrze. Nie jestem już tak młoda jak kiedyś, ani tak silna. Jest wiele powodów, dla których każde nowe pokolenie musi przyjmować na siebie odpowiedzialność związaną z proroctwem.

– Jak... jak je powstrzymałaś?

– Nie musiałam – ciotka wzrusza ramionami. – Pomogłam twojej duszy połączyć się z nicią astralną, a potem na chwilę zatrzymałam je, dzięki tej niewielkiej sile, jaką jeszcze posiadam, a to wystarczyło, żebyś zdołała im uciec. Kiedyś byłam Strażniczką, przecież wiesz – dodaje z dumą w głosie.

– A więc to tak? Kiedy nowa Strażniczka i Brama zaczynają sprawować swoje funkcje, ich poprzedniczki nie mają żadnej władzy w Pozaświatach?

Ciotka podnosi wzrok, zastanawiając się nad wyjaśnieniem.

– W pewnym sensie tak, choć zachowujemy część swoich umiejętności, nawet gdy nasz czas przemienie. Jedne mają większą moc niż inne, choć nie umiem ci powiedzieć dlaczego. Abigail, siostra twojej babki, a mojej matki, była jedną z najpotężniejszych Strażniczek w dziejach. Była zdolna do tak wielkich czynów... Walczyła z Duszami z taką mocą, że w Pozaświatach nadal się ją wspomina.

– Co się z nią stało?

– Odeszła... – mówi słabym głosem ciotka. – Kiedy twoja babka, czyli jej siostra zmarła, Abigail po prostu zniknęła.

Nie wiem, jak skomentować tę dziwną opowieść z historii rodziny, powracam więc do spraw bardziej aktualnych.

– Przykro mi, że musiałaś interweniować, ciociu, że musiałaś ryzykować. Myślałam, że jestem bezpieczna, bo ostatnim razem...

– Jakim ostatnim razem? – pyta przerażona ciotka. Przygryzam wargę. Czuję się winna, że nie przyznałam się do wszystkiego wcześniej. Nie ufałam ciotce tak, jak powinnam.

– Ostatnim razem, kiedy po mnie przyszły, zostały powstrzymane.

– Co to ma znaczyć? – dopytuje się ciotka Virginia.

– Wtedy nie wiedziałam, że jestem w podróży. Myślałam, że gonią mnie w moim śnie, gdy śni mi się, iż latam po niebie. Wówczas ostrzegła mnie Sonia. Gdyby nie ona, nie miałabym szans. Były bardzo blisko, mogłyby mnie zatrzymać, ale w ostatnim momencie coś im przeszkodziło. Nie mogły mnie tknąć, chociaż bardzo chciały. Miałam nadzieję, że tym razem będzie tak samo. Dlatego nie wracałam natychmiast – wzruszam ramionami a potem, kiedy zrozumiałam swój błąd, było za późno.

Twarz ciotki nieruchomieje.

– Na pewno się mylisz. To, co opisałaś, wygląda na interwencję z użyciem... zakazanej magii.

– Zakazanej magii? – czuję chłód na skórze. – Nie znam się na magii.

Oddech ciotki staje się tak szybki, że widzę, jak jej pierś unosi się i opada. Oczy wpatrują się w ścianę nad łóżkiem. Nagle ciotka Virginia wstaje i patrzy na mnie z bezgranicznym strachem.

– Lia, wstań i pomóż mi.

* * *

– Nie powiesz mi, po co to robimy, ciociu?

Odsunęliśmy na bok stoliki nocne, żeby mieć więcej miejsca.

Stoimy teraz po obu stronach mojego ciężkiego łóżka, próbując zepchnąć je z dywanu.

Stojąca naprzeciwko ciotka Virginia napotyka mój wzrok. Jej rozpuszczone włosy luźno opadają na zielony szlafrok.

– Jeszcze nie teraz. Nie wiem, czy mam rację. Poza tym nie musimy przesuwać go daleko. Tylko kawałek. Tyle, żeby trochę odwinąć dywan.

– Dobrze, a więc tylko kawałek. Bierzmy się do roboty. Ty popchnij, a ja pociągnę.

Łóżko nie jest jednak aż tak ciężkie, jak mogłoby się wydawać ze względu na rzeźbione nogi i wezłowie. Zsuwamy je z dywanu pod kątem, co daje nam dostęp do rogu. Ciotka Virginia schyla się i chce go szybko odwinąć, ale potem cofa rękę, jakby się wahała.

– O co chodzi?

– Nie chcę mieć racji. Nie w tej sprawie – podnosi głowę ciotka i napotyka moje spojrzenie. Głośno wciąga powietrze do płuc, jak gdyby zbierała siły. A potem odchyła róg dywanu i ciężko wzdycha, widząc, co było pod nim ukryte. Nie znam tego symbolu wrytego w drewnianej podłodze, mimo to na moich ramionach i karku pojawia się gęsia skórka.

– Co to jest? – pytam szeptem.

Ciotka Virginia nie odrywa oczu od znaku na deskach.

– To jest... to *było* zaklęcie. Rzucono je po to, by otulało cię ochronnym płaszczem, kiedy spałaś – ciotka patrzy na mnie.

– Krąg jest odwiecznym symbolem ochrony, Lia. Jeśli ktoś ma dostateczną moc, może rzucić zaklęcie, które będzie bronić człowieka znajdującego się wewnątrz kręgu oraz nie dopuszczać określonych osób.

Jej słowa brzmią w moich uszach. Nagle przypominam sobie Alice siedzącą w kręgu w Ciemnym Pokoju, w środku nocy. Pamiętam swoją bezsilność, niemożność przekroczenia zewnętrznej granicy koła. A potem przypominam sobie jeszcze słowa ciotki Virginii na temat mojej matki: *Była Zaklinaczką*.

Przechyliam głowę, żeby lepiej przyjrzeć się znakowi. Mimo że odstłoniłyśmy tylko skrawek, wcale nie wygląda jak krąg. Dzielę się tą uwagą z ciotką Virginia, która wstaje z podłogi. Drży, cała się trzęsie, chociaż Ivy dołożyła do ognia niecałą godzinę temu i w pokoju jest ciepło.

– Bo to nie jest krąg, Lia. Już nie. Ktoś zdjął zaklęcie. Zdrapał krąg i zniweczył ochronę, jaką zapewniał. Ktoś, kto chciał, żebyś podczas podróży w Pozaświatach była bezbronna.

Czuję, że ciotka mi się przygląda, ale nie odważę się odwzajemnić jej spojrzenia – boję się, że wybuchnę płaczem lub krzykiem.

Pozostałości kręgu są niewyraźne, ktoś wyłobił go dawno temu. Ale nowe wyłobienia, szramy szpecące stary krąg były zrobione niedawno, jak krąg wryty w podłodze Ciemnego Pokoju. Ciotka Virginia nie musi ujawniać, kto to zrobił i naraził mnie na tak wielkie ryzyko. Skupiam się na osobie, która próbowała mnie chronić i tak bardzo starała się zapewnić mi bezpieczeństwo.

– Czy takie zaklęcie mogło zostać rzucone przez moją matkę?

– Tylko ona miała wystarczającą moc, żeby tego dokonać, nie miała też nic do stracenia. – Ciotka Virginia wyciąga coś z kieszeni szlafroka i wręcza mi. – Przez długi czas trzymałam go dla ciebie. Napisała go zanim... umarła. Być może powinnam była dać ci go i zapoznać cię z prorocstwem wcześniej, ale chciałam, żebyś była wystarczająco duża i mądra, żeby prawda wzmocniła cię, a nie zniszczyła, tak jak zniszczyła ją.

Z gardła wyrywa mi się cyniczny śmiech.

– Bynajmniej nie czuję się mądra, ciociu. Ani silna.

Ciotka przyciąga mnie do siebie i obejmuje.

– Jesteś mądrzejsza, niż ci się wydaje, kochanie. I silniejsza, niż się domyślasz – patrzy znowu na krąg. – Nie jestem Zaklinaczką, Lia. Nawet gdybym była, nie mogłabym ponownie rzucić ochronnego zaklęcia.

– A jak moja matka... Poczekaj – nagle coś sobie przypominam. – Powiedziałaś, że to było zakazane zaklęcie.

Ciotka Virginia przytakuje, jej twarz oświetlona słabym światłem paleniska ma uroczysty wyraz.

– Kto mógłby zabronić jej korzystać z mocy, którą miała, skoro mnie codziennie przynagla się do użycia tych umiejętności, których najchętniej nie chciałabym mieć?

– W Pozaświatach istnieje wymiar sprawiedliwości i podział władzy, tak jak w naszym świecie – wyjaśnia ciotka, przysiadłszy na brzegu łóżka. – Tamtejsze zasady mogą wydawać się dziwne

osobom nieobeznanym z Pozaświatami, ale prawo jest prawem. Zasady ustalane są przez Radę Aniołów.

– Radę Aniołów? – gdzieś już słyszałam tę nazwę, ale nie jestem pewna gdzie.

– W skład Rady wchodzi Anioły, które nie zbuntowały się. Anioły z czasów Maari i Katli. Rządzą Pozaświatami, pilnując, aby każda istota i każda dusza tam przebywająca przestrzegała ustalonych dawno temu reguł. Użycie magii obowiązującej w Pozaświatach w jakimś innym miejscu jest karane. Sądzę, że twoja matka uważała, iż nie ma nic do stracenia, skoro rzuciła zaklęcie chroniące cię w kręgu otaczającym twoje łóżko.

– Ale jeśli mamę można było ukarać za posłużenie się zaklęciem, to czy nie można osądzić Alice za to, że je zerwała?

– Obawiam się, że nie – wzdycha ciotka. – Tak jak w naszym świecie, w Pozaświatach są różne możliwości działania w granicach przyjętych zasad.

– Nie rozumiem.

– Alice nie rzuciła swojego zaklęcia, Lia. Ona po prostu zniweczyła skutki zaklęcia rzuconego niegdyś przez twoją matkę, które jako takie od początku było niezgodne z prawem.

– A więc nic się nie da zrobić? – Gwałtownie wstaję, narasta we mnie frustracja i podnoszę głos.

– Nie ma sposobu, żeby ją powstrzymać? Albo oskarżyć o to, że naraziła mnie na niebezpieczeństwo?

– Chyba nie ma – kręci głową ciotka. – Nie teraz. Widocznie musiała się nauczyć magii, nawet tej najsilniejszej, i teraz używa jej w granicach wyznaczonych przez Radę. Chwilowo możemy tylko mieć nadzieję, że w którymś momencie popełni jakiś błąd – bezradnie wzrusza ramionami. – Nic innego nie można zrobić.

Wpatruję się w ogień, a w mojej głowie aż huczy od nowych, niepożądanych wiadomości.

Alice ma w ręku wszystkie karty.

Alice ma siłę, której nie mam ja.

Najgorsze jednak jest to, że Alice wie, jak używać tej mocy na swoją korzyść a moją niekorzyść, i to bezkarnie.

– Przykro mi, Lia. Przejdziemy przez to razem, obiecuję. Będziemy posuwać się krok po kroku – ciotka zbiera się do odejścia. – Luisa i Sonia już są przy stole i jedzą śniadanie. Ja wyjadę z Alice do miasta, tak byście bez przeszkód mogły poszukać listy.

Patrzę na nią, czując ciężar zadań stojących przede mną.

– A co potem? Kiedy znajdziemy listę, musimy odnaleźć dwa pozostałe Klucze. Nawet jeżeli je znajdziemy, nie wiemy, co z nimi zrobić i jak doprowadzić prorocstwo do zakończenia.

Ciotka zaciska usta, a później odpowiada:

– Nie wiem. Może uda nam się odnaleźć ciotkę Abigail. A poza tym... są jeszcze siostry.

Wzmianka o siostrach zwraca moją uwagę, ponieważ tego samego określenia użyła Madame Berrier.

– Siostry?

– Powiedzmy; że są na świecie osoby dobrze zapoznane z prorocstwem i posiadające umiejętności, które mogą okazać się przydatne. Niektóre z sióstr należą do starszych pokoleń, a inne... cóż, starają się wykorzystywać swoje zdolności dla naszego wspólnego dobra. Ale teraz musimy zostawić ten temat, Lia. Dobrze? Odnajdźmy listę. Odnajdźmy Klucze. Musisz mi uwierzyć – jeśli zwrócisz się do sióstr w odpowiednim momencie, to właśnie one ci pomogą.

Chyba jestem tchórzem, bo cieszę się, że szczegóły tej nowej sprawy zostają odłożone na później.

– Wierzę ci, ciociu, ale ...

– O co chodzi?

– Co z moimi nocnymi podróżami? Jak mam nie dopuścić do tego, że znajdę się na Równinie bez ochrony, gdy zasnę?

– Nie wiem, Lia – jej twarz pochmurnieje. – Żałuję, że nie mam dla ciebie innej odpowiedzi – i rady, jak uniknąć podróży. Zważając na to, że Dusze są zdeterminowane, aby cię tam przywołać, musisz jak najmocniej im się opierać. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Kiwam głową ze zrozumieniem, gdy ciotka wstaje i wychodzi z pokoju, zostawiając mnie sam na sam z listem. Kiedy łamię woskową pieczęć na kopercie, ręce mi drżą. Rozkładam kartkę i widzę szczupłe, pochyle pismo matki. Wiem, że być może trzymam w dłoniach tak długo poszukiwane rozwiązanie zagadki jej śmierci – i życia.

Rozdział XXV

Trudno mi się zdecydować, od czego rozpocząć. Ta historia zaczęła się wiele stuleci wcześniej, dla ciebie jednak muszę zacząć od początku, tak jak moja matka opowiedziała ją mnie.

Dla mnie wszystko zaczęło się od medalionu, który odkryłam w sekretarzyku długo po jej śmierci. Przyzywał mnie, jeszcze zanim dowiedziałam się o jego istnieniu. Te słowa mogą wydawać się dziwne, ale pewnie, czytając je, znasz tę pokusę i sposób, w jaki obecność medalionu przenika do naszych myśli, każdego naszego oddechu.

Początkowo od czasu do czasu zakładałam go, tak jak wszystkie inne błyskotki ze szkatułki. Zmiana nastąpiła dopiero wtedy, gdy po przebudzeniu odkryłam na nadgarstku złotorogie znamię. Poczułam, jak moc medalionu przeszywa mnie.

Mówił do mnie, Córeczko, wołał mnie. Szeptał moje imię, nawet jeśli wcisnęłam go pod materac łóżka, nawet gdy byłam w szkole albo z wizytą u przyjaciół.

Oczywiście nosiłam go. Ze wstydem muszę wyznać, że coraz częściej. Zakrywałam nim znamię. Podczas snu Dusze przyzywały mnie w Pozaświaty. Najpierw opierałam się, ale niezbyt długo. Wtedy jeszcze nie znałam treści proroctwa ani nie wiedziałam, jaka jest cena przerwania mojego oporu. Wiedziałam jedynie, że pełni życia, wolności, bycia sobą doświadczam wtedy, gdy podróżuję po Równinie

Coraz bardziej doskonaliłam swoje umiejętności: podróżowałam, kiedy chciałam, skoro tylko moje ciało zapadło w sen, rozmawiałam ze zmarłymi, nauczyłam się rzucać zaklęcia. Tymczasem życie płynęło swoim nurtem. Poznałam Twojego ojca i uważałam, że jeśli jest na świecie człowiek, który będzie mnie kochał pomimo treści proroctwa, tym człowiekiem jest Thomas Milthorpe. A jednak nie powiedziałam mu nic. Jak mogłabym? Patrzył na mnie z takim zachwytem. Czas mijał, mój sekret stawał się coraz większym sekretem, aż w końcu – ponieważ go nie wyjawiałam – zamiast prawdy, którą powinnam była zdradzić, tak jak początkowo planowałam, stał się długo skrywanym kłamstwem.

Na krótko przed narodzeniem Twoim i Twojej siostry wołanie Dusz stało się bardzo natarczywe. TY i Alice wzrastałyście w ciemności mojego łona, a mnie Dusze wpędzały w moją własną ciemność. Kusily mnie, żebym zasypiała nawet w środku dnia. We śnie dręczyły mnie... ponurymi obrazami.

Takimi, które sprawiały, że chciałam zrobić sobie coś bardzo złego, nie zważając na to, iż zakończyłabym w ten sposób również Wasze życie.

Medalion powracał na moją rękę, nawet kiedy zamykałam go na kłódkę w biurku, nawet kiedy zakopałam go przy stajniach. Wkrótce budziłam się z nim, choć idąc spać, nie zakładałam go. Obawiałam się, że zaczynam tracić zmysły.

Patrząc wstecz, nie wiem, jak przetrwałam tamten czas. Jestem pewna, że w dużej mierze zawdzięczam to trosce i opiece Twojego ojca i ciotki Virginii. Rzadko spuszczałam mnie z oka.

Kiedy TY i T woja siostra narodziłyście się, podziwiałam wasze delikatne główki, wasze różane policzki, coraz głębszą zieleń waszych oczu. Dzięki temu uwierzyłam, że może jest coś, dla czego warto walczyć na tym świecie, mimo iż oznaczało to nieustanne trzymanie zła w szachu. Myślałam, że może sobie poradzę, że powinnam. Życ i być Waszą matką.

Przez pewien czas wszystko jakoś funkcjonowało. Nadal czułam zew Duszy i podróżowałam we śnie, choć nie tak często. Nie działo się nic strasznego. TY i Alice byłyście coraz większe, zaczęłyście raczkować, potem nauczyłyście się chodzić i mówić. Wydawało się, że moja rodzina jest bezpieczna, a jeśli z nocnych podróży ktoś za mną przychodził, nikt o tym nie wiedział.

Teraz oczywiście rozumiem, że te lata, gdy medalion, prorocstwo i my wszyscy współistnieliśmy w spokoju, były jak bajka. A potem dowiedziałam się o Henrym. Dowiedziałam się, że będę miała kolejne dziecko, pomimo że lekarz przestrzegał mnie przed tym po pierwszym trudnym porodzie. Nie pozostawało mi jednak nic innego, jak być dumną z tego, że może wreszcie dam swojemu mężowi syna.

Czułam dumę – przez jakiś czas. Lecz kiedy Henry rósł w mroku w głębi mojego ciała, mnie pokryła ciemność tak absolutna, że poczułam grozę. Chciałam uciec, Córeczko. Chciałam żyć w Pozaświatach w każdej godzinie każdego dnia, chciałam przyprowadzić ze sobą Armię – tak wiele Duszy, jak się tylko da, chociaż wiedziałam, że nie mają dobrych zamiarów. Ich wycie stało się dla mnie pieśnią, którą chciałam słyszeć już zawsze.

Ale nie to przerażało mnie najbardziej, nie to sprawiło, że zrozumiałam, iż osuwam się w zło, zbliżam do obłądzenia. Nie. Zauważyłam jak zachłannie zaczynam podejmować swoje podróże – zmuszałam się do spokojnego leżenia w łóżku całe noce i dni, żeby tylko udało mi się wyruszyć. Nie dbałam ani o jedzenie, ani o ludzi wokół mnie – byle tylko spać, spać, bo nigdy nie było mi tak dobrze jak wtedy, gdy podróżowałam. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, poczułam strach.

Po urodzeniu Henry'go... Cóż, to był drugi trudny poród, tak jak mnie ostrzegano. Lekarz nie mógł jeszcze raz operować; a Henry był ułożony nie główką, lecz nóżkami w dół. Jego nóżki... Nie muszę ci mówić, Córeczko. Lekarze starali się wyciągać go tak delikatnie jak mogli, ale umarłby, gdyby nie zrobili tego tak szybko jak zrobili.

Po urodzeniu Henry'go byłam bardzo chora. Nie tylko zmęczona i osłabiona, ale też smutna, zła, pełna nienawiści. Jak gdyby całe dobro wyszło ze mnie przy jego narodzinach i zostało zastąpione przez samo zło uosabiane przez medalion. Czasami rozbłyskiwała moja miłość dla Ciebie, Twojej siostry i brata, dla Twojego ojca, ale były to tylko krótkie momenty – ak motyle, przysiadające gdzieś i za chwilę odfruwające.

Spałam coraz więcej i budziłam z przekonaniem – jednocześnie porażającym i radosnym – że znów przyprowadziłam ze sobą jakieś Dusze. To uczucie zadowolenia pozwoliło mi uświadomić sobie, że nie mam siły walczyć z dziedzictwem, które otrzymałam.

Jestem słaba. Wiem, że uznasz mnie za tchórza, ale jak mam zatrzymać proces, który rozpoczął się u zarania dziejów? Jak mam sama pokonać to, co przez stulecia wygrywało jedną bitwę po drugiej? A przede wszystkim jak mam przekazać Ci taką schedę, takie przekleństwo? Jak mam zajrzeć w te czyste zielone oczy i powiedzieć, co Cię czeka?

Virginia jest mądra. Mądra i roztropna. Z pewnością udzieli Ci lepszej rady niż ja, w tak rozpaczliwym stanie. Nie mogę znieść myśli, że nie zostawiam Ci nic lepszego niż takie brzemie, Lia, moje piękne dziecko.

A więc dajmy temu spokój. Pozostawię Ci w spadku każdą, nawet ostatnią kroplę mojej opieki. Dusze przyjdą po Ciebie, tego jestem pewna, ale wykorzystam każdy gram swojej siły, każde zaklęcie, nawet jeśli doprowadzi do wykluczenia mnie z grona sióstr, abyś była bezpieczna, kiedy śpisz. To wszystko, co mogę zrobić

Wiedz proszę, że teraz, kiedy muszę ukryć list i udać się nad jezioro, myślę o Tobie z miłością. Żałuję, że nie mogę udzielić Ci mądrej rady. Mogę ofiarować Ci tylko swoją miłość i nadzieję – nie, raczej pewność, że jesteś silniejsza, bardziej odważna niż ja, że doprowadzisz bitwę do końca i na zawsze położysz kres walce. Obyś zwyciężyła dla dobra wszystkich sióstr, które żyły przed Tobą i tych, których czas dopiero nadejdzie. Nie ma nic więcej. Żadnej odpowiedzi. Żadnej wskazówki.

A więc wiedziała, że to ja. Jest to dla mnie odkryciem. Ciotka Virginia na początku mogła nie wiedzieć z powodu zmiany kolejności naszych narodzin, mogła nie być świadoma konsekwencji tego

faktu. Ale nasza matka wiedziała, że nie da się uciec od losu, chociaż jego zrządzenia wydają się przypadkowe i chaotyczne.

To ona wyłobiła w podłodze chroniący mnie krąg. Byłam wtedy mała, ale przypominam sobie przeprowadzkę z pokoju dzieciennego, który dzieliłam z Alice. Nastąpiła wkrótce przed śmiercią mojej matki. Teraz rozdzielenie z siostrą nie wydaje się już tylko zabiegiem przygotowującym nas do większej samodzielności, lecz raczej przemyślanym posunięciem.

Sposobem, by ochronić mnie przed siostrą.

To, że wściekłość i zachłanność Alice doprowadziły ją do takiego stanu, iż była skłonna oddać mnie Duszom... to jest dla mnie niewyobrażalne. Nie mogę pogodzić się z myślą, że moja siostra chciała mnie skazać na śmierć lub coś gorszego niż śmierć – na zesłanie w Pustkę.

Chciałabym leczyć tę ranę, tę złość i niedowierzanie. Lecz to nie pomoże nam w szukaniu rozwiązania. Lepiej, mądrzej będzie pozwolić Alice myśleć, że nadal nic nie wiem.

Niech sądzi, że trzyma w ręku całą władzę.

Rozdział XXVI

Później niż zazwyczaj wychodzę wreszcie ze swojej sypialni. Drzwi do pokoju gościnnego są otwarte, łóżka Luisy i Soni schludnie zasłane. Idę korytarzem z pełnym zamiarem dołączenia do przyjaciółek, czując wyrzuty sumienia, że spałam tak długo i zostawiłam je same sobie.

Jednak po drodze dostrzegam, że drzwi do pokoju Alice są niedomknięte.

Z miejsca, gdzie zatrzymuję się, widać tylko niewielką część pomieszczenia, ale wyczuwam emanującą z niego pustkę. Nawet stojąc na korytarzu, wiem, że Alice nie ma w środku.

Rozglądam się, żeby mieć pewność, że nikt nie nadchodzi i wchodzę do środka, cicho zamykając za sobą drzwi. Przez moment stoję, patrząc dokoła. Ostatni raz byłam tutaj całe lata temu. Jest inaczej. Pokój się postarzał. Nie chcę wspominać czasów, kiedy na komodzie i biurku stały zabawki i kruche porcelanowe laleczki. Wspomnienia to luksus, na który nie mogę sobie pozwolić. Ostrożnie przesuвам się w głąb pomieszczenia.

Nie wiem, gdzie jest lista, ale nie należy zapominać o możliwości, że Alice znalazła ją wcześniej niż ja. Zaczynam od szafki przy łóżku, takiej jak stoi u mnie, otwierając szufladkę. Alice trzyma w niej papier do pisania, pióro i atrament oraz słoiczek różanego kremu do rąk. Szukam dalej, nie pozwalając sobie na zniechęcenie: przetrząsam szafę, biurko, zaglądam nawet pod łóżko.

Pozostaje tylko komoda, moja ostatnia nadzieja na znalezienie listy w pokoju Alice. Zaczynam od górnych szuflad, potem przechodzę do tych dolnych, coraz większych. Moje palce prześlizgują się między koszulami nocnymi i pelerynkami, tropiąc kawałeczek papieru, na którym mogą znajdować się nazwiska Kluczy. Tymczasem w największej, ostatniej szufladzie natrafiam ręką na coś cięższego, owiniętego w płótno.

Wyjmuję zawiniątko z szuflady, zdziwiona jego ciężarem, i kładę na komodzie, żeby je obejrzeć. Przez chwilę się waham, bo przecież nie jest to lista. Ale ciekawość jest silniejsza. Odwijam po kolei rogi płótna. Widok zapiera mi dech – w środku jest nóż. Nie zwyczajny, lecz większy, z rękojeścią wysadzaną klejnotami w różnych barwach. Dotykam go, ale zaraz cofam rękę, kiedy czuję misterną robotę rękojeści. Dotykam go znowu i drżę; pulsuje w nim nieposkromiona siła, przenikająca aż do mojego ramienia.

Przez ramię spoglądam na drzwi. Wiem, że muszę się spieszyć. Władczym gestem chwytam nóż, a wtedy moje ciało tętni nową energią. Podnoszę go z komody, żeby lepiej mu się przyjrzeć. To, co widzę na ostrzu, mrozi mi krew w żyłach.

Do połyskującego srebra przylgnęły drewniane wióry. Są małe, ale wiem, skąd pochodzą i do czego posłużył nóż – do odwrócenia zaklęcia rzuconego przez matkę, by mnie chronić. Ten nóż został użyty do zniszczenia kręgu wyżłobionego na podłodze w mojej sypialni.

Moim ciałem wstrząsa gniew. Jest jeszcze bardziej potężny niż energia przepływająca przez nóż, który ostrożnie zawijam z powrotem w płótno i wkładam do swojej sakiewki. Zamykam szufladę komody. Nie czuję się winna, zabierając Alice ten przedmiot – niebezpieczny i użyty w niecnym celu.

Wychodzę z pokoju, nie oglądając się za siebie. Zostawiam drzwi otwarte. Może to nieostrożne, ale przecież pole bitwy zostało już wytyczone. Nie ma potrzeby, aby w kontaktach z moją siostrą zachowywać pozory.

* * *

– Masz swoje sekrety – dochodzi z salonu głos Henry' ego, kiedy schodzę ze schodów.

Muszę cofnąć się o kilka kroków, żeby dojrzeć, gdzie siedzi. Jest koło okna, okutany w zimowy płaszcz i szalik w związku z wyprawą do miasta wraz z Alice i ciotką Virginią.

Rozciągam twarz w uśmiechu i wchodzę do środka.

– Co masz na myśli Henry?

– Przecież wiesz – mówi z powagą na buzi.

– Obawiam się, że nie wiem – mój uśmiech znika. – Ty jesteś ta zła – Henry zniża głos do szeptu. – Prawda?

– Nie jestem pewna, Henry-wzruszam ramionami. – Nieczuję się zła.

Mój brat ze zrozumieniem kiwa głową, jak gdyby to było zupełnie oczywiste.

– Dopiero czas pokaże, Lia.

– Czas pokaże? Kto ci to powiedział, Henry?

– Ciotka Virginia – pada prosta odpowiedź. – Mówi, że nie da się stwierdzić, kto jest zły, nawet jeżeli ma znamię. Mówi, że dopiero czas pokaże.

Dziwię się, że jest tak dobrze poinformowany, i nie mogę zbyt wiele dodać do takiej wiedzy.

– Myślę, że ciotka ma rację, Henry. Chyba musimy poczekać, żeby się przekonać – zbliżam się do wyjścia.

– I tak cię kocham, Lia! – woła za mną. – Oczywiście dopóki czas pokaże.

Odwracam się do niego z uśmiechem. W tej chwili kocham go bardziej niż kiedykolwiek.

– Ja też cię kocham, Henry. Dopóki czas pokaże i jeszcze dłużej.

* * *

– Jak można tu cokolwiek znaleźć, Lia? Nigdy nie widziałam tylu książek, nawet w Wycliffel – Luisa odwraca się od regału, opiera o niego i w geście desperacji ociera ręką czoło.

Patrzę na nią, siedząc w skórzanym fotelu przy biurku ojca.

– Cóż, nie wiem, gdzie jeszcze mogłybyśmy szukać. Gdyby ojciec chciał coś ukryć, to na pewno w bibliotece. To tutaj spędzał czas. W tym pomieszczeniu jest to, co cenił najbardziej.

– Ale przecież przeszukałyśmy już wszystko! – woła Luisa.

Sonia gwałtownie wstaje.

– W tym pomieszczeniu. Przeszukałyśmy wszystko *w tym pomieszczeniu*

– Tak, tak właśnie powiedziałam – zniecierpliwiona Luisa wzrusza ramionami.

– Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, do czego zmierza Sonia.

– Poczekaj chwileczkę, Luiso. Soniu, co masz na myśli?

– Nie przeszukałyśmy jego pokoju – odpowiada.

Niedbale macham ręką.

– To prawda, ale to biblioteka była azylem ojca. I tutaj była schowana książka.

– Właśnie – przytakuje Sonia. – Czy w związku z tym lista nie może być ukryta gdzie indziej?

Zagryzam wargę, rozmyślając nad tym, co powiedziała. Nie chcę przyznać, że istnieje taka możliwość – nie dlatego, żebym jej nie dostrzegła, lecz dlatego, że waham się przed pogwałceniem prywatności pokoju mojego ojca, mimo że odszedł. Nie da się jednak lekceważyć słów Soni.

– Oczywiście masz rację. Jeżeli listy nie ma tutaj, logicznie byłoby poszukać w sypialni ojca.

Napotykam spojrzenie Luisy.

– A więc – pyta – na co czekamy?

Ponieważ nie napalono w kominku, w pokoju ojca jest zimno jak w grobie.

Sonia i Luisa wchodzą bez wahania, a ja zamykam za sobą drzwi i przez chwilę stoję oparta o framugę. Rozglądam się po wnętrzu, zdając sobie sprawę, że jest mi tak nieznajome, ponieważ rzadko tu bywałam, nawet gdy ojciec jeszcze żył. Tutaj sypiał, to wszystko. Całe życie przeżył w bibliotece i w innych pomieszczeniach domu ze mną, Alice i Henrym.

Jednakże kiedy nareszcie wkraczam do środka, ogarnia mnie uczucie, że ważna część mojego ojca związana była z tym pokojem. Może to była ta skryta część jego natury. Ta, z którą się przed nami nie zdradzał. Gdy na nocnym stoliku zauważam zdjęcie matki, a przy nim równy stosik książek, zaczynam uświadamiać sobie, że choć nieznana, częśćka ta nie była mniej ważna.

– Lia? – ze środka pokoju spogląda na mnie Sonia, unosząc ręce w pytającym geście. – Gdzie zaczniemy?

Dopiero po chwili przypominam sobie, jaki jest powód naszego przyścia tutaj, ale podobnie jak Sonia nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Nie wiem – wzruszam ramionami. – Może zobaczymy w komodzie. Albo pod materacem?

Luisa podchodzi do łóżka, klęka przy nim i wsuwa dłoń pomiędzy dwa materace.

– Ja zacznę tutaj, Lia, a ty raczej przeszukaj osobiste rzeczy swojego ojca.

– A ja sprawdzę za szafą – mówi Sonia, ruszając w stronę dużego mebla stojącego w kącie pokoju.

Przez kilka minut stoję na środku, starając się przełamać swoje poczucie winy spowodowane wtargnięciem do prywatnej sypialni ojca, mimo że uczyniłyśmy to z bardzo ważnego powodu. W końcu przypominam sobie, że lista sama się przede mną nie pojawi, i zabieram się do pracy.

Dotychczas tylko zerkałam do szuflad z rzeczami mężczyzn. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale równo ułożone ciemne skarpety i męskie podwiązki to silny kontrast w porównaniu z delikatnymi koronkami i jedwabiami w komodzie mojej matki. Z każdym krokiem, który przybliżył mnie do znaczenia proroctwa, czuję, jakbym coraz lepiej poznawała rodziców, warstwa po warstwie, jako mężczyznę i kobietę, a nie tylko ojca i matkę. To dziwna i niebywale poruszająca podróż. Staram się postępować z szacunkiem, przeszukując rzeczy ojca w szufladach.

Nie zajmuje mi to dużo czasu. Są tylko cztery szuflady i szybko można się zorientować, że nie ma w nich nic nadzwyczajnego. Kręcę się znowu po pokoju, a potem opieram o komodę. Luisa siedzi na łóżku, a Sonia stoi przy szafie – założyła ręce na piersiach, a w buzi trzyma koniec kciuka. Nie muszą się wcale odzywać.

– Nic? – pytam.

– Otwarłam szafę i patrzyłam pomiędzy spodniami i koszulami. Nic tam nie ma – Sonia kręci głową.

– A ja sprawdziłam między materacami, pod łóżkiem i za wezgłowiem. Obawiam się, że nie miałam więcej szczęścia – wzdycha Luisa.

Walczę z frustracją, która stała się moją wierną towarzyszką, odkąd dowiedziałam się o prorocztwie i wyznaczonej mi roli. Posuwamy się krok naprzód, a potem robimy dwa kroki wstecz. Potrzebna nam jakaś pomoc, podobnie jak Alice dotychczas korzystała z pomocy Dusz.

Patrzę najpierw na Sonię, potem na Luisę,

– Jest jedna osoba, która na pewno wiedziała, gdzie przed śmiercią ojca została schowana lista.

Pewnym głosem przerywa mi Luisa.

– Nie możemy znowu narażać Soni, żeby porozmawiać z twoim ojcem, Lia. Nie po tym, co zaszło ostatniej nocy. Musimy wymyślić inny sposób.

– Nie mam zamiaru kolejny raz wystawiać zdrowia Soni na szwank. Ma bladą buzię i ciemne kręgi pod oczami. Nic nie powiedziała, ale widać, że kontakt z Bestią odebrał jej siły. Nieostrożnie było prosić ją wtedy, żeby porozmawiała z ojcem, ale teraz jestem w pełni świadoma niebezpieczeństwa i nie biorę pod uwagę drugiej podobnej próby.

Nie mówię tego głośno. Sonia zagląda mi w oczy i już wyczytuje z nich cały mój plan.

– To nie ja mam ryzykować.

– Nie rozumiem – kręci głową Luisa.

Sonia przestaje patrzeć na mnie, zwraca wzrok ku Luisie.

– Seanse nie są jedyną metodą na nawiązanie kontaktu ze zmarłymi.

– Mój ojciec jest w Pozaświatach, Luiso. Zgadza się, Soniu?

– Tak, gdzieś tam jest – przytakuje Sonia. Teraz Luisa już rozumie.

– Nie! Nie, nie, nie – szeroko otwiera swoje brązowe oczy. – Nie będziesz podróżować z własnej woli – skacze na równe nogi. – Nie słyszałaś, co powiedziała ostatnio twoja ciocia? To niebezpieczne, Lia. Dla nas wszystkich, ale najbardziej dla ciebie. Nie. To po prostu nie do przyjęcia. Nie możemy ryzykować, że Dusze odkryją twoją obecność. Musimy wpaść na inny pomysł.

Sonia wzdycha, jak gdyby czuła się zmuszona powiedzieć coś, czym wolałaby wcale nie wspominać.

– Jest... być może jeden sposób, żeby Lia szybko odnalazła ojca i uniknęła spotkania z Duszami.

– Jeśli jakimkolwiek sposobem da się odszukać mojego ojca i ustalić miejsce ukrycia listy, zrobię to. – Patrzę na Sonię. – Powiedz mi.

– Istnieją reguły podróżowania po Równinie, na przykład taka, że żadna dusza w danym momencie nie może przebywać w więcej niż jednym z siedmiu Pozaświatów, choć może swobodnie przemieszczać się między nimi. Jeżeli odnajdziesz ojca w jednym z Pozaświatów, podczas gdy Dusze będą pozostawać w innym, wtedy możesz szybko dowiedzieć się, gdzie jest lista, zanim cię pochwycą i zatrzymają.

Pewien fragment wypowiedzi Soni sprawia, że nagle prostuję się i pytam:

– Dlaczego mówisz o siedmiu Pozaświatach? Myślałam, że jest osiem.

– Ostatni jest przeznaczony tylko dla zmarłych. Kiedy dusza przejdzie do ostatniego z Pozaświatów, nie może już powrócić do naszego świata.

– Czy jest możliwe – słowa Soni wprawiły mnie w drżenie – że nie odnajdę ojca w Pozaświatach, ponieważ on zmarł, a ja żyję?

– Twój ojciec nie udał się jeszcze do ostatniego z Pozaświatów – wyjaśnia Sonia. – Gdyby tam odszedł, nie zdołabyśmy z nim porozmawiać. Ci, którzy z własnej woli pozostają w Pozaświatach, mają w tym swój cel. Widocznie twój ojciec chce ci pomóc. Gdyby przekroczył ostatnią granicę, nie mogłabyś porozumiewać się z nim, dopóki sama nie znalazłabyś się w krainie, gdzie przebywają tylko zmarli. Pozostałe siedem Pozaświatów leży pomiędzy nią a naszym światem, są więc miejscem, w którym można się spotkać. – Sonia przerywa i patrzy na mnie łagodnie, jak gdyby chciała osłodzić mi gorycz swoich dalszych słów. – Lecz ... ty jeszcze wiesz tak niewiele, Lia.

– Zgadza się, ale to nasza jedyna nadzieja. *Musimy* znaleźć nazwiska pozostałych dwóch Kluczy. Bez nich nie możemy iść dalej, a jedynym sposobem na ich znalezienie jest dotarcie do listy.

Przez moment zastanawiam się, nim podejmę decyzję.

– To jedyny sposób. Powiedziałaś, że da się kontrolować wyruszenie w podróż, prawda? Że można przejść w Pozaświaty wysiłkiem woli. Możesz mi pomóc dostać się tam, Soniu, i odszukać ojca. Możesz mi powiedzieć, co mam robić.

Sonia początkowo nie chce się zgodzić. Przychodzi jej to powoli i z trudem.

– Ale narażasz się na poważne niebezpieczeństwo. Dusze czekają. Nawet Samael czeka. Na ciebie, Lia. Będzie usiłował zatrzymać twoją duszę w Pozaświatach. Gdyby mu się udało... gdyby mu się udało, rzuci cię w Pustkę i pozostaniesz jego więźniem na wieczność. Czy rozumiesz, co to znaczy, Lia? Nigdy nie będziesz mogła przejść do ostatniego z Pozaświatów. Nigdy – kręci głową i podejmuje ostateczną decyzję. – Nie możesz wyruszyć sama. Jeszcze nie teraz. Pójdę z tobą.

Jej słowa jednak nie wywierają na mnie wrażenia. Ja już postanowiłam.

– Nie. Pójdę sama.

* * *

Pół godziny później leżę na skórzanej sofie w zaciemnionej bibliotece. Zastłony nie wpuszczają popołudniowego słońca. Obok sofy klęczy Sonia, przyglądając mi się poważnymi, zmęczonymi oczami.

– Kiedy ci powiem, zamknij oczy i oczyść umysł z wszystkich myśli oprócz tej jednej, dotyczącej miejsca, do którego chcesz dotrzeć, i twarzy, którą chcesz zobaczyć. Będziemy razem liczyć, dopóki nie powiem „stop”. Spróbuj słuchać własnego oddechu, poczuć rytm swojego serca. Wiem, że to brzmi... tak, to musi wydawać się szalone, ale tak właśnie musisz zrobić – patrzeć na siebie jak na funkcjonujące ciało, a umysł oczyścić ze wszystkiego prócz tego, co pragniesz ujrzeć – na chwilę przerywa. – Uważaj, o czym myślisz podczas podróży. Myśli mają moc, Lia. Szczególnie w Pozaświatach.

Zapamiętuję tę nową regułę na przyszły użytek, a w mojej głowie pojawia się nowe pytanie, wywołując u mnie chwilowy atak paniki.

– Poczekaj. Czy muszę podróżować poprzez Pozaświaty w jakiejś określonej kolejności, szukając ojca? – przypominam sobie ugór, na którym spotkałam Alice. – A co będzie, jeżeli pójdę nie tam, gdzie trzeba? Jeżeli nie znajdę ojca, albo – co gorsza – trafię w jakieś przerażające miejsce?

– Możesz podróżować, gdzie zechcesz, ale dopiero po jakimś czasie nauczysz się podążać do wybranego celu podróży. Na razie nie masz wprawy, musisz więc... wezwać ojca do siebie. Będzie czuł twoją obecność na Równinie. Ta świadomość i ta... energia doprowadzi do waszego spotkania w odpowiednim Pozaświecie. Trafi do ciebie, jeżeli tylko będzie mógł. Gdyby tak się nie stało, będzie to oznaczać, że jesteś w niewłaściwym Pozaświecie i musisz natychmiast się wycofać, zanim Dusze odkryją, że w nim przebywasz.

– A jeśli... Dusze znajdą mnie? Albo Samael? Jak mam uciec?

Sonia w zamyśleniu przygryza wargę.

– Przy pierwszej nadarzającej się okazji musisz stanąć na ziemi. Przebywanie na Równinie zawsze jest dla nas ryzykowne, to nie jest dla nas zwyczajne miejsce pobytu. Ale jeszcze bardziej bezbronnym jest się podczas lotu. Ci, którzy mieszkają w Pozaświatach, znają tamtejsze prawa. Wiedzą, jak się tam poruszać, jak znajdować to, czego szukają. I jak skrzywdzić tych, którzy zostaną uznani za intruzów. Gdyby napadły cię Dusze albo Samael, albo ... ktokolwiek inny. ..

– Kto inny? – z wrażenia aż podnoszę się na łokciu.

Sonia kładzie swoją ciepłą dłoń na moim ramieniu.

–Pozaświaty pełne są różnych duchów. Niektóre będą chciały ci pomóc, inne splatać figła, a jeszcze inne poważnie zaszkodzić. Na Równinie nawet doświadczeni podróżnicy muszą zachować ostrożność.

Ta nowa wiadomość tylko pobudza mnie do działania. Chcę zrobić to, co jest do zrobienia, i jak najszybciej powrócić do bezpiecznego domu w Birchwood.

– Dobrze. Powiedz mi, jak mogę się zabezpieczyć.

Sonia marszczy brew, zastanawiając się nad doborem słów.

– Każda żyjąca istota wydziela pewnego rodzaju energię. Dotyczy to także duchów zamieszkujących Pozaświaty. Kiedy chcą kogoś skrzywdzić, zaczynają panować nad jego energią za pomocą swojej. Żeby się chronić, musisz postępować tak samo.

Przytakuję, przypominam sobie bowiem Dusze wirujące nad Alice i nade mną, oraz ich siłę, która sprawiła, że poczułam się bezradna i bezwolna.

– Jak mam sobie z tym poradzić? Panować nad taką energią?

Sonia nerwowo bębni palcami po oparciu sofy.

– To właśnie najtrudniej wyjaśnić. Ja potrafię to robić od dziecka, dlatego nie wiem, jak wyrazić tę umiejętność w słowach. Pomyśl o swojej energii jak o nasionku, maleńkim nasionku w centrum swojego istnienia. To nasionko jest drobne, prawie niewidoczne, ale ma w sobie więcej siły i więcej światła, niż możesz sobie wyobrazić. Gdybyś poczuła się zagrożona, musisz ujrzeć, jak nasionko pęka, ukazując życie, jakie w nim drzemie.

Nie chcę mówić Soni, że to wszystko brzmi jak fantazja. Pomyśl, że ledwie widoczne nasionko ma mnie chronić przed potęgą Dusz, wydaje się – delikatnie rzecz ujmując – mocno naciągany. Ale kiwam głową, chłonąc jej objaśnienia, bo pamiętam również, że jeszcze kilka tygodni temu nie uwierzyłabym ani w znamię, ani w medalion, ani w prorocstwo. A jednak to wszystko okazało się prawdą.

Sonia ciągnie swoją wypowiedź, jakby znała moje wątpliwości.

– Nie wystarczy o tym nasionku pomyśleć. Musisz je zobaczyć! Musisz widzieć, jak się otwiera, pozwalając, aby twoja energia wypłynęła na zewnątrz i utworzyła barierę ochronną – wtedy będziesz mieć czas na ucieczkę.

– Czy w tym moja jedyna nadzieja? W ucieczce?

– Na razie tak – potwierdza Sonia. – Nie masz ani siły, ani umiejętności na nic innego. Po prostu wykonaj zadanie, Lia. Znajdź ojca. Zapytaj, gdzie schował listę. A potem natychmiast wracaj.

Rozdział XXVII

– Jedenaście... dwanaście... trzynaście... czternaście... piętnaście... – nasze głosy rozbrzmiewają upiorną muzyką w pustce, jaką mam pod powiekami. Wszystkie razem, Luisa, Sonia i ja, chóralnym szeptem przywołujemy ciemność, w którą pragnę się osunąć.

Potem moje przyjaciółki milkną na jakiś znak, którego nie widziałam.

– Lia, uwolnij się od tego świata, tak, byś mogła zapaść w mrok wiodący w Pozaświaty – głos Soni, nim ucichnie, jest głęboki i delikatny. Po chwili zostaję sama w świetle swojego umysłu.

Na początku trudno jest nie myśleć, na przykład o tym, kiedy ciotka Virginia wróci do domu, czy służby to nie dziwi, że siedzę z koleżankami w zamknięciu, czy uda mi się odszukać ojca.

Jednak szybko przebiegam myślą te wszystkie sprawy, a wtedy nie zostaje nic, nad czym można się zastanawiać. Wówczas można przypominać sobie twarz ojca i słuchać swojego oddechu – najpierw płytkiego, potem coraz wolniejszego i głębszego. Wyobrażam sobie świat mojego nadmorskiego lotu, pachnący i delikatny, i bezkresne, gładkie niebo rozpościerające się nade mną. Czuję słony zapach morza i wyobrażam sobie twarz ojca.

Znienacka pojawia się błysk, oślepiające światło – nie otacza mnie ciemność snu, ale jaskrawy blask słońca, odbierający mi wzrok. Serce bije mi nienaturalnie głośno, dudni w tle, podczas gdy z pamięci coraz szybciej powracają obrazy. Birchwood. Twarze Soni i Luisy, Alice i Henry'ego. Rzeka, James leżący na brzegu. I nagle jednym silnym szarpnięciem uwalniam się z powłok ciała. Dochodzę do siebie, lecąc ponad lasem. Nie rozpoznaję tego miejsca.

Teren jest gęsto porośnięty drzewami; gruby zielony dywan z góry wygląda na gładki i miękki. Przemierzając niebo, czuję coraz wyraźniej słony zapach. Drzewa przerzedzają się, ustępując szerokiej łące porośniętej wysoką zieloną trawą. W oddali słyszę morze. Szum jest coraz głośniejszy. W końcu dolatuję do rozległej plaży muskanej przez lazurowe fale.

Tutaj postanawiam wylądować, pamiętając zalecenie Soni, by w miarę możliwości unikać latania. Stawiam stopy na piasku. Chociaż jestem w butach, czuję jego ziarnistość i zastanawia mnie, że z każdą kolejną podróżą moje zmysły stają się bardziej wyostrzone.

Nie jestem pewna, od czego zacząć poszukiwania ojca. Według Soni to on zacznie mnie szukać, ale i tak nie byłoby rozsądnie pozostawać na odkrytej plaży. Zwłaszcza że nie wiem, czy jestem w tym właściwym Pozaświecie.

Za plażą rozciągają się skały o niezwykłych kształtach, które zasłaniają resztę terenu, a w nich są jaskinie. Z ulgą przyjmuję fakt, że nie będę musiała troszczyć się o swoje bezpieczeństwo na otwartej przestrzeni, ale unikam też spoglądania w głąb ciemnych grot. Patrzę na ścieżkę pod stopami, idąc po piasku i przeskakując pojedyncze kamienie.

– Witaj, dzień dobry!

Prawie wyskakuję ze skóry, słysząc wołanie dobiegające z którejś pieczary. Jestem przerażona, że znalazłam towarzystwo w takiej bezludnej okolicy. Jakiś dzentelmen idzie w moją stronę, omijając poszarpane skały. To młody człowiek w spodniach i kamizelce. Jego elegancki ubiór wygląda komicznie na tej dzikiej plaży.

– Dzie... dzień dobry – szybko rozglądam się wokół, zastanawiając się, czy ktoś jeszcze jest w pobliżu.

Mężczyzna podchodzi bliżej i widzę, że jest całkiem przystojny. Ma jasne włosy jak James i lekko opaloną twarz. Nie jest o wiele starszy ode mnie, a w oczach ma przyjazny błysk. Czuję się odrobinę swobodniej.

Mężczyzna składa mi żartobliwy ukłon.

–Michael Ackerman, do usług. Myślałem, że będę spacerował po plaży cały dzień bez towarzystwa, ale chyba mam szczęście! Czemu zawdzięczam tak uroczą obecność panienki w tym miejscu?

– Cóż, panie Ackerman ..

– Proszę zwracać się do mnie po imieniu, jestem Michael. Pan Ackerman to mój ojciec.

– Dobrze, Michaelu. Posłuchaj, szukam pewnego mężczyzny. Nie wiem, gdzie on jest, a nie bardzo... znam okolicę.

– Rozumiem – kiwa głową Michael. – Szukasz swojego ojca, prawda? Przechylam głowę, przyglądając mu się ze wzmożonym zainteresowaniem.

– No... tak. Skąd wiesz?

– Tutaj nietrudno zgadnąć takie rzeczy – Michael niedbale rozgania ręką słony wiatr. – Można by powiedzieć: „Jaki ten świat mały!” – śmieje się ze swojego dowcipu.

– Pewnie tak. Czy wiesz, gdzie mogłabym znaleźć mojego ojca?

– Tak – władczo kiwa głową. – Oczywiście, że wiem. W zasadzie to on mnie przysłał, żebym cię odnalazł.

– Tak?

– Tak było. Powiedział mi, żebym szukał ślicznej dziewczyny, na oko szesnastoletniej, i natychmiast ją do niego przyprowadził – łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą po plaży.

Wyrrywam się.

– Proszę chwilę zaczekać! Chyba nie powinnam stąd z nikim odchodzić. Widzisz...

– Nonsens! – Michael znowu bierze mnie pod rękę, tym razem bardziej stanowczo. – Wiem, kogo szukasz, i zaraz cię do niego zaprowadzę.

Robię zaledwie kilka kroków, gdy zauważam jego dziwne spojrzenie. Nie wygląda już jak pomocnik, ale ktoś wrogo nastawiony.

Poprzez granicę światów dobiega mnie głos Soni. Niektóre będą potrafiły być nikczemne, żeby poważnie ci zaszkodzić.

– Posłuchaj – uwalniam rękę z uścisku. – Bardzo dziękuję za pomoc. Naprawdę. Ale muszę tu chwilę zaczekać. Ojciec na pewno mnie znajdzie, jeżeli tylko poczekam w tym miejscu.

Michael wzmacnia chwyt, a ja krzywię się z bólu, kiedy wbija palce w moje ramię.

– O nie, nie. Tak nie będzie. – Jego głos się zmienił. Jest teraz szorstki. I znacznie mniej przyjazny. – Mamy jeszcze inne zobowiązania, na przykład...

Nie ma czasu, żeby dokończyć. Naraz staje przed nami chłopiec, może w wieku Henry'ego, w dziwnej koszuli bez guzików i krótkich spodenkach, z których wystają jego podrapane łydki. Buzię ma całą usmarowaną.

– Lepiej spadaj, facet – mówi mały.

– Dobrze, dobrze, dzieciaku. Nie zajmuj się tym, co należy do dorosłych. Zmykaj stąd. – Michael Ackerman robi jeszcze jeden krok, ciągnąc mnie za sobą, ale wtedy chłopiec zastępuje mu drogę.

– Więcej powtarzał nie będę. Puszczaj ją. Nie chciałbym ci zrobić krzywdy.

Groźba wypowiedziana przez takiego szkraba robi na mnie dziwne wrażenie, ale kiedy patrzę w jego oczy szare jak stal, jestem pewna, że wie, co mówi.

– Posłuchaj mnie – Michael Ackerman prostuje się. – Chyba nie wiesz, z kim zadzieras, rozumiesz? Ta dziewczyna ma zostać zatrzymana.

– Próbowałem – zrezygnowany mały kręci głową. – Próbowałem cię ostrzec. – Patrzy na mnie. – Czyż nie próbowałem go ostrzec?

– Chyba... tak.

Urywam, bo chłopiec podnosi rękę i mówi coś w nieznanym mi języku. Nagle w powietrzu wokół nas zapada dziwna cisza. Wydaje się, że nawet fale bezgłośnie uderzają o brzeg, jak gdyby słowa chłopca odebrały żywiłom energię. Potem ziemia zaczyna drżeć. W ułamku sekundy wymieniamy błyskawiczne spojrzenia. Chłopiec, nie wiedząc czemu, chyba czuje satysfakcję. Michael Ackennan ma w oczach świadomość nadchodzących zdarzeń i strach. Rozumiem, dlaczego jego uścisk na moim ramieniu słabnie, dopiero gdy patrzę w dół i dostrzegam, że ziemia pod nim otwiera się. Pod stopami Michaela piasek rozstępuje się i pochłania go kawałek po kawałku. Wszystko dzieje się bardzo szybko. W okamgnieniu Michael znika, a piasek jest znowu tak gładki, jakby nas tu wcale nie było. Fale podejmują swój hipnotyczny rytm.

Odwracam się do chłopca.

– Ale... Co... Gdzie... Co ty mu zrobiłeś?

Malec wzdycha.

– No już! Nie martw się. Przecież go ostrzegałem. Widziałaś, jak szybko poszło? Poza tym on chciał cię zabrać do Zbłąkanych Dusz. – Jego mowa jest dziwna, niespójna. Chłopak nie dba ani o maniery, ani o reguły gramatyczne.

Robię krok w tył. Nie mam czasu, by zadawać pytania na temat tego popisu magii, który – choć okrutny – właśnie ocalił mi życie. Mam bardziej osobiste i bardziej palące problemy.

– A skąd mam wiedzieć, że ty jesteś lepszy? Może ty też chcesz mnie oddać Duszom? Jesteś przecież z Pozaświatów tak jak one.

– Taa, aleja do nich nie należę. Jestem tu, bo jeszcze nie przeszedłem na drugą stronę.

Patrzę na chłopca spod zmrużonych powiek, jakby to miało mi pomóc ocenić jego uczciwość.

– Niby dlaczego?

– Nie wiem, tu jest pełno takich duchów jak ja. Niektóre zostają, bo tak chcą, inne po prostu... zostają – wzrusza ramionami. – Tak czy siak, nie musisz się martwić, że wydam cię Duszom.

Pochyla się w moją stronę i rozgląda się, jakby obawiał się, że ktoś nas podsłuchuje.

– Thomas... to znaczy twój ojciec... opiekował się mną, wiesz? Chronił mnie przed różnymi dziwnymi rzeczami. Ten świat – patrzy w niebo i cicho gwizdże – jest nienormalny. A Thomas kazał mi cię szukać. Thomas i twoja matka.

Zaczynam wierzyć chłopcu – zna imię mojego ojca i wspomniał o mojej matce.

– Widziałeś moją matkę? Tutaj?

– Oczywiście – kiwa głową. – Są razem! A co myślałaś? Ładna ta twoja mama – rumieni się. – Ma oczy trochę podobne do twoich.

Przełykam ślinę, starając się opanować narastające w gardle podniecenie.

– Możesz mi pomóc? Możesz mnie do nich zaprowadzić? Chłopiec zaciska wargi, patrzy na niebo, a potem na piasek. – Nie mogę ci *pomóc*, krótko mówiąc. Kara byłaby... – drży. – No, spora. Ale mogę trochę cię... *naprowadzić*, a gdyby ktoś *przypadkiem* zawiadomił twojego ojca, że tu jesteś i wędrujesz po Pozaświatach, szukając go, i gdybyśmy zachowali to w sekrecie, to kto wie...

– Posłuchaj, byłabym ci bardzo wdzięczna za pomoc. Nie mam zbyt wiele czasu, a koniecznie muszę znaleźć... wiesz kogo – przejmuję jego paranoiczny styl, ściszam głos i rozglądam się, nim zacznę mówić dalej. – Jak radziłbyś mi postępować?

Chłopiec przysuwa się i lekko dotyka palcami mojego ramienia, mówiąc szeptem.

– Musisz myśleć tylko o nim. Nie trać czasu na myślenie o miejscu. Na pewno nie zgadniesz, gdzie jest. Na pewno. Ale on postara się i znajdzie cię. Tyle że nie tutaj.

Ciągle boję się posłuchać tego chłopca, którego mowa i ubranie są tak dziwne. A jeśli to podstęp?

– A jeśli nie? Jeśli on chce mi pomóc?

Nie mam innego wyjścia, podejmuję decyzję. Będę musiała uwierzyć, że chłopak ma dobre zamiary. W przeciwnym razie zmienię się w siwą staruszkę, która będzie wciąż stała na plaży w Pozaświatach i leżała na skórzanej sofie w świetle żyjących.

– A więc będę musiała się przenieść do innej krainy, tak?

– Obawiam się, że tak – przytakuje mały. – Ale zaufaj mi: myśl tylko o ojcu i niczym innym, a wtedy on cię znajdzie. Od dłuższego czasu stara się nawiązać z tobą kontakt.

Chłopiec odwraca się, bo od strony morza nadlatuje tak chłodna bryza, że krzyżuję ramiona, patrząc na wodę. Nagle wiatr cichnie, a ta niespodziewana zmiana przypomina mi, że nie jestem w swoim własnym świecie.

Kiedy rozglądam się, chłopca już nie ma. Znowu stoję sama na pustej plaży. Upewniam się jeszcze, ale nie ma wątpliwości. Chłopiec zniknął, jakbym nigdy go nie widziała. Szybko siadam na płaskim kamieniu nad brzegiem i poprawiam swoje suknie. Chcę jak najprędzej spotkać się z ojcem i wrócić do Birchwood, do świata, który znam. Zamykam oczy i myślę o ojcu. Zaczynam liczyć. Wiatr niesie te liczby nad wodą jak modlitwę.

– Jeden... dwa... trzy... cztery...

Nie dotykam ziemi, ale też nie lecę. Właściwie nie. Wpadłam w jakiś wir powietrza, który targa mną na wszystkie strony. To nie szybka, niewymagająca wysiłku podróż z jednego świata do drugiego, tylko jakieś kotłujące się morze, w którym nie mogę oddychać. Narasta we mnie zwierzęca panika. Zastanawiam się, czy mężczyzna, którego spotkałam na plaży, zawiadomił Dusze o moim pobycie w Pozaświatach i czy one będą chciały porwać mnie w Pustkę.

Wtem moje stopy dotykają ziemi. Nie zdawałam sobie sprawy, że mam zamknięte oczy, póki nie otwarłam ich i nie ujrzałam otaczającego mnie świata. Ten jest prawie pozbawiony barw; jak okiem sięgnąć, rozciąga się lód. Niebo nade mną jest białe aż po horyzont, tak że nie da się stwierdzić, gdzie kończy się lodowe pole, a zaczyna wyblakły nieboskłon.

Instynkt każe mi biec, opuścić ten świat jak najszybciej, poszukać ojca w innym świecie, ale decyduję się czekać, aby dać mu czas na znalezienie mnie, gdyby mnie tutaj szukał. Chociaż nie ma dokąd iść, nie mam ochoty stać pośrodku lodowego pustkowia. posuwam się naprzód, aż dochodzi do mnie niski, odbijający się echem dźwięk. Zatrzymuję się, żeby posłuchać. To głos, stłumiony, dobiegający z oddali. Zachowuję się bardzo cicho, mimo to nie rozumiem słów. Idę więc w stronę głosu. Na tym pustkowiu nie ma nic, co pozwalałoby ocenić, jak daleko zaszłam. Wiem jednak, że zbliżam się do kogoś, ponieważ głos staje się bardziej donośny. To przedziwne uczucie – słyszeć głos coraz bliżej i bliżej, a nie widzieć nikogo, ani nawet domu, drzewa czy jaskini. Niczego.

Dochodząc do źródła głosu, nabieram pewności, że to, co słyszę, jest wołaniem o pomoc. Przyspieszam kroku, chociaż nie jest to łatwe na tak śliskiej powierzchni, i zastanawiam się, jakiej pomocy mogłabym udzielić. Głos jest już bardzo blisko, więc przystaję i rozglądam się, potem ślizgam się dalej. Czuję się jak w tej dziecięcej zabawie w „ciepło-zimno”. Wiem, że chłopiec spotkany na plaży radziłby zachować ciszę i czekać na ojca, ale nie da się stać spokojnie, słysząc taki jęk, i o nic nie zapytać.

– Czy ktoś tu jest? Czy coś się stało? – głupio mi tak wołać na bezludziu.

Jęk cichnie, ale tylko na moment. Wkrótce rozlega się znowu i wreszcie udaje mi się zrozumieć kilka słów.

– Pomóż... Pomóż mi... Proszę – to chyba głos kobiety.

Patrzę dookoła, nie mogąc się domyślić, skąd wola ta osoba.

– Gdzie pani jest?

– Pomóż... Pomóż mi – głos jest tuż przy mnie, gdzieś obok. – Uratuj mnie...

Tym razem nie mam wątpliwości. Głos nie odzywa się gdzieś obok, tylko pode mną. Spoglądam w dół, na lód, i tracę równowagę, widząc postać uwięzioną pod taflą. Wydaję stłumiony okrzyk i w końcu upadam, młóćąc rozpaczliwie rękami i nogami. Podpierając się na kolanach i łokciach, ślizgając się i przewracając, pełznę jak najdalej od kobiety pogrzebanej pod lodem tuż pode mną, mimo że nie ma żadnego powodu, abym się jej bała. Jej twarz jest biała, lecz wszystkie rysy są dobrze zachowane. Nawet włosy ma zamrożone, ciągną się z tyłu głowy, unieruchomione w lodzie.

Kiedy mówi, jej wargi poruszają się prawie niedostrzegalnie.

–Pomóż mi... Nadchodzą ...

Ogarnia mnie przerażenie i litość. Chciałabym pomóc, ale prawdę mówiąc, to pragnienie walczy we mnie z przemożną chęcią ucieczki – muszę znaleźć się jak najdalej od tego koszmarnego widoku. Przeglądam w myśli wszystkie możliwości i szybko dochodzę do wniosku, że nie mam czasu na udzielanie pomocy. Jeżeli mam odszukać ojca i dowiedzieć się, gdzie jest lista, muszę unikać spotkania z Duszami. Nie mogę zbyt długo przebywać w jednym miejscu, szczególnie w tak przerażającym i niebezpiecznym.

Próbuję podnieść się na nogi, a wtedy głos kobiety zmienia się w jęk tysięcy głosów, wlokący się za mną w powietrzu, jakby tysiące przenikliwie zimnych rąk starały się pochwycić mnie i wciągnąć pod lód.

– *Pomóż nam... Zbłąkane... Umrzeć... Prosimy... Uwolnij nas... Dziecko...* – głosy mieszają się, zniekształcone, przenikają mój umysł. W końcu zatykam uszy rękami i stoję tak, sparaliżowana strachem i grozą.

Przypominam sobie, jaka była moja ostatnia myśl, kiedy opuszczałam plażę. I wiem, że jestem w Pustce.

Rozdział XXVIII

Nie mogę się pogodzić z faktami, z niedowierzaniem kręcę głową, ale prawdzie nie da się zaprzeczyć. Znalazłam się tutaj nie za sprawą Duszy, ale swojego strachu, swoich własnych myśli podczas podróży.

A myśli mają moc, Lia. Szczególnie w Pozaświatach.

Na wspomnienie głosu Soni otrząsam się z otępienia. Zamykam oczy i wyobrażam sobie ojca. W moim umyśle nie ma teraz miejsca na me innego.

Ojciec, ojciec, ojciec.

Unoszę się, zlodowaciały krajobraz oddala się ode mnie. Lecąc w górę, widzę twarze... tyle twarzy uwiecznionych pod lodem... wszędzie jak okiem sięgnąć. Rzesza dusz, zesłanych tutaj i unieruchomionych na wieczność.

A później jestem z powrotem w wirze powietrza. Znowu w ciemnościach.

Gdy otwieram oczy, szybuję nad łąką mokrą od rosy. Wiem, że jestem blisko Birchwood na równoległej równinie Pozaświatów, choć z każdej strony dostrzegam tylko pola i drzewa. Jest wieczór, a kiedy podnoszę wzrok, widzę nie szare niebo, pod którym Alice rzucała swoje groźby, ale to fiołkowe, ciemniejące teraz niebo z mojej pierwszej, ożywczej podróży ponad morzem.

Poznaję ogromny dąb ocieniający polanę nad rzeką. Kiedy byłam mała, ojciec często mnie tu zabierał, a latem czytał mi w cieniu tego zielonego olbrzyma. Dotykam stopami miękkiej trawy.

Nie boję się.

Idąc w stronę dębu, jestem pełna oczekiwaniami, jakbym czekała na coś wspaniałego, czego sama nie umiem nazwać. Pojmuję dlaczego, dopiero gdy wychodzą z lasu.

Ojciec wygląda na młodszego, niż go zapamiętałam, a matka tak, jak sobie wyobrażałam – jak młoda żona i matka. Idą w moją stronę, trzymając się za ręce, a wiatr przynosi ku mnie jej śmiech. Matka patrzy na ojca z zachwytem. Czuję się jak intruz, jakby ta chwila należała tylko do nich. Ale to uczucie trwa zaledwie sekundę. Kiedy mnie dostrzegają, ich twarze rozjaśnia uśmiech.

Po chwili już są przy mnie. Rzucam się ojcu w ramiona.

– Tato! To ty? – mamroczę wtulona w jego kurtkę.

Jego śmiech otacza nas ze wszystkich stron, rozbrzmiewa w jego piersi.

– Oczywiście, kochanie! Któż inny spacerowałby pod rękę z twoją piękną mamą?

Słowa te przypominają mi, że ojciec i ja nie jesteśmy sami.

– Mamo... Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że to ty.

Matka uśmiecha się, przechylając głowę – ten gest trochę przypomina mi Alice, trochę ciotkę Virginie.

– Musiałam przyjść. Potrzebujesz nas teraz chyba bardziej niż kiedykolwiek – jej oczy wypełnia troska.

– Poznałam treść proroctwa i moją rolę – potwierdzam. – *Muszę znaleźć listę nazwisk, a nie wiem, gdzie ojciec ją schował – odwracam się do niego. – Czy to byłeś ty? Kiedy za pośrednictwem Soni... tej dziewczyny, która rozmawia z duchami... – przypominam sobie, jak Sonia sama się nazwała, będąc w transie.*

Po wahaniu ojciec odpowiada.

– Próbowałem powiedzieć ci o liście, ale nie słyszałem cię dobrze. A potem przyszedł On.

Te słowa mrozą mi krew w żyłach, choć wiatr wieje tu ciepły.

– Tak.

– Byłem zmuszony odejść albo zaryzykować, że zostanę zatrzymany i odesłany w Pustkę. Byłbym tam teraz, gdyby nie moc twojej matki. Pomogła mi, kiedy Dusze chciały mnie tam zesaść. Od tej pory wciąż przed nimi uciekamy. – Ojciec spogląda na matkę, obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie tak czułym gestem, że ścisza mnie w gardle. Potem zwraca się do mnie.

– Wiedziałem, że jestem ci potrzebny. Dlatego nie przeszedłem na drugą stronę, dlatego nie przeszliśmy – rozgląda się dookoła i ścisza głos. – W Pozaświatach rozeszła się wieść, Lia. Gdyby ktokolwiek cię spotkał, masz być zatrzymana. Samaela boją się wszyscy, a jego Armia zastrasza słabsze duchy, żeby wykonywały jego rozkazy. Wszędzie mają szpiegów. My mamy swoich sprzymierzeńców, którzy w miarę możliwości pomogą nam, ale Dusze nie da się powstrzymać przez długi czas. Nie jesteśmy tutaj bezpieczni – ani ty, ani my.

– Musimy więc działać szybko – biorę głęboki oddech. – Powiedz mi, gdzie jest lista, żebym mogła odszukać pozostałe Klucze.

Ojciec pochyla się nade mną i szepcze mi do ucha:

– Zostawiłem ją pod opieką kogoś, kogo kocham. W moim pokoju.

Staram się rozszyfrować słowa ojca, przypominając sobie nasze poszukiwania w jego sypialni.

– Ale ja już...

Ojciec unosi rękę, jak gdyby nakazywał mi milczenie. Przykłada palec do ust i rozgląda się po okolicy. Rozumiem, o co mu chodzi – ktoś może nas szpiegować nawet teraz.

Kręcę głową, starając się uświadomić mu, że listy tam nie ma, że szukałam i szukałam, a jednak nie znalazłam. Ale ojciec stanowczo kiwa głową, jakby mówił: *Tak, jest tam na pewno. Musisz poszukać jeszcze raz.*

Powtarzam sobie w myślach jego wskazówkę: *Zostawiłem ją pod opieką kogoś, kogo kocham. W moim pokoju.*

Obraz powraca do mnie nagle, tak łatwo, jakby cały czas na to czekał. Patrzę ojcu w oczy i kiwam głową, czując tak długo oczekiwany przyływ nadziei.

Ojciec spogląda w górę – niebo ciemnieje, wokół nas gromadzą się cienie, których wcześniej tu nie było.

– Musimy już iść, Lia. Nasz czas się kończy.

Na myśl o rozstaniu czuję ucisk w sercu. Choć wcale jej nie chciałam, przyzwyczyłam się do odpowiedzialności za rolę wyznaczoną przez przepowiednię. Przyzwyczyłam się do życia bez kojących objęć ojca, bez dotyku jego silnej ręki. Jednak nawet tak krótkie spotkanie z rodzicami przypomniało mi o wszystkim, co utraciłam.

– Nie chcę odchodzić. Chcę zostać z wami – nie wstydzę się mówić jak bezbronne dziecko.

Matka podchodzi i przytula mnie.

– Lia – czuję jej oddech na swoich włosach jej szyja pachnie jaśminem. – Przykro mi, że spadło to na ciebie. Ale jesteś Aniołem, jedyną z sióstr, która może przerwać bieg proroctwa na zawsze. Tak ma być, nawet jeżeli bardzo byśmy nie chcieli. To zawsze miałaś być ty. Nie ma pomyłek, Lia. Nigdy. Przez całe wieki siostry czekały właśnie na ciebie.

Nawet po wszystkim, co już ujrzałam, chciałabym zaprzeczyć jej słowom. Lecz jest w nich prawda. Dlatego przytakuję, patrząc matce w oczy – takie same, jak widzę co rano w lustrze nad umywalką. Kiwam głową, dając do zrozumienia, że przyjmuję do wiadomości i akceptuję obowiązki płynące z przepowiedni, które pozostawiła po sobie, i że się nie boję.

Ojciec patrzy w niebo. Jeszcze jest niebieskie, ale powiał zimny wiatr, a wraz z nim nadeszło pierwsze przecucie niebezpieczeństwa. Spogląda na mnie przepraszająco. Musimy iść.

– Tak – unoszę podbródek i potakuję. Wiem, że na próżno starałabym się ich zatrzymać. Już teraz są mniej widoczni, słabiej obecni niż byli przed kilkoma minutami.

Matka przygarnia mnie w ostatnim uścisku.

– Od początku wiedziałam, że to jesteś ty; ale w twoich oczach zobaczyłam coś, co dało mi nadzieję. Było mi tylko żal, że nie mam dość sił, żeby pomóc ci walczyć.

– Pamiętaj, mamo. Nie ma żadnych pomyłek – kręcę głową. Matka śmieje się przez łzy i schyla, żeby mnie pocałować w policzek.

– Nie ma pomyłek, mój aniołku. – Odwracają się, by odejść, szybciej niż bym chciała. Matka jeszcze raz patrzy na mnie, jej twarz ocienia troska. – Pilnuj Henry'ego, Lia. Pamiętaj – nie czeka na odpowiedź, ale ja i tak się zgadzam.

Krzyczę za nimi:

– Kocham was. Kocham was oboje!

Tylko tyle mogę im powiedzieć. Wtedy odchodzą.

* * *

Podróżuję w kierunku Birchwood. Mieszają się we mnie emocje. Czuję smutek z powodu rozstania z matką i ojcem, a jednocześnie wielkie szczęście. Wypełnia mnie po brzegi, tak jakby to ich miłość pchała mnie naprzód.

Zdumiewa mnie fakt, że tak szybko nauczyłam się kontrolować swoje podróże w Pozaświatach, oraz pewność siebie, z jaką nadaję kierunek i prędkość swojemu lotowi.

Jeszcze nie wiem, że zaraz, gdzieś daleko za mną, rozlegnie się w niebie odległy trzask.

Na początku odczuwam go jak wibrację, mam wrażenie, że ziemia się trzęsie, chociaż jej nie dotykam. Potem z wnętrza ładu wydobywa się niski pomruk, jakby jego powierzchnia miała pęknąć pod naciskiem tego, co z hukiem mnie goni.

Duży, ciemny kształt widnieje przede mną na horyzoncie. Jestem przekonana, że to Birchwood. Niestety dostrzegam, że za mną, rycząc, leci ogromna, czarna horda Dusz. Z dala wyglądają jak rój owadów, ale wiem, że za chwilę tu będą i nie dadzą się przepędzić jak muchy.

Pragnienie dotarcia do Birchwood, znajomego i bezpiecznego miejsca, jest przemożne, ale nie jestem pewna, czy zdążę umknąć Duszom. Postanawiam nie lecieć dalej – podejmuję jedyną decyzję, która daje mi przynajmniej nikłą nadzieję ucieczki. Wyobrażam sobie, że po prostu unoszę się nad ziemią, i rzeczywiście mi się udaje.

Potem czekam, obserwując, jak chmura potężnieje, staje się coraz większa i głośniejsza, zbliżając się do mnie. Będę musiała stawić im czoło w ich własnym świecie. Chciałabym móc powiedzieć, że się nie boję, że podejmę starcie z Duszami pełna odwagi i zdecydowania. Ale to byłoby kłamstwo – bo kto może stanąć bez strachu przed niezliczoną ryczącą hordą? To mało powiedziane, że jestem wystraszona – jestem przerażona do tego stopnia, że drzę, nawet w swojej astralnej postaci. Jednak stoję, staram się stać twardo.

Mój plan nie jest zbyt sprytny, ale nie mam lepszego, więc czekam na właściwy moment i dopuszczam Dusze na taką odległość, żeby zadziałać z całą mocą, zgodnie z zaleceniami Soni. Muszę dobrze wymierzyć czas – interweniować w porę, aby powstrzymać Dusze, a jednocześnie nie za szybko, i nie tracić cennego, niedługiego momentu, jaki pozostanie mi na ucieczkę. Słucham głosu Soni w mojej głowie i liczę.

Jeden... dwa ... trzy.

Jeszcze nic.

Cztery... pięć ... sześć ...

Są już blisko, tak blisko, że widzę ich powykrzywiane, rozgniewane twarze i długie brody ginące w czarnych kaftanach, które w strzępach opadają z ich potężnych ciał.

Siedem ... osiem...

Dźwięk, jaki wydaje z siebie ta tłuszcza, jest nieludzki. To ryk rozjuszonego dzikiego zwierzęcia. Zbliżając się. Dusze się rozdzielają, podchodzą do mnie ze wszystkich stron, są nade mną, a nawet pode mną – aż czuję rozpacz, że zwlekałam zbyt długo, aż jestem pewna, że doszczętnie pożrą moją duszę.

Mogę tylko zamknąć oczy i myśleć o nasionku – maleńkim, ukrytym w najgłębszej, nieznannej części mojej istoty. Widzę, jak po kolei opadają łuski, odsłaniając kolejne, coraz jaśniejsze warstwy, a potem widzę napęczniałe energią jądro, które oddycha, pulsuje, tętni życiem.

Wciąż słyszę krzyk Dusz, ale należy on do innego świata. Ja jestem w spokojnym, wyciszonym miejscu. Jedyne dźwięki, jakie do mnie dociera, to bicie serca. Na początku wydaje mi się, że to moje serce tak łomocze. Potem jednak otwieram oczy i widzę czerwone światło pulsujące wewnątrz olbrzymiej masy, a jakieś potężne skrzydła uderzają ze świstem powietrze. Otoczony przez Dusze Samael emanuje krwawym blaskiem, jego serce bije w rytmie mojego, jego niezliczone skrzydła rozpościerają się ponad całą Armią.

Zmuszam się, by powrócić myślą do nasionka i jego jądra. Widzę, jak się otwiera, rozwija, *ekspłoduje*, wypełniając energią każdy zakamarek mojego ciała. Rozglądam się. Moja skóra, oczy, usta wysyłają lawendowe światło, które z każdą chwilą rozjaśnia się, w miarę jak ciało uwalnia siłę, której nigdy wcześniej ani nie czułam, ani nie potrafiłabym sobie wyobrazić. Rozchodzi się ona najpierw maleńkimi, potem coraz większymi, huczącymi falami.

Nawet jeśli Dusze wydają z siebie jeszcze jakiś krzyk, ginie on w muzyce, jaką gra moja energia, i w rytmie serca Samaela i mojego. Wydaje mi się, że nastąpił ten jedyny moment, kiedy mogę uciec do bezpiecznego Birchwood, powstrzymując Dusze dzięki władzy, jaką chwilowo udało mi się nad nimi zdobyć. Lecz wtedy słyszę głos:

– *O, Pani... Niech zapanuje Chaos. Otwórz Bramę.*

Instynktownie kręcę głową, bojąc się, że gdy się odezwę, stracę tę przewagę, jaką zdołałam uzyskać, pokazując swoją moc.

– *Twoja będzie potęga ogromna. Otwórz ramiona, Aniele Chaosu, i niech spustoszenie popłynie jak rzeka... Otwórz Bramę* – głos pełźnie w moją stronę poprzez rzeszę Dusz, poprzez niebo. Przebija się przez lawendowe światło, choć Duszom się to nie udaje. To tylko głos. Wypowiada jedynie słowa, ale działają one na mnie z taką siłą, jakby były jednocześnie groźbą i pieszczotą.

Z mojego ciała nadal bije światło, ale jego blask przygasa, podczas gdy słowa Samaela przepływają przez moje uszy, umysł, coraz głębiej, aż do skrytego miejsca, które cały czas czekało na ten zew. Głos obiecuje wolność, uwolnienie się od walki, która wydaje się nie mieć końca, chociaż ja toczę ją od niedawna. Uwolnienie się od kontynuowania walki w przyszłości i od przeszłości, która mogłaby nie pozostawić miejsca na to, czego pragnę najbardziej: na bezpieczeństwo, miłość, nadzieję.

Tymczasem nasionko jeszcze się rozwija, nawet gdy wydaje się, że nie może już więcej urosnąć. W końcu jego siła prawie mnie rozrywa, oddziela duszę od ciała. Ten ostatni wybuch energii daje mi nową moc, której potrzebuję.

Nie tracę czasu na spoglądanie wstecz. Zwracam się ku swojemu własnemu światłu, ku swojej własnej mistycznej sile i proszę, by jak najprędzej zabrała mnie do domu. Błagam, abym znalazła się w Birchwood, podczas gdy ona zatrzyma Samaela i jego Armię wystarczająco długo, żebym zdążyła powrócić do ciała spoczywającego na sofie w bibliotece. Na fali światła pędzę w kierunku bryły majaczącej w oddali. Nie trzeba zbyt dużo czasu, żeby przekonać się, iż to rzeczywiście Birchwood. Musiała być przecież jakaś przyczyna, dla której ojciec wybrał na spotkanie ze mną ten z Pozaświatów, który jest najbliżej domu. Wiedział, że Dusze nadciągną.

Wielki ryk za mną przeradza się w obłąkany pisk. Nie odwracam się, chociaż bardzo mnie kusi. Po prostu lecę, a pode mną, kiedy tak zbliżam się ku domowi, uciekają w pędzie pola. Jestem już niedaleko, ale zaczynam tracić siły. Nie dzieje się to nagle. Czuję raczej, jak wyczerpanie przenika powoli do moich kości i osłabia światło, które ze mnie wypływa. Jestem tak blisko, że widzę szybki w oknach z ołowianymi ramkami. Tak blisko, że dostrzegam nawet latarnie zapalone z powodu nadciągającego zmierzchu. Z tyłu jednak wciąż dobiega dudniący hałas. Odwracam się i już wiem, dlaczego zabrakło mi trochę czasu, żeby ucieczka się powiodła.

Przybywa po mnie Samael. Wysunął się na czoło Armii, a w miarę jak podąża w moim kierunku, jego serce bije coraz głośniejsze. Moc Dusz jest niczym wobec potęgi Samaela. Jego siła i wściekłość są odwieczne. Nadpływająca fala zła odbiera mi zdolność ruchu.

Trwam w powietrzu obok okna biblioteki. Siła woli wypływa ze mnie jak woda. Przypominam sobie, co powiedziała Virginia. Czy to mogło być dzisiaj rano?

Jeśli zwrócisz się do sióstr w odpowiednim momencie, to właśnie one ci pomogą. Moje ciało jest za słabe, żeby się nie poddać. Lecz mój umysł ma jeszcze dość woli walki, by zawołać o pomoc, której tak potrzebuję.

– Siostry... wszystkie siostry minionych wieków – głos brzmi tak, jakby nie należał do mnie. Brzęczy, dochodzi gdzieś z oddali, ale nie przestaję mówić. Zamykam oczy i staram się nie myśleć o tym, że Samael jest coraz bliżej i bliżej. – Wzywam was, siostry, pomóżcie jednej z was! Ocalcie mnie, abym mogła ocalić nas wszystkich.

Nie mam czasu, aby zastanawiać się nad absurdalnością wzywania pomocy w chwili, gdy nadciąga z rykiem ta straszna istota. Mijają sekundy – a może minuty czy godziny. Postanawiam zamknąć oczy i czekać z godnością na to, co nastąpi.

Ale wtedy czuję gwałtowny, ciepły wiatr i trzask gdzieś na niebie. Kiedy pojawia się kobieta, Samael i Dusze zwalniają tempo. Ona stoi kilka kroków ode mnie, gdzieś pomiędzy mną a nadciągającą Armią. Jest coś znajomego w upartym zarysie podbródka i głębokiej zieleni jej oczu.

Nieznajoma stoi pomiędzy mną a Duszami, a na niebie, nie wiadomo skąd, pojawiają się następne kobiety. Rozchodzą się na dwie strony, aby otoczyć Samaela i Dusze. Wokół ich przezroczystych nóg trzepoczą zwiewne suknie. Kobiety unoszą ręce i prawie dotykają się nimi. Pomiedzy ich dłońmi zaczynają przeskakiwać i trzaskać białe, gorące ogniki, tworząc mistyczny krąg płomieni oddzielający mnie od Bestii.

Kobieta, która pojawiła się jako pierwsza, unosi się w powietrzu obok mnie. Podczas gdy z mojego ciała wylało się jasne lawendowe światło, z niej płynie imponujący, fioletowy blask; rozszerza się i rozplywa nawet poza krąg ognia, przed którym strwożone rumaki Dusz stają dęba.

Jej usta się nie poruszają – głos dobiega z daleka. Dźwięczy w moim umyśle i zauważam, że kobieta w ogóle się nie odzywa.

– Idź, dziecko. Nabierz sił. Jeszcze się spotkamy.

Samael wyje, stojąc pośrodku i wymachując mieczem. Jego broń mieni się pomarańczową barwą, a z ostrza z sykiem lecą skry, które zderzają się ze światłem przybyłej na pomoc siostry. Choć widać, że kobiety dysponują ogromną mocą, nie chciałabym, żeby musiały mierzyć się z potęgą Samaela zbyt długo. Kiwam głową na znak, że zrozumiałam radę, a potem ostatnim wysiłkiem przenikam przez mury Birchwood.

Sonia i Luisa siedzą na podłodze obok sofy. Sonia trzyma moją bezwładną dłoń; ma zamknięte oczy i porusza ustami w cichej modlitwie. Opadam w czekające na mnie ciało ze stęknieniem, które jest chyba słyszalne w obydwu światach – wciągam powietrze, jakbym wcześniej przez długą chwilę wstrzymywała oddech i dopiero teraz mogła zaczerpnąć tchu.

– Wróciła! Wróciła! – wybucha krzykiem siedząca na podłodze Luisa.

Niewyraźnie czuję delikatny dotyk Soni na swojej ręce, tak jakbym jeszcze nie w pełni złączyła się ze swoim ciałem. Próbuję mówić, powiedzieć im, że trzeba wrócić do pokoju ojca i ponownie szukać listy, ale z moich warg wydobywa się tylko ciąg dźwięków i odgłosów, które w niczym nie przypominają słów. Sfrustrowana kręcę głową, a Sonia surowo do mnie przemawia:

– Lia, Lia. Spójrz na mnie, Lia. Posłuchaj mnie – wysuwa swoją dłoń z mojej i chwyta mnie za brodę tak, że jestem zmuszona patrzeć w jej twarz. Zagląda mi w oczy tak zdecydowanie, że muszę odwzajemnić spojrzenie. W jej oczach kryje się spokojne morze Pozaświatów. – Nie denerwuj się. To normalne. To zwyczajna rzecz, że nie da się mówić po powrocie z takiej podróży, rozumiesz?

Mogę tylko patrzeć, nie odważę się odezwać drugi raz.

Wszystko w porządku, Lia? Zaufaj mi. Za kilka minut odzyskasz mowę. Za moment w pełni odzyskasz czucie. Musisz spokojnie oddychać i poczekać. Pozwól swojej głowie przemyśleć to, co zrobiłaś i co widziałaś. Twój umysł musi ponownie przyzwycząić się do twojej fizyczności. Spójrz na mnie, Lia! Kiwnij głową, jeżeli zrozumiałaś – jej głos jest bezwzględny.

Czuję się jak dziecko, ale jednocześnie stanowcze polecenia Soni dają mi poczucie bezpieczeństwa. Zaglądam jej w oczy i próbuję skłonić głowę.

– Dobrze. Leż spokojnie. Po prostu leż i oddychaj. Podporządkowuję się całkowitej bezsilności mojego ciała. Kiedy patrzę na Luisę, jej przerażony wzrok pogłębia mój strach. Dlatego wolę patrzeć na Sonię i w jej niebieskie oczy, nim zacznę bardziej normalnie oddychać.

Sprawdzam, co się dzieje z palcami: każę im poruszać się i cieszę się, że są mi posłuszne. Tę samą procedurę powtarzam z resztą ciała, wydając mu coraz to inne polecenia, dopóki nie jestem pewna, iż wszystko funkcjonuje normalnie. Dopiero wtedy znowu próbuję mówić. Mozolnie wymawiam słowa, a Sonia i Luisa słuchają ich uważnie, jak zahipnotyzowane.

– Je ... jego pokój. Lista jest w jego pokoju. Za fotografią matki.

Rozdział XXIX

– Jesteś pewna, że została schowana tutaj? – Luisa wręcza mi zdjęcie matki, które zabrała z pokoju ojca.

Ja byłam zmuszona pozostać na sofie. Sonia poinformowała mnie, że słabość kończyn to jeden z negatywnych skutków ubocznych odczuwanych po tak wyjątkowo długiej i trudnej podróży po Równinie. Jakby tego było mało, pęka mi głowa. Coraz bardziej współczuję Soni, rozumiejąc, co musi wycierpieć jako spirytystka. Nie rozmawiamy o tym, ale ponieważ za oknem zrobiło się ciemno, wiemy, że nasz czas we trójkę się kończy. Wkrótce wróci ciotka Virginia z Alice i Henrym.

– Nie do końca, ale na tyle, na ile mogę być pewna w tych okolicznościach.

Przyglądam się twarzy matki. Mimo że fotografia jest czarno-biała, jej oczy są głębokie; przypominam sobie ich przenikliwość z czasu mojego krótkiego pobytu na Równinie.

– Chcesz, żebym ja to zrobiła? – pyta delikatnie Sonia.

– Nie. Ja to zrobię – odpowiadam.

Odwracam ramkę i kładę sobie na kolanach zdjęciem w dół. Bez trudu usuwam wąż metalowe klamerki i cienką deseczkę przytrzymującą fotografię od tyłu. Już mam zamiar wyjąć zdjęcie z ramki, kiedy zauważam coś w rogu, pomiędzy szybką a ozdobnym obramowaniem.

Unoszę ramkę, aby lepiej się jej przyjrzeć.

– Co tam jest? Jest tam coś? – niecierpliwie dopytuje się Luisa.

– Jeszcze nie wiem... – odpowiadam, ale już po chwili zdaję sobie sprawę, że tam rzeczywiście coś jest. Wyjmuję to drżącymi palcami – nie wiem, czy drżą z przejęcia, ze strachu czy też z powodu mojej niedawnej podróży po Równinie.

– Ale... to takie małe – mówi Sonia. – To nie może być lista! Trzymam w palcach maleńki skrawek papieru, najwyraźniej oddarty od większej stronicy. Nie jestem jednak aż tak rozczarowana, jak można by się spodziewać. I tak prawie dotarliśmy do listy. Chociaż nie ma jej tam, gdzie schował ją ojciec, jedno jest pewne – kiedyś była ukryta właśnie tutaj.

Sonia i Luisa nic nie mówią, podobnie jak ja. Rozczarowanie objawia się milczeniem, w którym słycać tylko nasze oddechy, a nie słowa. Ja jestem osobą, która po chwili zabiera głos i jednym wyrazem zakłóca ciężką ciszę biblioteki.

– Alice.

* * *

Chodzę po swoim pokoju, zbierając myśli przed konfrontacją z moją siostrą. Wcześniej nie mogłam się skupić z powodu zamieszania, jakie wywołali ciotka Virginia i Henry, chwając się swoimi zakupami i opowiadając, co się wydarzyło w ciągu dnia. Mogłam tylko obrzucić Alice palącym spojrzeniem, nim zamknęła się w swoim pokoju. Potem był obiad, pełen napięcia, lecz uroczysty – w domu wciąż mamy gości, mimo że Święto Dziękczynienia właściwie już minęło.

Luisa i Sonia zaproponowały, że będą obecne podczas mojej rozmowy z siostrą. Jednak to ja jestem odpowiedzialna za tę część prorocstwa, tę fazę bitwy. Czekam na starcie cały wieczór, narasta we mnie furia.

Alice współdziała z Duszami, które pragną mojej śmierci. Alice naraża mnie na niebezpieczeństwo, odwracając zaklęcie rzucone przez matkę.

Alice zabiera listę.

W chwili, gdy domownicy zapadają w sen jestem doskonale przygotowana na odebranie listy Alice i wychodzę z pokoju zdecydowanym krokiem, bynajmniej nie stąpając cicho, jak może należałoby o tak późnej porze. Dochodzę do drzwi i pukam, ale otwieram je sama, nim Alice zdąży podejść. Nie dam jej możliwości pozostawienia drzwi zamkniętych.

Na jej twarzy widać absolutne zdziwienie, którego nigdy wcześniej tam nie było. Przyciska rękę do piersi, a jej zdumione usta wymawiają bezgłośnie „O!”.

– Lia! Cóż ...

Maszeruję w jej stronę. Po tylu latach, kiedy byłyśmy prawdziwymi siostrami, przyjaciółkami i powiernicami, widzę, że Alice boi się mnie. Kiedy staję o krok od niej, cofa się.

– Oddaj mi ją, Alice – wyciągam rękę, chcąc, żeby zrozumiała, e nie wyjdę bez listy, która jest dla mnie drogą do wolności.

Alice kręci głową. Niezły popis udawanego zmieszania.

– Nie wiem ... Nie wiem, o co ci chodzi.

– Dobrze wiesz, Alice – mrużę oczy. – Masz ją. Ukradłaś ją pokoju ojca.

Alice prostuje się, oczy jej błyszczą – strach zaczyna ustępować miejsca oburzeniu.

– Pragnę cię poinformować, iż nie mam tego, co myślisz, że mam. Ale sądząc po twoim zachowaniu, musi to być coś bardzo ważnego. Szkoda więc, że tego nie mam, cokolwiek mogłoby to być – w jej spojrzeniu jest ten złowrogi blask, który zawsze sprawia, że boję się, co za chwilę powie albo zrobi. Jak pokazują dalsze słowa mojej siostry, obawa jest uzasadniona. – Zwłaszcza że ty zabrałaś coś mojego.

Przez moment wpatrujemy się w siebie, a w ciszy pokoju słychać nasze płytkie oddechy. Nie mam zamiaru potwierdzać, że nóż znalazł się w moim posiadaniu, ani go zwracać. Staram się więc wypełnić swoje słowa spokojem, którego we mnie nie ma.

– Oddaj ją, Alice.

Moja siostra przechyla głowę i patrzy mi bez mrugnięcia prosto w oczy.

– Nadal nie wiem, o co ci chodzi.

Wściekłość aż we mnie kipi. Ona dobrze wie, w czym rzecz. Ale ja nie mam wyboru – muszę wyraźnie powiedzieć, co mam na myśli, inaczej przez całą noc będę stać w pokoju Alice i bawić się w zgadywanki.

– Lista. Lista nazwisk sporządzona przez ojca. Była schowana za zdjęciem matki, stojącym na nocnym stoliku. A teraz jej nie ma.

Alice odwraca się, nonszalancko podchodzi do toaletki i, patrząc do lusterka na moje odbicie, zaczyna wyjmować szpilki włosów.

– Ach... Teraz rozumiem. Wreszcie zmądrzałaś i zaczęłaś doceniać znaczenie Kluczy. – Znów stoi twarzą do mnie i klaszcze w dłonie, jakby biła brawo w teatrze. W ciszy klaśnięcie rozlega się jak trzask. – Doskonale, Lia. Pewnie jesteś z siebie bardzo dumna. Jednak ja nie mam listy. Tak, chciałam ją znaleźć. Poszłam nawet do pokoju ojca, żeby jej szukać. Sprawdzałam za fotografią, ale już wtedy listy tam nie było.

Nie umiem ukryć zmieszania, które zapewne pojawiło się na mojej twarzy.

– Skąd wiedziałaś? Skąd wiedziałaś, gdzie była? Ja cały czas szukałam.

Alice śmieje się w głos, szczerze rozbawiona.

– Och, Lia! Jeszcze nie rozumiesz? – okręca się wkoło, a długie włosy spadają jej na ramiona kaskadą loków. – Nie potrzebuję pytać ojca, żeby się czegoś dowiedzieć. Nigdy nie potrzebowałam. Dość szybko doszłam do wniosku, że nie jestem dla niego interesująca. A przynajmniej nie wtedy, kiedy jest przy nim jego skarb Lia. Nie, nie potrzebowałam go na tym świecie ani nie potrzebuję teraz, gdy jest w innym. Nie potrzebuję Virginii. Ani ciebie. Mam swoje sposoby, żeby zdobyć informacje. Żałuję tylko, że spóźniłam się ze znalezieniem listy.

– Co to znaczy? Znalazłaś ją za późno?

Alice wzdycha, jak gdyby musiała tłumaczyć najprostsze rzeczy małemu dziecku.

– W ramce nie było nic poza fotografią naszej drogiej matki jej słowa ociekają sarkazmem. – Wiedziałam, że wcześniej lista tam była, założyłam więc, że to ty ją znalazłaś i schowałaś gdzie indziej.

Stojąc twarzą w twarz z siostrą, nie znajduję słów. Mój gniew ustąpił miejsca głębokiej, dręczącej obawie. Skoro ja nie mam listy... i Alice naprawdę jej nie ma ...

Komu jeszcze mogłaby się przydać rzecz tak niebezpieczna i mroczna?

* * *

Anioł chroniony jest tylko cienkim woalem, delikatnym, ziemskim, łatwym do podarcia.

Budzę się, słysząc w najgłębszych zakamarkach świadomości jakiś szept. Spałam niespokojnie, chociaż miałam sny, o których wiedziałam, że na szczęście są tylko snami. Niczym więcej. Budzę się, nadal nie znając odpowiedzi, a znajome słowa raz po raz rozbrzmiewają mi w uszach.

Anioł chroniony jest tylko cienkim woalem.

Chroniony jest tylko cienkim woalem.

Chroniony jest tylko.

Chroniony woalem.

Chroniony.

Chroniony.

Słowa powtarzają się, jak gdyby zacięła się jedna z płyt gramofonowych rodziców.

Jakby ktoś starał się coś mi przekazać. Naraz słyszę urywane zdania ojca, płynące gdzieś poprzez światy: *Henry to wszystko, co zostało z woalu..* I nagle wiem, co to oznacza.

Rozdział XXX

Pokonuję schody pędem błyskawicy. Nie przejmuję się hałasem, jaki robię na klatce schodowej – a musi być spory, bo z jadalni wyglądają przestraszone Luisa i Sonia.

Sonia ściska w ręce serwetkę i patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Lia! Co ty...

– Gdzie ciotka Virginia? – ryczę na cały dom, gdyż ogarnia mnie coraz większa desperacja.

Luisa i Sonia są w szoku z powodu mojego zachowania, szeroko otwierają oczy.

Słyszę stukot obcasów na marmurowej posadzce i szybko odwracam się, ale to nie ciotka, tylko Margaret. Patrzy na mnie jak na oszalałą, kiedy tak wrzeszczę jak dzieciak.

– Z jakiego powodu panienka krzyczy?

– Prze... przepraszam, Margaret. Muszę natychmiast porozmawiać z ciocią. Czy Margaret wie, gdzie ona jest? – w moim głosie słychać strach.

– Oczywiście, kochana, wiem – służąca uśmiecha się. – Jest na górze. W sypialni.

– W łóżku?

Równie dobrze Margaret mogłaby powiedzieć, że ciotka czesze konie w stajni – byłoby to tak samo prawdopodobne jak pozostawanie ciotki w łóżku w ciągu dnia.

– Tak, w łóżku. Nie czuje się dobrze. Ostatnio była wyjątkowo zmęczona, więc poradziłam jej, żeby została w łóżku i wypoczęła. Jestem pewna, że to nic poważnego. Ciocia po prostu gorzej się poczuła. – Margaret znów uśmiecha się uspokajająco, jakby to mogło uśmierzyć ogarniającą mnie gorączkę. – Zajrzyj do niej potem, kochanie. Teraz pozwól jej jeszcze pospać. Jestem przekonana, że jej samopoczucie poprawi się.

Potakuję, bo pamiętam utrudzenie ciotki po tym, jak pomogła mi w Pozaświatach. Zaglądam do salonu, ale widzę, że nikogo tam nie ma, zwracam się więc znowu do służącej:

– Margaret?

Tak, panienko.

– Gdzie są Alice i Henry?

Przez zazwyczaj spokojną twarz Margaret przelatuje cień niepewności.

– Cóż, właśnie o tym chciałam porozmawiać z panną Spencer...

Unoszę brwi.

– Może omówisz więc tę sprawę ze mną?

Margaret nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Wydaje mi się, że po raz pierwszy poczułam się panią we własnym domu.

– A więc, panienko .. Alice zabrała Henry' ego nad rzekę.

Otwieram buzię ze zdumienia, patrząc przez okno na sine niebo.

– Nad rzekę? Teraz? Przecież lada moment zaczniesz lać, Margaret!

Przynajmniej udaję zakłopotaną.

– Chciałam powiedzieć panie Spencer, ale źle się czuła, więc... – Margaret milknie i odwraca wzrok.

– Jak mogłaś jej na to pozwolić? Jak mogłaś pozwolić jej zabrać Henry'ego? To jeszcze dziecko!
– oskarżam ją bez ogródek, chociaż wiem, że to nie do końca uczciwe. Przecież Alice jest siostrą Henry' ego. Dlaczego nie miałyby zabrać go na dwór, na świeże powietrze, nawet w tak brzydki dzień jak dziś, gdyby wyraził taką chęć? Dlaczego Margaret miałyby wątpić, że Alice robi to powodowana wyłącznie siostrzaną miłością i oddaniem?

Twarz Margaret tężeje.

– Jeżeli panienka chce wiedzieć, Alice nalegała, aby pozostawiono ją samą z paniczem Henrym. Nie ukrywała faktu, że to ona jest panią Birchwood, nie zaś panna Spencer. I że kwestionowanie jej poczynań nie należy do moich obowiązków. Dokładnie tak powiedziała, panienko: „Kwestionowanie moich poczynań nie należy do twoich obowiązków, Margaret”. Bardzo mi przykro, ale nie mogłam jej zatrzymać.

Odwracam się do Soni i Luisy.

– Zostańcie tutaj. Cokolwiek by się działo, nie wychodźcie z domu. – Biorę płaszcz, otwieram drzwi i wychodzę na przejmujący chłód. Obchodzę wkoło dom i widzę, że stoją na brzegu rzeki. Zbiera się na deszcz. Zatrzymuję się i patrzę w niebo, a wtedy zimna kropla spada na mój policzek.

Zaczynam biec.

Suknie oplątują mi się wokół kostek, kiedy tak pędzę dróżką wykładaną kamieniem. Z daleka widzę, że Alice stoi kilka kroków od Henry'ego. Chyba nie dzieje się nic złego. Przez chwilę myślę, że może jestem w błędzie. Nie robią nic innego, jak rozmawiają.

W tym momencie niebo otwiera się z trzaskiem i zaczyna lać deszcz. W jednej chwili włosy mam przyklepione do głowy i coraz trudniej mi się poruszać w przemoczonych sukniach. Lecz Alice i Henry nadal stoją nieporuszeni nad brzegiem rzeki, jakby grzali się w blasku słońca. Nie zwracają uwagi na strumienie deszczu, w których mokną. Teraz wiem, że nie pomyliłam się. Zmuszam nogi do coraz szybszego biegu.

Nie stoją na kamiennym nabrzeżu, zeszli już nad samą rzekę. *Za blisko wody* – myślę. Choć musieli zauważyć, że zbliżam się w ich stronę, żadne z nich na mnie nie patrzy. Dyszę, staram się złapać oddech. Jestem o kilka metrów od nich.

– Co robicie? – pytam, przekrzykując deszcz, mimo że wiem, po co Alice przywiozła tu Henry'ego.

Przez chwilę żadne z nich nie udziela odpowiedzi. Patrzą na siebie, jakby nikt inny nie istniał. W końcu odzywa się Alice.

– Odejdź, Lia. Jeszcze możesz się wycofać. Pozwól mi porozmawiać z Henrym. Załatwię wszystko tu i teraz.

Przyglądam się Henry'emu naprawdę dokładnie i wzbiera we mnie gniew. Siedzi na wózku, wydaje się mniejszy niż zwykle, skulony na deszczu. Wygląda jak kot, którego kiedyś wykąpaliliśmy w beczce za stajnią. Z zimna szczęka zębami. Ma na sobie tylko marynarkę.

– To tak samo moja sprawa, jak i twoja, Alice. Nie masz wstydu, wzięłaś Henry'ego na deszcz? – podchodzę, chcąc go zabrać do ciepłego, bezpiecznego domu. Całą resztą można się zająć później.

Alice wkracza pomiędzy nas.

– Henry nigdzie nie idzie, Lia. Nie teraz. Nie pójdzie, dopóki nie odda mi listy.

Chciałabym, żeby Henry zaprzeczył, zaprotestował, powiedział cokolwiek, żeby tylko nie narażał się na dalszą torturę i nie stał między Alice i mną – dwiema siostrami, które najbardziej na świecie pragną osiąść tę samą rzecz. Lecz Henry mówi inaczej.

– Ona by ją zabrała, Lia. Widziałem, jak patrzy. Moim zadaniem jest chronić cię. Tak powiedział ojciec.

– Ojciec! Ojciec nie żyje. Henry! – krzyczy na wietrze Alice, kładąc ręce na biodrach. – Nie ma już nikogo, przed kim musiałbyś się tłumaczyć. Nikogo – tylko ja i Lia. Możesz dać jej wolność, Henry. Na zawsze. Wystarczy, że *oddasz mi listę*. – W jej głosie pobrzmiwa nowa siła, jest bardziej donośny niż szum deszczu i rwącej rzeki razem wzięte.

– Henry! Spójrz na mnie. Henry! – chcę, żeby widział, że nie ma we mnie strachu, i staram się mocą swoich myśli zatrzymać jego spojrzenie. – Nie boję się! Nie ma potrzeby, żebyś mnie chronił, rozumiesz?

Wargi Henry'ego nabrały niezdrowej sinej barwy, przy brzegach przechodzącej w fiolet. Mój zziębnięty brat prawie nie może mówić, nie potrafi wydobyć z siebie słów.

– Ojciec kazał mi jej pilnować. Dla cie... ciebie, Lia.

Wtedy widzę, że stało się to, czego się najbardziej obawiałam.

Henry zaciska pięść wokół czegoś białego, pomiętego. W myślach przeklinam swoje czyny. Żądając, by Alice oddała listę, dałam jej do zrozumienia, że jej nie mam. Dlatego podjęła poszukiwania gdzie indziej.

– Włóż ją do kieszeni, Henry. Schowaj, dopóki nie będziemy w domu – idę w jego stronę, przywołując całą odwagę, jaką mam. Zabieram go do domu. Niech tylko Alice spróbuje mnie powstrzymać.

Ale ona nie próbuje. Wcale się do mnie nie zbliża. Podchodzi natomiast do Henry'ego, łapie uchwyt wózka i obraca się przodem, żeby stanąć twarzą w twarz ze mną.

– Ani kroku dalej, Lia. Powiedziałam ci, żebyś się nie wtrącała.

Potem mówi do Henry'ego:

– Daj mi tę listę, Henry. Jeśli chcesz chronić Lię tak, jak mówisz, jak kazał ci ojciec, to daj mi listę. Jeżeli tego nie zrobisz, Lia nigdy nie uwolni się od swojego brzemienia.

Mnie nie musi grozić słowem. Jej ręce przy wózku Henry'ego, stojącym na brzegu rzeki, są wystarczającą groźbą.

Henry uparcie odmawia.

– Nie. Zrobię tak, jak kazał mi ojciec – jego usta drżą, zdradzając, jak bardzo jest wystraszony i zmarznięty, choć tak stanowczo obstaje przy swoim.

Mam tego dość. Podchodzę do Henry'ego, udając pewność siebie, której mi brakuje.

– To żałosne, Alice. Natychmiast puść Henry' ego. Zabieram go do domu.

Dotykam jej ramienia, a wtedy okręca się szybciej, niż chyba się da w takim deszczu. Ona i Henry stoją teraz odwróceny w stronę rzeki, a Alice spogląda na mnie przez ramię.

– Nie podchodź, Lia. Nie zbliżaj się,

Zatrzymuję się i stoję bez ruchu. Myślę. Tak szybko, jak tylko umysł może ponieść moje myśli. Twarz Alice jest nieodgadniona. Wyraża złość, strach i smutek – pomieszane tak, że nie sposób stwierdzić, gdzie kończy się jedno uczucie, a zaczyna drugie. Wygląda jak na wpół obłąkana, oczy ma szalone. Nie ufam jej, nie powierzę jej brata. Najrozsądniej będzie zabrać go od niej, i to szybko. Robię krok naprzód, udając przed sobą, że wierzę w jej rozsądek, choć tak nie jest.

– Nie rób tego – błaga. Jej oczy zebrzą o coś, czego nie rozumiem i nie mogę jej dać. – Lia, proszę.

Ta ostatnia prośba sprawia, że pewnie ruszam naprzód, wierząc, iż Alice nie chce skrzywdzić Henry' ego.

Lecz popełniam błąd, wielki błąd. Robię tylko jeden krok, a ona już, skinąwszy lekko głową, popycha Henry' ego w stronę rzeki – delikatnie, jak gdyby turlała kamień.

To dziwne, ale mimo szumu ulewy słyszę złowrogi zgrzyt wózka Henry' ego. Koła suną kamienistym brzegiem niezbyt szybko, ale nabierają prędkości od miejsca, gdzie spadek jest większy.

Najdziwniejsze jednak jest to, że wszystko dzieje się tak powoli. Resztki logicznego myślenia podpowiadają mi, że zdarzenia niebezpiecznie przyspieszyły, ale mnie się wydaje, że rozgrywają się w zwolnionym tempie, a czas biegnie jakimś nietypowym, pokrętnym torem.

Rzucam się na mokrą ziemię, aby złapać Henry'ego za nogę, schwycić szprychę wózka, cokolwiek. Henry jednak toczy się w stronę rzeki. Brnę na czworakach przez błoto i udaje mi się przytrzymać szprychę, wózek zwalnia, ale wtedy iskra bólu przeszywa mi palce.

Henry siedzi tak boleśnie cicho, trzymając się poręczy z całą siłą, na jaką stać jego wątłe ciało. Staram się. Staram się utrzymać jego pojazd, ale jest tak ogromnie ciężki, a moje palce nie dość mocne, żeby powstrzymać ruch stali. Ostatnim, gwałtownym szarpnięciem wózek wyrzywa się z mojej ręki.

Henry spada do rzeki. To niesamowite, ale utrzymuje się w wózku, dopóki nie uderzy w głaz na samym dole. Wózek przewraca się, a on wylatuje z niego.

Prosto w rwący nurt.

Rozdział XXXI

– Ja... Ja nie... – Alice mamrocze poprzez deszcz, ale ja pędzę ku rzece.

Nie myślę o niczym poza Henrym, który z powodu bezwładnych nóg jest w rwącym nurcie bezradny. Trudno mi szybko dotrzeć nad wodę. Rzucam się na głębinę, pragnąc, aby prąd jak najszybciej poniósł mnie w stronę brata. Zanurzam się pod powierzchnię; przeszywa mnie niespodziewany chłód. Prąd niesie mnie w dół rzeki, jednocześnie wpychając mnie pod wodę. Początkowo z nim walczę, potem się poddaję. Pozwalam, by rzeka rzucała mną na wszystkie strony, żeby boleśnie uderzała moim ciałem o dno i ocierała je o skały.

Zaczynam działać dopiero wtedy, gdy brakuje mi oddechu. Desperacko walczę o powietrze, z całej siły odpychając się od kamienistego podłoża. Pływać nauczyłam się dawno temu, w spokojnych wodach wokół wyspy, gdzie spędzaliśmy letnie wakacje, ale ten gwałtowny pęd w dół rzeki nie ma nic wspólnego z łagodnym kołysaniem morza. Moja głowa pojawia się na powierzchni ciemnych fal, ale rzeka ciągnie mnie za suknie, grożąc, że zaraz pójdę na dno. Wydaje mi się, że przede mną unosi się jakiś ciemny kształt, lecz po chwili skłębiony nurt znowu mnie zatapia.

Jeszcze raz podejmuję walkę, myśląc, że Henry jest może na wyciągnięcie ręki. Kopię nogami, wyciągam ramiona, chcąc wydostać się na powierzchnię. W końcu mi się udaje, łapczywie łykam powietrze. Deszcz ciągle pada, ale kółka tworzone na wodzie przez krople natychmiast się rozmazują – nurt jest zbyt bystry. Wypatruję oczy, pragnąc dostrzec Henry'ego w kotłującej się rzece, ale woda jest mętna, a ulewa nie ustaje. Nie widzę nic, co dawałoby nadzieję. Znowu zostaję pociągnięta na dno.

Jestem zmęczona, zeszywniała z zimna, obolała od uderzeń o głazy. Prąd rzuca mną jak zagubioną walizką. Czuję nieprzepartą pokusę wiecznego snu. Coś mi mówi, żeby się poddać. Chcę otworzyć usta i pozwolić, żeby woda wlała się do mnie, zatapiając każdy mój skrawek, bo tak przynajmniej mogę zakończyć walkę z rzeką, z proroctwem i nałożonym na mnie brzemieniem.

Głos matki zmusza mnie, by przez sekundę myśleć z całą jasnością. *Pilnuj Henry'ego, Lia.* Rozlega się jak echo w na wpół martwej części mojego umysłu, tej części, która się prawie poddała. Wydostaję się na powierzchnię, tocząc bój o życie swoje i swojego brata.

– Lia! Tutaj! Płyn tutaj! – najpierw myślę, że to głos w mojej wyobraźni, ale okazuje się, iż jest prawdziwy i dochodzi z nad wody.

Unoszę głowę, rozglądając się ponad bystrzami, przypatrując się brzegowi. W końcu dostrzegam ją. To Alice. Stoi tuż przy rzece, trzymając długi, gruby konar.

– Trzymaj się, Lia! Musisz spróbować! Próbuj podpłynąć w moją stronę! – głos jest ledwie słyszalny, chociaż Alice na pewno krzyczy z całych sił, żeby wołanie w ogóle mogło do mnie dolecieć.

Stoi w dole rzeki, w sporej odległości, więc może zdążyć skręcić w jej stronę, jeśli będę płynąć jak szalona i wyteżę wszystkie siły. Ale Henry... Rozpacz doprowadza mnie do obłędu, a kiedy znów oddaję się obserwacji rzeki, zaczynam tonąć. Po Henrym nie ma śladu. Nie widać także ciężkiego wózka, który na pewno spoczął gdzieś w odmętach.

– Lia! Tutaj! – Alice ciągle macha, ciągle woła. Patrzy tylko na mnie. Kto będzie szukać Henry'ego?

Postanawiam, że spróbuję chwycić się konaru, choćby tylko po to, żeby zyskać spokojną chwilę na obserwację rzeki i brzegów, na wypatrywanie ciemnowłosej główki brata. Prąd pcha mnie z taką siłą i taką prędkością, że próby oporu odbierają mojemu zmaltretowanemu ciału ostatnią resztkę sił.

Na przekór wszystkiemu udaje mi się jednak zmienić kierunek; zbliżam się do prawego brzegu. Podczas tego manewru wykorzystuję siłę prądu, który teraz działa na moją korzyść i kiedy jestem w pobliżu Alice, niesie mnie tak szybko, że obawiam się, iż minę ją, porwana jednym z silnych ramion nurtu.

– Gotowa? Musisz się złapać, mijając mnie, rozumiesz? – słyszę przed sobą polecenia Alice i, o dziwo, kiwam głową, zgadzając się wypełnić je mimo tego, co zaszło.

Prąd niesie mnie i niesie do miejsca, gdzie konar zanurza się w wodzie.

– Przygotuj się! Jeden... dwa ... czekaj ... Teraz, Lia! Teraz! Łap! – Alice wychyla się tak daleko nad wodę, że chyba za chwilę wpadnie za mną. Docierając do niej w pędzie, wyciągam rękę i szukam, szukam konara w rzece. Już prawie go mijam, prawie tracę możliwość ratunku, kiedy wyczuwam dłonią szorstką, spękaną korę. Szybko zaciskam palce, zanim będzie za późno.

W tym momencie moje ciało przerywa swoją podróż w dół rzeki. Wciąż czuję, że prąd chciałby mnie wlec dalej. Czuję, jak moje namoknięte suknie owijają mi się wokół nóg i ciągną na dno. Ale konar i siostra pomagają mi utrzymać się na powierzchni.

– Lia! Lia – Alice ciężko dyszy i jest przemoczona do suchej nitki, jakby ona też się topiła. Z trudem wyciąga dłoń, drugą przytrzymując konar. – Złap mnie za rękę, Lia.

Prawie jej nie słyszę. Moje oczy wciąż rozglądają się po rzece, po całej jej długości, aż do zakrętu, za którym znika. *Może złapał nisko rosnącą gałąź – myślę. Może wpadł gdzieś na mieliznę. Może przytrzymał się skały i czeka, aż nadejdzie pomoc.*

Wymieniam sobie w myślach wszystkie możliwości, jakbym zastanawiała się, co może być na podwieczorek. Tak, jakby każda z nich była równie prawdopodobna, mimo że po Henrym nie ma śladu. Po jego wózku też nie. Patrząc na rzekę, można by pomyśleć, że Henry' ego wcale tu nie było.

– Teraz, Lia! Musisz złapać mnie za rękę! Ta gałąź już długo nie wytrzyma. – Alice jest zła, a mnie dziwi, że w ogóle zwracam uwagę na tę złość.

– H... h... enry – jest mi tak zimno, że nie czuję konaru trzymanego w dłoni, chociaż go nie puszczam.

– Henry' ego będzie szukać ekipa ratunkowa. A ty musisz wydostać się z wody, nim gałąź się złamie.

Ciągle myślę. I myślę. Chcę wymyślić sposób, jak uratować brata.

– Lia! – Alice krzyczy przez łyż i dopiero teraz zauważam, że szlocha tak rozpaczliwie, iż prawie nie może mówić. – Wychodź z wody *natychmiast*. Słyszysz mnie? Słyszysz? Nie przydasz się Henry'emu martwa na dnie rzeki.

Nie czas na to, żeby zastanawiać się nad propozycją pomocy. W głosie, płaczu, panicznym strachu na twarzy Alice jest coś, co sprawia, że przyjmuję ją. Alice ma rację. Bezwzględna rację. Muszę wydostać się z rzeki, żeby zapewnić pomoc Henry'emu, a teraz nie ma na to innego sposobu. Alice jedną ręką trzyma konar. Drugą wyciąga do mnie. Potrzebuję kilku chwil, by zdobyć się na odwagę, bo ja jestem bardzo zmarznięta, a rzeka bardzo wartka – obawiam się, że znowu wpadnę w jej nurt. Tym razem nie przeżyłabym tego.

Jedną rękę zaciskam mocniej wokół gałęzi. Drugą wyciągam do Alice.

Moja siostra łapie mnie tak mocno, że nie mam najmniejszych wątpliwości, że prędzej wpadnie ze mną do wody, niż mnie puści. Ciągnie innie z siłą, o którą nigdy jej nie podejrzewałam. Wreszcie przewraca się do tyłu, w błoto, podczas gdy ja mam tułów na brzegu, a nogi w wodzie.

Alice wstaje, ślizgając się, i obraca mnie na plecy.

– Lia, Lia. Wszystko w porządku? – Jej twarz jest blada i mokra. Nie wiem, czy kapią na mnie krople deszczu, czyjej lzy. Potem osuwam się w ciemność.

* * *

Pokój jest nagrany, ale ja odbieram ciepło jako nieobecność zimna, które na dobre wniknęło we mnie, zanim Alice wyciągnęła mnie z wody. Wciąż jestem zdrętwiała, nie wiem, czy ze strachu, czy chłodu. Krzątają się przy mnie Ivy i ciotka Virginia, przykrywając mnie dodatkowymi kocami i zmuszając do picia herbaty tak gorącej, że aż parzy w język.

– Proszę, kochanie. Czy już ci cieplej? Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – czuję spojrzenie ciotki Virginii na mojej twarzy, ale nie potrafię go odwzajemnić.

Kręcę głową, oddając się obserwacji pięknej haftowanej narzuty przykrywającej łóżko. Ekipa ratunkowa nadal szuka Henry'ego. Sonia i Luisa są na dole, w którymś z pomieszczeń milczącego domu. Wiem o tych sprawach, lecz nie umiem zebrać energii, aby pomyśleć o którejkolwiek z nich.

Ktoś puka do drzwi i ciotka Virginia zmuszona jest zwrócić wzrok na Ivy, stojącą przy umywalni z miską gorącej wody. Ivy podchodzi do drzwi, uchyla je, znowu zamyka i zbliża się do ciotki.

Pochyla się nad nią i szepcze jej coś do ucha. Wiem, że uważają, iż jestem bliska szaleństwa. Boją się, że coś mogłoby pogorszyć mój stan – ja tymczasem nie czuję zupełnie nic.

– Zaraz wracam, Lia – ciotka Virginia przygląda mi włosy na czubku głowy, a potem całuje mnie w czoło. Jej chłodne wargi dotykają mojej gorącej skóry.

Kątem oka spoglądam w stronę otwartych drzwi: na korytarzu stoi mężczyzna w podniszczonym ubraniu, w ręce trzyma kapelusz. Po chwili spuszczam wzrok na narzutę: to bezpieczny, przewidywalny widok.

Nie potrafię powiedzieć, jak dawno temu wyszła ciotka – wydaje się, że w mojej ciepłej, zacisznej sypialni czasu nie da się zmierzyć. Kiedy wraca i cicho siada na krawędzi łóżka, jestem trochę niezadowolona. Wolalabym leżeć tu w ciszy, tak żeby nikt się do mnie nie odzywał.

– Lia – głos ciotki jest początkowo łagodny, ale gdy nie odpowiadam, staje się bardziej natarczywy. – Lia. Muszę z tobą porozmawiać. O Henrym. Spójrz na mnie.

Nie potrafię. Nie chcę, by prysnął czar tego spokojnego pokoju. To w nim sypiałam, odkąd Alice i ja, dawno temu, wyprowadziłyśmy się z naszej dziecinnej sypialni. To tutaj pakowałam świąteczne

prezenty dla Henry'ego. Tu marzyłam o dotyku ust Jamesa. W tym pokoju nic straszego nie powinno się zdarzyć.

– Lia – głos ciotki łamie się, a smutek, jaki z niego przebija, jest nie do zniesienia. Prawie udaje mi się spełnić prośbę i spojrzeć mojej opiekunce w oczy.

Ale w ostatniej chwili poddaję się. Odwracam się twarzą do ściany i jak uparte dziecko leżę z uniesionym podbródkiem. Odmawiam wysłuchania tego, co ciotka ma do powiedzenia. Z taką wiadomością nie mogłabym dalej żyć.

Rozdział XXXII

Nim cicho zamknę za sobą drzwi i wyjdę w zimną noc, przez chwilę nasłuchuję. Chcę posłuchać ciszy swojego domu, jedyne, jaki miałam, i dopiero potem popełnić ten ostatni nieczyny czyn. Postąpiłam rozsądnie, zakładając przed wyjściem wysokie buty. Wystają spod mojej delikatnej, białej koszuli nocnej. Oświetla je księżyc w pełni; wyglądają dość dziwnie.

Wspinam się na urwisko nad jeziorem, a noc wyostrza mi zmysły. Powietrze jest czyste i rześkie, czuć w nim zapach nadchodzącej zimy; którego nie było jeszcze kilka dni temu.

Staram się nie myśleć. Nie chcę myśleć o matce. Nie chcę myśleć o Alice, o tym strasliwym połączeniu zachłanności i miłości, którego skutki oglądałam nad rzeką. Ponad wszystko jednak nie chcę myśleć o Henrym. Zbliżając się do szczytu urwiska, zmuszona jestem zatrzymać się, żeby złapać oddech. Po wypadku nad rzeką nogi mam nadal słabe. Kiedy oddychaniu przestaje towarzyszyć palący ból w piersi, ruszam w stronę krawędzi. Nawet w takiej chwili trudno nie zachwycić się pięknem jeziora. Kto mógłby pozostać nieczuły na delikatny szmer jego fal? To nie takie złe miejsce, żeby umrzeć. Mam moment upiornej jasności myśli, kiedy zaczynam pojmować, dlaczego matka wybrała właśnie urwisko.

Powoli podchodzę do krawędzi, bliżej i bliżej, aż w końcu palce stóp wystają poza nią. Wiatr odrzuca mi włosy z twarzy i szeleści w liściach drzew, które rosną za moimi plecami. Myślę, że tu bardziej niż gdzie indziej da się odczuć obecność mojej matki. Zastanawiam się, czy stała w tym samym miejscu, gdzie ja teraz, czy tak samo patrzyła na fale rozchodzące się po powierzchni wody. Po raz pierwszy w życiu mam pewność, że jesteśmy ze sobą związane, że ja i ona to jedno, że my, wszystkie siostry, to jedno.

Zawiodłam je. Mój ojciec poświęcił ponad dziesięć lat, żeby sporządzić listę, która miała dać nam wolność. Mimo takiej pomocy, większej, niż otrzymała wcześniej którakolwiek z sióstr, zawiodłam. Listy nie ma, a wraz z nią przepadła wszelka nadzieja na odnalezienie Kluczy i położenie kresu przepowiedni. Nowe poszukiwania trwałyby latami – a Sonia i Luisa przez cały czas byłyby narażone na niebezpieczeństwo. Przez te długie lata ja musiałabym znosić nieustanne tortury Dusz. Nie mogłabym nawet spokojnie zasnąć, obawiając się wtargnięcia Bestii, która zniszczy świat.

I jeszcze Henry. Gdybym miała wrodzone pragnienie wypełnienia roli wyznaczonej mi przez prorocstwo, Alice nie osaczyłaby Henry'ego nad rzeką, by wejść w posiadanie listy. W innym życiu, innym świecie być może Alice i ja działałybyśmy zgodnie z przepowiednią dla wspólnej korzyści. Tu jednak Henry stał się pionkiem w tej okrutnej grze.

Pilnuj Henry'ego, Lia. Słowa mojej matki obijają się o ściany mojego umysłu tak długo, że zaczynają lecieć mi łzy, najpierw powoli, a potem tak szybko, że cały kołnierzyk koszuli jest mokry. Płaczę na wietrze, pragnąc odejść, rozłożyć ręce i spaść. Ale wtedy matka znowu do mnie przemawia.

Nie ma pomyłek, Lia.

Płaczę coraz mocniej.

– Nie chcę, żebym to była ja! – krzyczę w stronę tafli jeziora. – Dlaczego to muszę być ja?

Woda nie odpowiada, lecz wiatr – tak. Jednym gwałtownym podmuchem odpycha mnie od urwiska. Zataczając się, odsuwam się od krawędzi, a potem przewracam na ziemię.

Wiatr cichnie, nie stopniowo, lecz nagle. Liście drzew zamierają w bezruchu i jedyny dźwięk, jaki słyszę, to mój własny zmęczony oddech. Przez jakiś czas siedzę tak, nie czując zimna, chociaż przy każdym wydechu widzę pojawiający się przy twarzy biały obłoczek pary.

Nie ma szybkiego, łatwego sposobu, by zakończyć moją rolę w prorocестве, którego początki sięgają tak wiele lat wstecz. Ocieram łzy, wstaję i odchodzę znad jeziora, nie oglądając się za siebie.

Już nigdy nie spojrzę w dół z urwiska.

* * *

Błękitne niebo naigrawa się ze mnie – to okrutny żart Boga, który wybrał sobie tę, a nie inną porę – Dzień pogrzebu Henry'ego nie przypomina w niczym szarego, deszczowego dnia, kiedy pochowaliśmy ojca. Słońce grzeje nam w plecy, a ptaki śpiewają, jak gdyby cieszyły się, że chłopiec jest znów z rodzicami. Nie wątpię, że tak jest. Że spaceruje i śmieje się wraz z nimi pod aksamitnym niebem. Ale ta świadomość nie pomaga mi lepiej znosić jego nieobecności.

Czuję, jak ponad grobem brata przygląda mi się Alice, podczas gdy duchowny recytuje Psalm 23. Nie odwzajemniam jej spojrzenia. Nie patrzę jej w oczy, odkąd wyciągnęła mnie z rzeki. Nie patrzę chyba na nikogo, choć oczywiście Luisa, Sonia i James wielokrotnie przychodzili mnie odwiedzić.

Czuję się okropnie, za każdym razem odsyłając ich z niczym, ale z trudem sama znoszę ból po stracie Henry'ego. Odbity, pomnożony w spojrzeniach ludzi wokół mnie byłby nie do wytrzymania. – Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – mówi pastor. Ciotka Virginia podchodzi do wykopu, otwiera dłoń i wysypuje ziemię na trumnę Henry'ego. Jej twarz jest skurczona i pobladła. Jeżeli jest ktoś, kto zna mój ból, to właśnie ona.

Już kilka razy zaczynałam jej opowiadać o tych ostatnich chwilach nad rzeką spędzonych z Henrym i z Alice, ale coś powstrzymuje mnie przed wymawianiem słów na głos – chyba rozsądek, gdyż nie ma dowodów ani świadków, a relacje moje i Alice będą się różnić, to pewne.

Odwracam wzrok, widząc, że Alice zbliża się do grobu, unosi dłoń i rzuca ziemię na małą trumnę Henry'ego. Grudki spadają z głuchym łoskotem.

Ciotka Virginia spogląda na mnie, ale ja kręcę przecząco głową. Nie rzucę nawet ziarenka piasku na grób brata, który spoczął obok matki i ojca. I tak ponoszę część winy.

To wystarczy aż nadto.

Ciotka skinieniem głowy daje znak wielebnemu, który chyba rozumie moją decyzję. Zamyka Biblię i zamienia z ciotką kilka słów, potem mamrocze coś niezrozumiale do mnie i do Alice. Nie mogę znieść obecności tej czarno odzianej postaci, oznaczającej śmierć i rozpacz. Kiwam głową i odwracam twarz, zadowolona, kiedy pastor szybko odchodzi.

– Chodź, Lia. Wracamy do domu – ciotka Virginia staje obok i kładzie mi dłoń na ramieniu. Czuję, że martwi się o mnie, ale wciąż nie potrafię na nią spojrzeć.

Potrząsam głową. To wszystko, na co mnie stać.

– Nie możesz stać tu cały dzień, Lia.

Z trudem przełykam ślinę, bo chcę coś powiedzieć, a przez długi czas nie używałam swojego głosu.

– Przyjdę za chwilę.

Ciotka po krótkim wahaniu zgadza się.

– Dobrze. Ale za krótką chwilę, Lia.

Odchodzi, a za nią Alice. Zostaję tylko ja i Edmund. Stoi obok w milczeniu, trzymając w ręce kapelusz, a po zniszczonej, pomarszczonej twarzy płyną mu łzy, jakby był dzieckiem. Jego bliskość dodaje mi otuchy, nie ma potrzeby rozmawiać.

Zaglądam do wykopu, gdzie ciało mojego brata pozostanie na wieczność. Przeraża mnie to i smuci – jego chłopięcy uśmiech i jasne oczy będą pogrzebane w ziemi. A ziemia z nastaniem zimy będzie lodowata i twarda, nim wiosną wybuchnie kwiatami, których już nie zobaczę.

Staram się wyobrazić sobie grób Henry'ego obsypany fiołkami i zapamiętać ten obraz, abym mogła przywołać go, kiedy będę daleko stąd. Potem muszę się pożegnać.

* * *

Mimo że jestem wyczerpana, w noc po pogrzebie Henry'ego nie mogę spać. Lecz to nie smutek przeszkadza mi zasnąć. To coś innego, na samym krańcu świadomego myślenia. Wiem, że to ważne, ale nie wiem, jak ważne ani dlaczego.

Słyszę w myślach opowieść z dzieciństwa. Tę, którą podał ojciec jako dowód swojej tożsamości, kiedy rozmawiał z Sonią, nim przemówiła przez nią Bestia. Pamiętam całe zdarzenie. Pamiętam, jak Henry starał się być dzielny; ale nie mógł ukryć łez, które płynęły mu z oczu, gdy jego stateczek pomknął żwawo w dół rzeki. Pamiętam, że Alice nie chciała, abym budowała swoją nieudaną tratwę, nawet nie chciała mi pomóc ani spróbować. I pamiętam jak ja, cała spocona, niezgrabnie poruszająca się w sukience, bez ładu i składu wbijałam gwoździe w pozbierane deski, bo uznałam, że nie możemy tak stać i patrzeć, jak Henry płacze, podczas gdy jego ukochana zabawka odpływa coraz dalej.

Wspomnienie Henry'ego popycha mnie do jego pokoju. Przypominam sobie jego oczy, twarz, promienny uśmiech. Chyba muszę być jeszcze raz tuż obok niego, zanim wyjadę.

W pokoju jest cicho, a rzeczy leżą tak, jak je zostawił. Zamykam za sobą drzwi, ponieważ ten ostatni moment chcę spędzić w bliskości brata sama. Siadam na brzegu łóżka i podnoszę poduszkę. Zachowała jego zapach. To zapach książek, domu, który był jego azylem i więzieniem, i słaby, słodkawy zapach klejących się chłopięcych paluszków. Czuję w piersi tak silny ucisk, że boję się, iż nie dam rady oddychać.

Odkładam poduszkę na łóżko, odwracając ją na drugą stronę i wygładzając powierzchnię, tak jak robiłam, układając Henry'ego do spania albo przygotowując go do czytania przed snem. Podchodzę do półki z książkami – Henry, podobnie jak ja i ojciec, kochał ciekawe historie. Jest ich dużo; czytałam je wszystkie jako dziecko i długo potem. Mój wzrok dotyka grzbietu *Wyspy skarbów* i przypominam sobie zachwyty rozpromienionego Henry'ego nad tą powieścią, którą czasem

czytywaliśmy razem. Zdejmuję tom z półki, ciesząc się jego ciężarem w mojej dłoni i dotykiem starej skórzanej oprawy.

Książka wygląda tak, jak ją zapamiętałam. Zawiera ryciny ilustrujące różne wydarzenia. Na jednej z nich mężczyźni przekopują plażę w poszukiwaniu ukrytego skarbu. Ten obrazek budzi we mnie pewne wspomnienie.

Ojciec kazał mi ją schować Kazał mi jej pilnować Dla Ciebie, Lia. Rozum odrzuca taką możliwość, ale serce zdążyło wybiec naprzód. A gdyby taka zbłąkana myśl nie okazała się wcale zbłąkaną?

Przeoglądam nasze lektury na półce, która wisi tu od czasu, gdy Henry stracił swój statek w odmętach rzeki. Z początku nie zauważam modelu. Stoi z tyłu półki, wciśnięty obok podpórki podtrzymującej książki. Kiedy natrafiam wzrokiem na wyjątkowy odcień czerwieni, żywy nawet po tylu latach, wiem, że znalazłam listę. Staję na palcach, żeby sięgnąć po model ukryty pod szklaną przykrywką. Pamiętam, jak ojciec godzinami pracował z Henrym, by zbudować kopię utraconego statku. Ojciec, który nigdy nie wykonywał żadnych prac ręcznych oprócz trzymania w dłoniach swoich ukochanych książek, spędzał całe dni na mozolnym zbijaniu maleńkich deseczek, siedząc głowa przy głowie z Henrym. Potem starannie pomalował zabawkę tymi samymi kolorami co pierwowzór. Zaniósł ją również do warsztatu szklarskiego i zamówił klosz, w którym szczelnie zamknięto model, aby zawsze przypominał Henry'emu o jego ulubionym stateczku.

Szkło jest gładkie i zimne w dotyku. Staram się oddzielić klosz od podstawki, na której ustawiono statek. Zamknięto go rzeczywiście szczelnie. Trochę mi wstyd, że rozbieram na kawałki zabawkę Henry'ego, ale jednocześnie mam silne przeczucie, iż właśnie po to zostałam sprowadzona do jego pokoju.

Obracając model w dłoniach, uświadamiam sobie, że mogę szukać zaledwie w kilku miejscach, i natychmiast zwracam uwagę na drewnianą podstawkę. Jest kwadratowa, pomalowana ciemnym lakierem. Ciągnę mocniej, ale nie chce się oddzielić od klosza. Zastanawia mnie wysokość tej podstawki. Ma prawie dziesięć centymetrów i jest trochę za duża w stosunku do niewielkiej zabawki. Lecz być może specjalnie wykonano ją w ten sposób, żeby stateczek Henry'ego doskonale się prezentował, może to był pomysł ojca, aby uhonorować swojego jedyne go syna.

Albo coś ukryć.

Mocno trzymając szklaną przykrywkę w ręce, oglądam dokładnie spód podstawki, szukając jakiejś wypustki czy języczka, za który można by pociągnąć. Ponieważ nie znajduję, próbuję podstawkę odkręcić, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że próba odkręcenia czegoś kwadratowego jest nonsensowna. Dopracowany kształt i równe kąty sugerują jakies prostsze, nieskomplikowane

rozwiązanie. Kładę więc oba kciuki na spodzie i przyciskam, a denko swobodnie odskakuje, jakby cały czas czekało właśnie na mnie.

W maleńkiej skrytce jest złożony świstek papieru. Z wrażenia szybko wciągam powietrze, a przez ramiona i szyję przebiega mi dreszcz. Ręce trzęsą mi się tak mocno, że muszę podejść do łóżka, aby położyć szklany klosz na narzucie i wyjąć kartkę ze schowka.

Przedtem uważałam, że to ja mam rację, ale teraz myślę z podziwem o swoim młodszym bracie, patrząc na zapisane nazwiska. Litery wędrują po papierze jak mrówki, linijka pod linijką.

Sonia Sorrensen Londyn, Anglia

Helene Castillau Argentina, Hiszpania

Luisa Torelli Rzym, Włochy,

Philip Randall – Detektyw

428 Highgrove Avenue

Londyn, Anglia

Padam na łóżko, kręcąc głową. Henry wcale nie zabrał listy ze sobą. Pomięty papier w jego dłoni to była zwykła kartka, prawdopodobnie pusta albo zapisana zmyślonymi nazwiskami. Może chciał ją wrzucić do rzeki, żeby Alice zaprzestała poszukiwań. Może chciał jej dać fałszywe nazwiska, żeby bez końca traciła czas, szukając. Bez względu na motywy Henry'ego, jego dar pozwoli mi bezzwłocznie doprowadzić prorocтво do końca. Zastanawiam się, czy to osobie na końcu listy ojciec powierzył zadanie odszukania Kluczy. Nietrudno będzie się dowiedzieć.

Teraz rozumiem też, że przed śmiercią ojciec zdołał znaleźć tylko trzy Klucze.

Trzy, nie cztery.

Na początek dobre jednak i to.

Rozdział XXXIII

Kiedy unoszę dłoń, by zapukać, natychmiast przypominam sobie, jak stałam na tym progu poprzednim razem. Wówczas prorocstwo i moja w nim rola były jeszcze tajemnicą. Dzisiaj ciotka Virginia, widząc mnie, jest bardziej zdziwiona. – Lia! – bierze mnie za ramię, wciąga do pokoju i zamyka za nami drzwi. – Dobrze się czujesz? Czy coś jest nie w porządku?

Chciałabym odpowiedzieć jej, że oczywiście wszystko jest nie w porządku. Henry nie żyje i nigdy do nas nie wróci, zaś Alice nie cofnie się przed niczym, by pozwolić Bestii wkroczyć. Lecz ciotka Virginia to wie. Powtarzanie byłoby tylko stratą czasu, a tracić go nie wolno.

– Nie... Ja tylko... – spuszczam wzrok i przyglądam się swoim dłoniom. – Muszę wyjechać, ciociu.

Kiedy podnoszę oczy, ciotka tylko kiwa głową.

– Jak mogę ci pomóc?

Ujmuję jej dłonie. Są ciepłe i suche, i lekkie jak piórko.

– Jedź ze mną.

Patrzy mi w oczy z nieśmiałym uśmiechem, a potem wyciąga ramiona i obejmuje mnie.

– Och, Lia. Wiesz, jak bardzo bym chciała.

– Powiedz więc, że pojedziesz.

Ciotka kręci głową.

– Jeszcze nie pora, żebym wyjeżdżała.

– Ale Henry... – te słowa prawie mnie dławią. Wydaje mi się, że mnie uduszą, wychodząc z gardła. Zmuszam się, żeby dokończyć. – Henry nie żyje, ciociu. Nie masz dla kogo tu zostawać.

– Jest Alice.

– Alice? – nie potrafię ukryć zaskoczenia.

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć, Lia. Ale ja złożyłam twojej matce obietnicę. Przynależałam, że będę dbać o *wszystkie* jej dzieci. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że i tak ją zawiodłam.

Oczy ciotki pociemniały. Wiem, że myśli o Henrym, ale jej poczucie winy i smutek prowokują tylko mój gniew.

– Alice? Zostajesz, żeby troszczyć się o *Alice*? Będziesz uczyć ją, jak pełnić rolę Strażniczki? Zdradzisz jej sekrety sióstr? Przecież to pomoże jej osiągnąć cel!

– Lia. – Ciotka przemawia łagodnie. Nie gani mnie. Przynajmniej nie wprost. W jej głosie słyszę jednak napomnienie. – Czegóż takiego nigdy bym nie zrobiła. Nie mogę już pomóc Alice. Nie mam na nią wpływu. Nie będę uczyć jej, jak wypełniać obowiązki Strażniczki, ponieważ ona nie chce przyjąć tej roli. Jednak nie mogę zostawić jej samej.

Chce mi się krzyknąć: *A co ze mną? Czy ja mam zostać sama? Wypełnić proroctwo bez niczyjej pomocy?*

Ciotka Virginia mówi dalej, jakby udzielała odpowiedzi:

– Ciebie też nie zostawiam samej, kochanie. Będą ci pomagać Klucze, siostry będą cię prowadzić, a ja dołączę do ciebie, gdy tylko będę mogła. Masz moje słowo.

– Gdzie do mnie dołączysz, ciociu? – powątpiewam. – Ja sama jeszcze nie wiem, gdzie pojedę. Potrzebuję czasu, żeby wzbogacić swoją wiedzę o Pozaświatach i tych umiejętnościach, nad którymi nadal nie panuję. Potrzebuję miejsca, gdzie będę się czuła bezpieczna, choćby przez krótki czas.

– Nic się nie martw – ciotka patrzy mi w oczy. – Wiem, gdzie pojedziesz. Oczywiście nie ma gwarancji, ale to tak samo bezpieczne miejsce jak inne.

* * *

– Edmundzie – głos mi się łamie, kiedy wołam go po imieniu. Długimi, spokojnymi ruchami czyści powóz, zwrócony tyłem do drzwi powozowni. Słyszając mnie, przerywa pracę, ale wciąż opiera się ręką o lśniący bok pojazdu, który wygląda, jakby przez trzy dni od śmierci Henry'ego był nieustannie polerowany. Edmund odwraca się i patrzy mi w oczy – na moje nieszczęście, bo w spojrzeniu ma taki smutek i tak wielkie cierpienie, że tracę oddech.

Zbliżam się do niego i kładę mu rękę na ramieniu.

– Bardzo... bardzo mi przykro, Edmundzie, z powodu twojej straty.

Słowa wiszą w powietrzu. Przez moment zastanawiam się, czy Edmund czuje do mnie gniew. Czy kiedykolwiek wybaczy mi śmierć chłopca, którego tak mocno kochał?

Ale on spogląda na mnie ze zdziwieniem i życzliwością.

– Dziękuję za troskę. Mnie też przykro z powodu twojej straty, panienko.

Waham się, bo przyszedłam do niego z prośbą o przysługę, o którą nie powinnam prosić, przynajmniej nie teraz. Jednak mam jeszcze coś do zrobienia, a nie mogę tego dokonać bez pomocy Edmunda.

– Edmundzie, muszę jechać do miasta. Muszę... zobaczyć się z Jamesem. I to dziś wieczorem. Zawieziesz mnie? – Pomiędzy nami nie ma już barier. Nie polecam służącemu, żeby wyruszył ze mną w drogę. Proszę Edmunda. Człowieka, który zastąpił mi ojca.

Edmund zgadza się bez wahania, wracając tylko po kapelusz. – Zrobię wszystko, o co panienka poprosi. Absolutnie wszystko – przy tych słowach otwiera drzwiczki powozu.

* * *

Nadciąga wieczór, przygaszając blask świateł dochodzący z księgarni. Edmund cierpliwie, nie ponaglając mnie, stoi przy otwartych drzwiczkach powozu, jak gdyby wiedział, że mające nadejść chwile będą trudne i jakby chciał mi dać tyle czasu, ile potrzebuję.

Początkowo próbowałam przeciwzyć to, co zamierzam powiedzieć Jamesowi na temat proroctwa, mojej w nim roli i powodu, dla którego muszę wyjechać, choćby na krótko. Żadne próby jednak nie zagwarantują, że James, wysłuchawszy wyjaśnień, będzie mnie nadal kochać. Dlatego postanawiam, że nie będę się przygotowywać. Wytlumaczę wszystko najlepiej jak potrafię, pozwalając, by sprawy przybrały własny obrót.

Wysiadam z powozu i idę szybkim krokiem do księgarni, nieświadoma tego, że Edmund podąża za mną, dopóki nie słyszę:

– Zaczekam tutaj, panienko. – Edmund opiera się o mur niedaleko drzwi, dając mi do zrozumienia, że nie ma innej możliwości. Przed wejściem do ciepłego wnętrza posyłam mu nikły uśmiech.

Na chwilę przystaję, wdychając zapach księgarni, starając się go zapamiętać. Nie wiem, kiedy znów tu zawitam. Przyzwyczyłam się już do tych krótkich napadów melancholii, tych momentów, kiedy uświadamiam sobie, z czym będę musiała się pożegnać. Nie ma sensu z nimi walczyć.

– Lia! – James wychyla się zza zastony oddzielającej sklep od zaplecza. Już stoi przy mnie, patrząc wyraźnie zatroskanym wzrokiem. – Co tutaj robisz? Jak się czujesz?

Przez chwilę oglądam dół swojej sukni, zbierając odwagę, żeby wypowiedzieć te trudne słowa, jakie mam w zanadrzu. Kiedy wreszcie patrzę Jamesowi w oczy, mam ochotę rzucić się mu w ramiona, zatracić się w pocieszeniu, które na pewno w nich znajdę, zapomnieć o wszystkim, co nas dzieli.

– Jakoś... sobie radzę. – Chyba na tyle dobrze, na ile się da chciałabym dzielnie się uśmiechnąć, ale moje próby raczej nie są przekonujące, bo James nagle przytula mnie.

– Lia, och, Lia! Próbowałem się z tobą zobaczyć. Przychodziłem codziennie. Ciotka ci mówiła? – szepcze drżącym głosem, wtulony w moje włosy.

– Tak. Przepraszam cię, James. Po prostu... nie dałabym rady nikim rozmawiać. Z nikim.

– Oczywiście. – James odsuwa się i patrzy mi w twarz, trzymając za ramiona. – Każdy tak by się czuł na twoim miejscu. Ale po co jechałaś tak daleko? Mogłaś przysłać wiadomość, przyjechałbym do ciebie. Nie musiałaś się trudzić, przyjeżdżać po ciemku w taki ziąb. – James zerka przez okno i wygląda na zadowolonego, kiedy dostrzega czekającego Edmunda, opartego o mur.

Biorę głęboki oddech.

– Muszę z tobą pomówić. Teraz. Muszę cię o coś poprosić.

Tak dobrze – myślę. Tak trzeba. Krok po kroku.

– Oczywiście. Ale najpierw ogrzej się. Usiądź przy kominku

James bierze mnie za rękę i chce zaprowadzić na przytulne zaplecze.

Odmawiam, stoję uparcie w tym samym miejscu.

– Nie! – wyszło mi bardziej szorstko, niż zamierzałam. Nie mogę jednak pozwolić, by ukołysało mnie ciepło tamtego pomieszczenia. Gdybym weszła, już nie wyjdę. – Nie mogę. Chodzi o to... Porozmawiajmy tutaj, James, proszę.

Oczy Jamesa, gdy słyszy mój desperacki ton, pochmurnieją.

Niechętnie zgadza się, a kiedy przemawia, w jego głosie jest taka determinacja, że muszę mu wierzyć.

– Wiedz, że jeśli jest coś, czego potrzebujesz, cokolwiek by to było, zrobię dla ciebie wszystko. Dam ci to, jeżeli tylko będzie to mojej mocy.

Zatrzymuję wzrok na książkach stojących za plecami Jamesa, czując jego spojrzenie na mojej twarzy. Takie słowa powinny napełnić mnie otuchą i odwagą. Powinny przypomnieć mi, że James zrobi wszystko, o co poproszę, i da mi wszystko, czego będę potrzebować. Ale tak nie jest. Jego zdecydowanie uświadamia mi to, czego się domyślałam: James nie zechce się ze mną rozstać. Będzie nalegał, by towarzyszyć mi w drodze do Londynu, a nawet na koniec świata, gdyby zaszła taka potrzeba – nie zgodzi się, abym sama wyruszyła w ryzykowną podróż.

Patrzę mu w oczy, a to, co mam powiedzieć, będzie największym kłamstwem w moim życiu.

– To... nic poważnego. Boję się tylko, że minie trochę czasu, nim znowu będziemy żyli tak jak przedtem. Zanim zdolałam... pogodzić się z tym, co zaszło. – Moje słowa są coraz cichsze, a pod koniec przechodzą w szept. Myślę, że jednak tak bardzo nie mijam się z prawdą. Wiem przecież, że *nigdy* nie nadejdzie taki czas, bym mogła powrócić do poprzedniego życia.

James bierze głęboki oddech, chyba z ulgą, uśmiecha się do mnie łagodnie i bierze mnie za rękę.

– Nikt nie oczekuje, że będzie inaczej. Na pewno nie ja. Będę obok ciebie i będę czekał tak długo, jak trzeba.

Odpowiadam uśmiechem i unoszę się na palcach, żeby ucałować jego gładki policzek.

– Dziękuję ci, James. Oby tak było – szykuję się do odejścia, żeby nie zmienić zdania.

– Lia...

Odwracam się i widzę, że James dotyka dłonią policzka, jakby chciał zatrzymać *mój* pocałunek na zawsze.

– Kocham cię – mówi tak, jak gdyby wiedział, że mnie już nie zobaczy – choć przecież nie może tego wiedzieć. – Kocham cię, Lia.

– A ja ciebie – słowa ściskają mnie w gardle.

Potem wychodzę, zamykając dokładnie drzwi za sobą i zwracając się do Edmunda:

– Dziękuję, Edmundzie. Ta sprawa już załatwiona.

Rozdział XXXIV

Tym razem, zapukawszy do pokoju Alice, czekam, aż otworzy. Uratowanie życia wyzwala bowiem w ocalonym nowy rodzaj uprzejmości, bez względu na to, co poprzedzało ów ratunek.

– Wejdz – zza potężnych drzwi dochodzi cichy głos Alice, podobny do tego, który znam z dzieciństwa.

Otwieram powoli. Odwlekałam tę rozmowę i pożegnanie – ostatnie spośród wszystkich moich pożegnań. Największa trudność polega na tym, że to rozstanie nie da mi żadnej możliwości odwrotu.

– Alice. – Stoję w oficjalnej pozie w nogach łóżka, ona przy komodzie.

– Lia, dobrze się czujesz? – w spojrzeniu ma życzliwość, a w głosie szczerą troskę.

Kręcę przecząco głową, a wtedy patrzy na mnie wielkimi oczami, jeszcze bardziej zmartwiona.

– Co ... co ci dolega? Rozmawiałaś z lekarzem?

Boli mnie gardło, kiedy przełykam ślinę. Przez moment wydaje mi się, że zacznę płakać, o ile Izy, które – jak sądziłam – wyplakałam wszystkie, można odzyskać tak szybko.

– Nie. Lekarz nic mi nie pomoże. Nie może wskrzesić Henry' ego, prawda? – słyszę w swoich słowach ton skargi. Właściwie nie zadałam pytania. A jednak w moim głosie pobrzmiwa wahanie, dopuszczające odpowiedź inną niż ta, która – jak obie wiemy – jest jedyną prawdziwą.

– Nie może – potwierdza Alice.

Trzymam się kolumnienki podpierającej baldachim i pocieram kciukiem ciepłe drewno, choćby po to, żeby dać swoim niespokojnym dłoniom jakieś zajęcie.

– Jutro rano wyjeżdżam.

– Ciotka Virginia mi mówiła. Jedziesz do Londynu, tak?

– Przytakuję.

Omówiłam z ciotką zalety zachowania mojego miejsca pobytu w tajemnicy, ale prawdę mówiąc, i tak bardziej obawiam się Alice w Pozaświatach niż w naszym świecie. Poza tym jest jeszcze kwestia mojej roli jako Bramy. Alice musi być w rozterce, bo choć z pewnością chciałaby się mnie

pozbyć, jednak nie może zaprzeczyć, nawet sama przed sobą, że dla niej byłoby lepiej, gdybym zmieniła zdanie, niż całkiem zniknęła.

Przynajmniej tak sobie wmawiam w najtrudniejszych chwilach. Wtedy, gdy muszę przyznać, że moje życie jest w niebezpieczeństwie, że mój los jest w rękach siostry.

Alice bierze głęboki oddech i mówi dalej:

– Lia, ja nie miałam zamiaru... to znaczy nie wiem, dlaczego... dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. To wszystko stało się tak prędko, prawda?

Powinam być zła. Powinam kipieć wściekłością. A jednak odnajduję w sercu dziwną apatię. Mój gniew jest bezsilny, bezwładny – jak moje nogi, kiedy zostałam wyciągnięta z rzeki.

– Tak. To stało się bardzo prędko – szepczę. Wspomnienie tych zdarzeń jest zmorą, która nie daje mi chwili wytchnienia. – A ty podjęłaś stanowczą decyzję, po której stronie się opowiadasz. Po tej drugiej.

– Byłyśmy po przeciwnych stronach od zawsze, Lia. Nigdy nie miałyśmy okazji, by stać się czymś więcej niż rywalkami. Nawet teraz tego nie rozumiesz? Ciągłe chcesz dostrzegać winę po jednej albo drugiej stronie? Czy nie możemy po prostu pogodzić się z tym, że takie jest nasze przeznaczenie? Że obydwie jesteśmy bez winy?

Opieram głowę o łóżko, przyglądając się delikatnym żłobieniom kolumienki.

– To prawda, że nasze imiona zapisano w przepowiedni dawno temu. Ale miałyśmy wybór. Obydwie. Zawsze jest wybór. Ty podjęłaś swoją decyzję, a ja swoją. Szkoda tylko, że te nasze decyzje się różnią.

Alice podchodzi do mnie ze swoim wyjątkowym uśmiechem na ustach. Wiem, że myśląc o siostrze, zawsze będę go widzieć. Ten promienny uśmiech sprawia, że człowiek chce zrobić wszystko, aby zasłużyć na jego blask. Gdy Alice jest już przy łóżku, kładzie rękę na kolumiencie obok mojej i pochyla się. Stykamy się czołami – robiłyśmy tak, gdy byłyśmy małe.

– Będę tęsknić za tobą, Lia. Cokolwiek się zdarzy.

Ma chłodną skórę.

– Ja też będę tęsknić – prostuję się w obawie, że przebywając zbyt blisko siostry, zapomnę, kim jest, czego pragnie, co uczyniła. – Ale w końcu się spotkamy.

– Tak – Alice robi krok w tył, bierze mnie za rękę i zaraz ją puszcza.

Patrzę w jej bezdenne zielone oczy, odbijające moje własne.

– Nie zmienisz więc zdania? Nawet teraz? – pytam.

– Zwłaszcza teraz – odpowiada. – Głupio byłoby rezygnować z wybranego celu z powodu osoby, która na pewno przegra. – Nie odwraca spojrzenia, które staje się lodowate i martwe jak jezioro w zimie. – A ja na pewno nie jestem głupia, Lia.

Z tym nie mogę się nie zgodzić. Słowa Alice sprawiły, że perspektywa walki zarysowała się bardziej wyraźnie. Przy następnym spotkaniu nie będziemy na siebie patrzeć tak życzliwie.

Nie pozostaje nic do powiedzenia. Szybko się odwracam, gdyż przepelnia mnie bezbrzeżny żal, smutek i jeszcze większa złość. Wychodzę z sypialni Alice, nie patrząc za siebie, zamykając drzwi. Tracąc siostrę, którą kiedyś znałam.

* * *

Wracam do pokoju i widzę, że drzwi są otwarte na oścież, ale nie tylko to mnie zastanawia. Pojawia się we mnie niezwykle wrażenie pustej przestrzeni, tak trudne do określenia, które często mamy, kiedy ktoś przed chwilą wyszedł z pomieszczenia.

Rozglądam się, próbując ustalić, czy coś nie zginęło, lecz okna są zamknięte, a rzeczy leżą tak, jak je pozostawiłam.

Poza kawałkiem papieru na biurku.

Ostrożnie przechodzę przez pokój. Chociaż jestem pewna, że teraz nikogo tu nie ma, to niepokojące, iż przed chwilą był – w miejscu, które należy do mnie. Podchodzę do biurka, wyciągam rękę i podnoszę kartkę. W pokoju jest dosyć ciemno, tylko ogień daje słabe światło. Muszę podnieść papier blisko oczu, żeby dojrzeć słowa, ale nawet wtedy trudno mi odczytać pochyle pismo, mimo że wiadomość jest prosta i krótka.

Aby znaleźć zakończenie księgi,

przejdź przez prastary las aż na mistyczną wyspę.

Gotuj się też do naciągającej bitwy...

i nie ufaj nikomu.

Opadam na krzesło stojące przy biurku, wciąż trzymając w ręce kartkę. Poczucie beznadziei, które wiernie towarzyszyło mi od śmierci Henry'ego, nieco ustąpiło miejsca poczuciu sensu.

Przyglądam się zapiskowi. Nie ma podpisu, ale to nieistotne. Teraz jasno dostrzegam, jak bardzo zmieniło się moje życie: rozumiem, że zaszyfrowana wiadomość ma znaczenie, choć nie wiem, kto ją dostarczył.

Brakujące karty książki gdzieś istnieją.

Muszę je odnaleźć i wykorzystać, żeby doprowadzić proroctwo do zakończenia.

A potem postarać się zacząć jeszcze raz.

* * *

Przez chwilę trzymam pióro nad kartką, usiłując dobrać słowa. Mimo naszej rozmowy w księgami, nieuczciwie byłoby wyjeżdżać, nie wyjawwszy Jamesowi choćby części prawdy – czyż nie jest moim najstarszym przyjacielem, moim największym sojusznikiem, moim najdroższym skarbem?

Niestety proroctwo nie zostawia miejsca na miłość. Przynajmniej nie teraz.

Wciąganie Jamesa w tę sprawę byłoby przejawem czystego egoizmu. Jednocześnie nie chcę go zranić. Muszę dać mu jakieś wyjaśnienie, nie zdradzając zbyt wiele. Muszę postarać się, aby zrozumiał, że potrzebuję czasu. Czasu z dala od niego, od Birchwood, od Alice. Od wszystkich rzeczy, które nie pozwalają mi dojść do rozwiązania, dzięki któremu proroctwo wygaśnie na zawsze.

Nie wiem, czy to wystarczy – drobne słówka, wytarte zwroty, puste przeprosiny. Ale to wszystko, co zostawiła mi matka i wszystko, co mogę dać ja – przygnieciona ciężarem smutku i świadomością czekającej mnie walki.

Najdroższy Jamesie!

Nie pożegnam się. Bo to nie koniec naszej miłości, jak mogłoby do tego dojść, skoro Twoje serce bije obok mojego prawie od tego momentu, kiedy w ogóle zaczęto bić?

Jesteśmy przecież dwiema stronami tej samej monety. Należymy do siebie, zawsze tak było.

Wspominam dotyk Twoich ciepłych warg, słowa wypowiedziane podczas Święta Dziękczynienia i odpowiadam: "Tak". Będę Twoja. Tak, chcę przejść przez życie z Tobą. Tak, czekam na to, by trzymać Cię za rękę przez całą wieczność.

Jednak moje życzenia nie spetnią się, dopóki nie znajdę odpowiedzi na pytania, które dopiero niedawno usłyszałam. To sprawy mroczne i niebezpieczne. Nie chciałabym angażować Ciebie w poszukiwanie rozwiązań, tym bardziej że wiem, iż zakwestionowałbyś moją decyzję, gdybyś mógł.

Piszę ten list zamiast porozmawiać z Tobą, ukochany, ponieważ wiem, że próbowałbyś mnie powstrzymać. Wiem, że żądałbyś wyjaśnień. Nie pozwoliłbyś mi odjechać bez skorzystania z Twojej pomocy i Twojej rady. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy miałabym dość sił, żeby Ci się przeciwstawić,

A jednak muszę się pożegnać. Ty zaś musisz mi zaufać, jeśli przedtem mi ufateś, jeśli mnie kochateś. Musisz uwierzyć, że nigdy nie odjechatałabym od Ciebie, gdyby istniało lepsze wyjście. I być przekonany, że do Ciebie wrócę. Tak będzie, Jamesie, wrócę. To obietnica płynąca z miłości, którą musisz zatrzymać w sercu, póki nie doprowadzę do końca spraw, jakie oddzielają nas od siebie.

Zawsze dbateś, bym czuła się bezpieczna. Teraz musisz wierzyć, że ja podjętam takie samo zadanie. Zadbam o to, żebyśmy byli bezpieczni, abyśmy kiedyś mogli żyć we dwoje jako jedność.

*Przyrzekam, że będę Ci wierna, Jamesie. Błagam, żebyś na mnie czekał. Jeżeli
będziesz czekał, wrócę. Masz moje serce i moją miłość.*

Twoja Lia

Rozdział XXXV

Pociąg turkocze, pędzimy przez noc. Są okna, ale nie ma sensu wyglądać przez nie. Ja już próbowałam – ciemność jest gęsta jak smoła.

Na początku martwię się, czy nie będę mieć nudności, jak to często bywa, kiedy nie mogę wyrzeć przez okno, ale tym razem kołysanie i toczenie się pociągu są dla mnie ukojeniem. Myślę, że gdybyśmy tylko mogły zostać w tym pociągu, dać się wieźć i kołysać bez końca, wszystko ułożyłoby się dobrze. Nie tak jak kiedyś, ale mimo to dobrze.

Ciepła dłoń wyciąga się w moją stronę i zakrywa mi rękę. Podnoszę wzrok i napotykam uśmiech Soni, jednocześnie podekscytowany i zatroskany. Nie było tak trudno przekonać ją, żeby mi towarzyszyła – łatwiej niż przypuszczałam.

Moja jedyna torba jest upchnięta pod siedzeniem. Mam w niej suknię na zmianę, kilka niezbędnych drobiazgów i nóż z sypialni Alice. Resztę rzeczy nadano już wcześniej do Londynu. Ciotka Virginia wszystko załatwiła i napisała do osób opiekujących się rezydencją, że przyjeżdżam. Milthorpe House, tak jak Birchwood Manor, należy do naszej rodziny od stuleci. Będzie nam tam dobrze, Soni i mnie, a Sonia będzie mnie uczyć, jak wykorzystywać swoje szczególne zdolności. Będziemy mogły skontaktować się z Philipem Randallem i odnaleźć pozostałe Klucze. Nabiorę sił, w tym świecie i w innych, aby wygrać bitwę, skoro znalazłam się w jej centrum.

Luisa dołączy do nas później, gdy tylko znajdzie sposób, żeby wyprowadzić się z Wycliffe, budząc jak najmniej podejrzeń i jak najmniejsze rozczarowanie swojego ojca, przebywającego we Włoszech. Ciężko było się pożegnać. Ale w gwiazdach i na naszych nadgarstkach zapisane jest, że znowu się spotkamy.

Sonia ściska mnie za rękę. Kiedy spoglądam na jej nadgarstek, widzę na nim ciasno zapięty, przylegający, połyskujący medalion. Tak się umówiliśmy. Nie wiem, czy medalion pozostanie na przegubie jej ręki, czy odnajdzie drogę do mnie, jak zdołał w przeszłości. Mam nadzieję, że zostanie z Sonią, że siła osoby, której go powierzyłam, nie pozwoli mu powrócić do mnie. Sonia nie jest Bramą. Poprzez nią Samael nie znajdzie przejścia, chociaż ostrzegła mnie, że Dusze będą ją zwodzić, zastraszać i nękać na wszelkie możliwe sposoby, dopóki nie dotrą do mnie. Lecz Sonia, ze

swoją wiedzą o Pozaświatach, jest o wiele silniejsza niż ja. Jeżeli ktokolwiek może powstrzymać Dusze i dać mi czas, którego potrzebuję na przygotowanie się do zbliżającej się bitwy, to Sonia.

Czy nasz plan się powiedzie? Czy też pewnej niespokojnej nocy medalion odnajdzie drogę do mojej ręki, przeniesie mnie w Pozaświaty i pozwoli Bestii wtargnąć przeze mnie jak przez Bramę, aby rozegrała się bitwa i spadło Siedem Plag?

Nie znam odpowiedzi. Na razie.

To wszystko, co mogę zrobić, aby wyruszyć na spotkanie przyszłości, której ciemny, bezkształtny cień czeka na mnie. Tej przyszłości, do której moja matka w zasadzie nigdy nie dotarła. Mam nadzieję, że znajdę sposób na odegranie roli zadanej mi przez proroctwo i na odnalezienie brakujących kart książki oraz pozostałych Kluczy. Są takie osoby, które zawsze będą przy mnie: matka i ojciec, ciotka Virginia, James, nawet Alice.

I Henry. Henry to mój talizman pośród wszystkich ciemnych nocy.

Przypominam sobie jego poważne spojrzenie podczas naszej ostatniej rozmowy na osobności oraz jego słowa, o wiele za mądre jak na dziesięcioletniego chłopca: *Dopiero czas pokaże, Lia.*

Myślę, że w końcu właśnie tak będzie.

-PODZIĘKOWANIA-

Drogę do opublikowania niniejszej książki znaczyło mi pięć maszynopisów, które nie zostały wydane, oraz spotkania z tyloma wspaniałymi ludźmi, że nie sposób ich wszystkich wymienić. Będę się jednak starać. Najpierw podziękuję Stevenowi Maikowi, najgorętszemu orędownikowi literatury dziecięcej, jakiego znam. Jego intuicja i talent są prawdziwym skarbem.

Dziękuję Nancy Consecu, która jest niezwykłym wydawcą i potrafi na równi zadbać o przyjaźń i wizję przyszłości, wymagać i okazywać zamiłowanie – to wyjątkowy dar. Składam podziękowania pracownikom departamentu praw zależnych w wydawnictwie Little Brown za to, że pomogli „Prococtwu sióstr” wyruszyć na podbój świata :) oraz całemu zespołowi zajmującemu się public relations i marketingiem – nie ma bardziej uzdolnionej i entuzjastycznie nastawionej grupy specjalistów.

Dziękuję moim nadzwyczajnym przyjaciołom i czytelnikom. Są to: Madeline Rispoli, Beth Helms, Karen Barton i Jackie Lynch oraz Karla Galazzo, Eileen Cole i Kathy Strucker. Życie byłoby wiele bardziej smutne, gdyby nie frytki i nasze szalone rozmowy przy obiedzie! Przekazuję słowa wdzięczności Maddi Collier, mojej pierwszej nastoletniej fance, która ma przed sobą znakomitą przyszłość jako pisarka i poetka.

Śię podziękowania wszystkim młodym ludziom, którzy byli tak dobrzy i pozwolili mi zakosztować magii, radości, humoru bólu ich dorastania. Do tej grupy należą: Morgan Doyle, Mike Strucker, Jake Marks, Emily Sawitsky i Conner Raymond. To wielkie szczęście, że mogłam ich poznać. Szczególnie wdzięczna jestem Anthony' emu Galazzo, którego kocham jak syna. Jestem pod wrażeniem jego intelektu, głębi rozumowania i twórczego myślenia. Jego zachwyty dla życia, książek i pisarstwa nieustannie przypomina mi, dlaczego uwielbiam to, co robię. Nie mogę się doczekać na to, co przyniesie jutro! Podziękowania otrzymuje również mój tata, Michael Sto James, za gen literatury.

Lecz najbardziej jestem wdzięczna moim najdroższym: Kenneth, Rebekah, Andrew i Caroline Zink, którzy bez słowa skargi poświęcili się dla dobra moich ulotnych marzeń. Są dla mnie codzienną inspiracją.